

CONAN: DROGA DEMONA

PRZEKŁAD JACEK MĘDRZYCKI

ROZDZIAŁ I

Podczas jednej z wypraw przeciwko Piktom, Conan dostaje się do niewoli i wraz z resztą oddziału zostaje sprzedany na stygijską galerę piracką korsarza Dakara, lecz cały czas czekał na moment, by móc zerwać kajdany i gdy przybyli do brzegów Zingary...

W JASKINI LWA

Księżyc powoli wypłynął z masy wełnistych chmur, rzeźbiąc w srebrzystej poświacie zarysy lasu. Jakiś człowiek rzucił się w kępę krzaków niczym ścigany zwierz, lękający się zdradzieckiego światła. Gdy dobiegł go odgłos podkutych kopyt, wsunął się jeszcze głębiej w swą kryjówkę ledwie ważąc się odetchnąć. W ciszy kwilił sennie nocny ptak i mężczyzna słyszał dobiegający z oddali leniwy chlupot fal, uderzających o brzeg. Przesuwające się chmury ponownie skryły księżyc w chwili, gdy spomiędzy drzew po drugiej stronie polany wynurzył się jeździec.

Mężczyzna w ukryciu zaklął cicho. Ze swego miejsca mógł rozpoznać jedynie niewyraźną, poruszającą się sylwetkę, słyszał jedynie brzęk strzemion i skrzywienie rzemieni. Naraz księżyc wypłynął ponownie i uciekinier z głębokim westchnieniem ulgi wyskoczył z zarośli. Koń cofnął się i parsknął. Jeździec stłumił okrzyk zdziwienia i w jego uniesionej ręce błysnęło ostrze krótkiej włóczni. Wygląd postaci, która tak niespodziewanie wyprysnęła przed końskim łbem nie należał do tych, które mogłyby uspokoić samotnego wędrowca. Był to wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, odziany tylko w przepaskę na biodrach ze stalowymi mięśniami prężącymi się w świetle księżyca.

— Z drogi bo cię przebiję — warknął jeździec po aquilońsku.

— Kim jesteś na Croma!?

— Conan, Cymmeryjczyk — odparł mężczyzna w jednym z dialektów aquilońskich. — Mów ciszej — dodał szybko. Jesteśmy niespełna milę od miejsca schadzki stygijskich piratów, mogli wysłać zwiadowców. Nie mogę pojąć, że was dotąd nie pojмали. W osłoniętej wysokimi drzewami przybrzeżnej zatoczce ukryte są trzy galery, widziałem też błyski zbroi na brzegu. Dziś w nocy udało mi się zbiec z pirackiej galery Stygijczyka Dakara, gdzie od miesięcy przykuty był do wiosł. Miał on tu umówione spotkanie, którego celu nie znam, ale obawiając się ze strony Zingarańczyków jakowejś zdrady, zakotwiczył poza zatoczką. Lecz teraz Dakar leży martwy na dnie morza, drzemał na dziobie, gdy udało mi się zerwać łańcuch, podejść go cichcem i udusić. Potem popłynąłem do brzegu.

Jeździec mruknął coś, siedząc nieruchomo na koniu, niczym rzeźba wyryta w mroku światłem księżyca. Był wysoki, szara kołczuga, w którą był odziany nie zdołała skryć twardego zarysu jego długich kończyn. Z odzianej w stal głowy spływał zsunięty niedbale do tyłu również stalowy kaptur. Nawet w zwodniczym świetle księżyca, jego jastrzębi drapieżny wygląd zrobił na uciekinierze wrażenie.

— Sądzę, że kłamiesz — rzekł w tym samym języku co Conan — lecz z jakimś szczególnym uporem podajesz się za galernika, z tymi świeżo przystrzyżonymi włosami i ogoloną twarzą? I jakaż to stygijska galera odważyłaby się skrywać przy zingarańskim brzegu, tak blisko miasta?

— Na Croma! — odparł wyraźnie zaskoczony uciekinier — nie możesz zaprzeczyć, że jestem Cymmeryjczykiem! A co do mych włosów i brody, myślę iż nawet w niewoli nie przystoi żołnierzowi niechlujstwo. Jednym z jeńców na galerze był shemicki cyrulik i nie dalej jak tego ranka wymogłem na nim, by mnie ostrzygł i ogolił. Wszyscy też wiedzą, że Stygijczycy przemykają się między wyspami Akhbet i Baracha, tam i z powrotem niemal bez przeszkód. Lecz ryzykujemy życiem stojąc tu i gadając po próżnicy. Użyc mi strzemienia i uchoǳmy stąd!

— Nie sądę — mruknął jeździec, widziałeś za dużo...

I potężnym zamachem całego ciała pchnął włócznię prosto w pierś barbarzyńcy. Cios był tak niespodziewany, że jedynie instynktowny unik zaatakowanego ocalił mu życie. Mimo całkowitego zaskoczenia jego stalowe nerwy były o ułamek sekundy szybsze niż lecąca stal,

która drasnęła go jedynie w ramię przecinając skórę i przemknęła ze świstem obok. Lecz już nie ślepy instynkt kazał mu uchwycić za drzewce włóczni i targnąć ją do siebie. Przyплыw wściekłości wyzwolony niezawinionym atakiem wypełnił mu umysł żądzą mordy. Unik przed ciosem i szarpnięcie włóczni nastąpiły równocześnie. Straciwszy równowagę po chybnym ciosie, jeździec zwał się z siodła, głową naprzód, prosto na swego przeciwnika i obaj upadli na ziemię. Jeźdźcowi spadł z głowy niedbale nałożony hełm. Koń parsknął i rzucił się w stronę ściany lasu.

Padając jeździec wypuścił włócznię i obaj walcząc teraz w ciasnym uścisku, przetoczyli się przez otwartą przestrzeń i wpadli w zarośla. Opancerzona ręka jeźdźca chwyciła rękojeść sztyletu, lecz Conan był szybszy. Z olbrzymim wysiłkiem wtoczył się na swego przeciwnika i złapał ciężki kamień zaciskając na nim mocno palce. Sztylet błysnął w świetle księżyca, lecz nim zdążył opaść, kamień uderzył z ogłuszającą siłą w opancerzoną głowę napastnika. Elastyczna misiurka nie była dostatecznym zabezpieczeniem przed takim ciosem. Giętkie ogniwa wprawdzie nie pękły, lecz ugięły się i Conan poczuł jak pod jego ciosem pękają kości czaszki. Z wezbranym okrucieństwem były niewolnik uderzył raz jeszcze i jeszcze, dopóki wróg nie znieruchomiał, leżąc pod nim z krwią sącząca się spod zdruzgotanej misiurki. Dysząc z wysiłku, powstał odrzucając swą okrutną broń i spojrzał na pokonanego. Potrzęsnał w oszłomieniu głową ciągle targany gniewem i zdziwieniem. Nagle uderzyła go niespodziewana myśl i zdziwił się iż nie pomyślał o tym wcześniej. Jeździec nadjechał od strony stygijskiego obozowiska. Z pewnością było niemożliwe aby przejechał mimo niego niezauważonym. Musiał więc być w obozie, a to oznaczało, że człowiek ten był w jakiejś zmowie z piratami. Conan znów potrzęsnał głową z niedowierzaniem. Wiele nauczył się o świecie od czasu, gdy w armii Yildiza, króla Turanu przebył pustynie, góry i dżungle Hyrkanii i kiedy dotarł, aż po granice Khitaju. Wiedział, że Turańczycy i Hyrkańczycy nie zawsze skakali sobie wzajem do gardeł. Czasem układali się sekretnie, by pokrzyżować plany ludziom Zachodu. Lecz nigdy nie słyszał żeby Aquilończyk okazał się renegatem, a ów człowiek w zbroi, ze znakiem sokoła nie był Zingarańczykiem.

Przymuszony nagłą potrzebą Conan jął rozbierać zabitego. Martwy mężczyzna był gładko ogolony z równo przyciętymi płowymi włosami. Sądząc z wyglądu mógł być Aquilończykiem, lecz Cymmeryjczyk pamiętał o jego obcym akcencie. Były niewolnik pośpiesznie założył zbroję, zapiął mocno pas z mieczem, wokół swych smukłych bioder i rozejrzał się za stalowym hełmem, który nałożył na czarne jak smoła włosy. Wszystko leżało na nim jak ulał. Nieznany napastnik i on byli tej samej budowy. Pogłodził rękojeść długiego miecza i po raz pierwszy od wielu miesięcy znów poczuł się mężczyzną. Uderzenia pochwy o zakute w żelazo udo upewniały go, że jest znów Conanem Cymmeryjczykiem, najlepszym, najemnym żołnierzem wojsk aquilońskich. Żaden dźwięk oprócz odległego świergotu ptaków nie zakłócał ciszy, gdy łapał rumaka pasącego się na skraju lasu. Gdy wskoczył na siodło, długie miesiące pełne poniżenia i niewolniczej pracy opadły z niego jak zrzucona opończa, pozostawiając jedynie ponurą determinację wyrównania długów z tymi psami Piktami. Uśmiechnął się słabo przypominając sobie przedśmiertny charkot Dakara, lecz twarz mu pociemniała, gdy w świetle księżyca pojawiło mu się inne, szydercze oblicze, szczupła jastrzębia twarz, zwieńczona spiczastym hełmem z czaplím pióropuszem. Książę Ortan, syn Sildiza Karlana zwanego przez Piktów Krwawym Demonem.

Zjawa wykrzywiła się kpiąco, lecz Conan wiedział, że kiedyś nadejdzie jego dzień i na ten dzień gotów był czekać z cierpliwością, której nie starczało mu w innych sprawach, z mściwą, barbarzyńską cierpliwością, niezbadaną jak góry w Cymmerii, które ją zrodziły. Conan pozostawił włócznię tam gdzie upadła, lecz odwiązał od łęgu siodła trójkątną tarczę i czujny jak wilk, zanurzył się w cień drzew, jadąc w kierunku, w jakim zmierzał przed incydem. Na tarczy nie umieszczono żadnych znaków tylko na piersi kolczugi widniał wykonany ze złota emblemat przypominający sokoła i bez wątpienia aquilońskiej roboty. Lasy, które teraz przemierzał były tak bezludne, jak gdyby był ostatnim człowiekiem na ziemi. Trzymał się brzegu morza tak blisko, jak tylko starczało mu odwagi, kierując się odgłosem odległego przyboju. Teren był nierówny i pagórkowaty. Po jakichś trzech godzinach jazdy, między drzewami zaczęły błyskać światła Kordawy, pojawiając się, gdy wjeżdżała na wzniesienia i znikając znów, gdy opuszczał się w doliny. Było jak obliczyć, nieco po północy, gdy dojechał do przedmieść oddzielonych od reszty miasta — a jednak będących jego częścią — rozpostartych wzdłuż północnego wybrzeża.

Była to dzielnica zingarańskich kupców i innych cudzoziemskich handlarzy, zabudowana rozrzuconymi z rzadka ulicami, z rzeźbionymi, drewnianymi budynkami i pokaźniejszymi domami z kamienia. Nim dotarł do centrum miasta zatrzymał go mur i obwołała straż przy bramie. Czyjaś opancerzona ręka oświetliła mu twarz pochodnią, lecz nim zdążył oznajmić

kim jest ujrzał, jak od ściany oderwała się odziana w czarny aksamit postać i ją przyglądać mu się uważnie. Padło kilka słów, brama uniosła się ze zgrzytem, by opaść, gdy tylko ją minął. Chciał już odjechać, gdy postać w aksamicie rzuciła się w jego stronę i chwyciła konia za cugle.

— Światła, światła! — krzyknęła niecierpliwie. — Na co czekacie? Zapomnieliście o rozkazach Najjaśniejszego Pana? Hej, Moger, przywiąż konia do słupa. Chodźcie ze mną szlachetny panie Nortwaldzie. Nie, czekajcie! Ktoś mógłby was rozpoznać! Wprawdzie w tym aquilońskim stroju i bez brody sam nie poznałbym was, gdyby nie ten złoty sokół na kolczudze. Lecz ktoś inny mógłby... Weźcie tę szarfę i zasłońcie nią twarz.

Conan obwiązał szarfę luźno wokół hełmu tak, że widać było tylko jego niebieskie oczy. Nie ulegało wątpliwości, że wzięto go za człowieka, którego zabił. Było niemal pewne, że zdążył prosto w paszczę lwa, lecz było równie pewne, że znalazłby się w jeszcze większym niebezpieczeństwie wyjawiając swą tożsamość. Imię Nortwald wywołało w głębi jego umysłu jakieś mgliste skojarzenia i instynktownie pomacał rękojeść miecza.

Przewodnik poprowadził go ciasnymi, wyludnionymi ulicami aż wreszcie Conan zorientował się, że znajdują się niedaleko od leżącej nad cieśniną przystani. Zatrzymali się u stóp szerokiej, przysadzistej, kamiennej wieży bez wątplenia pamiętki z dawniejszych, prymitywnych czasów. Ktoś wyjrzał na zewnątrz przez wizjer w drzwiach.

— Otwórz głupcze — wyszeptał człowiek w aksamicie. — To ja Angus i pan Nortwald Groźny!

Z przeciagłym zgrzytem zawiasów drzwi otwarły się. Conan wszedł z zamętem fantastycznych przypuszczeń w głowie.

Nortwald Groźny, a więc to on był człowiekiem, którego zatłukł kamieniem na polanie. Słyszał był o tym Vanirze, najgroźniejszym szermierzu Gwardii Przybocznej króla, bandy najemników z północy, zabijaków na usługach Aquilończyków. Widywał ich w okolicach pałacu imperatora, wysokich, brodatych mężów w szpiczastych hełmach, obszytych purpurą płaszczach i pozłacanych zbrojach. Lecz cóż robił kapitan Gwardii, jadąc odziany w zwykłą zbroję Aquilończyka drogą wiodącą z stygijskiego obozu?

Conan poczuł się jak gdyby wchodził do mrocznego lochu, pełnego jadowitych węży, lecz zacisnął tylko mocniej zasłonę na twarzy i podążył za swym przewodnikiem, krótkim, ciemnym korytarzem. Weszli do małej, słabo oświetlonej komnaty, w której ktoś siedział na wielkim, zdobionym krześle. Przewodnik pokłonił się głęboko, niemal do ziemi i wycofał zamykając za sobą drzwi. Cymmeryjczyk stał wyżejając oczy. Gdy przyzwyczyły się już do półmroku, zaczął powoli rozpoznawać zarysy siedzącej postaci. Był to niski, krępy mężczyzna owinięty gładkim, ciemnym, satynowym płaszczem, skrywającym wszystkie inne szczegóły jego stroju. Na stole leżał kapelusz z zagiętym rondem i bez pióropusza oraz maska, znak, że mężczyzna przyszedł tu potajemnie, lękając się rozpoznania. Barbarzyńca skierował wzrok na twarz nieznanego. Czarna z granatowym połyskiem broda, była starannie ufryzowana. Ciemne loki przytrzymała przecinająca szerokie czoło, wyszywana złotem opaska, spod której spoglądało dwoje dużych, brązowych oczu, znamionujących wrodzoną bystrość.

Conan poczuł jak mróz przebiega mu po krzyżu. Na Croma w jakąż to ciemną intrygę się wpakował? Mężczyzną siedzącym na krześle był bowiem sam Akron Al Koor, król Piktów!

— Przybyłeś wystarczająco szybko Nortwaldzie — powiedział król, a Conan nic nie odrzekł, zastanawiając się jakież to tajemne sprawy przywiodły go w środku nocy, z pałacu o marmurowych kolumnach, do tej ponurej wieży poza granicami państwa.

— Widać nie żałowałeś koniowi ostróg — ciągnął — posłaniec nie wyjawiał ci dlaczego kazałem ci przybyć?

Conan na chybił trafił potrząsnął przecząco głową. Akron przytaknął.

— Tak, kazałem mu tylko doprowadzić cię tutaj. Lecz powiedz czy kiedy żeglowałeś wśród piratów ktokolwiek domyślił się kim naprawdę jesteś?

Conan ponownie potrząsnął głową. Akron uśmiechnął się.

— Oszczędnyś w słowach jak zwykle, stary wilku! To dobrze. Lecz teraz mam dla ciebie nowe zadanie, ważniejsze nawet niż tropienie stygijskich piratów. Dlatego posłałem po ciebie.

— Słuchaj Nortwaldzie. Kiedy ty wyruszyłeś na przeszpiegi wśród Stygijszyków przez kraj nasz przeciagnęły zastępy Aquilończyków. Nie przyszli jak Petrus Daggan i Artros na czele chmary łotrów i żebraków. Ci przybyli na bojowych rumakach, z taborami, niewiastami, łucznikami, zbrojnymi, wszyscy rozplomienieni żądzą zdobycia krwawych łupów.

Pierwszy przybył Hugon Cermandis, Bossończyk, lennik Aquilonii. Podjąłem go po królewsku obdarowałem hojnie i nakłoniłem, by złożył mi hołd lenny i przysięgę wierności.

Potem nadeszli inni: Herera Al Gotryd z Kordawy, Skalwin Morgan z bratem Gallwinem Morgan i wreszcie ten aquiloński diabeł Crommvell. Bracia Morgan złożyli mi hołd prócz upartego księcia Kordawy i dlatego muszę się ukrywać, lecz jego się nie lękam, jest opętany myślą o niepodległej Zingarze. Crommvell to co innego, poderżnąłby gardło Świętemu Mitrze dla zaspokojenia swych ambicji.

Walczyli dla mnie z Cymmeryjczykami, zdobyli przygraniczne miasto lecz wystrychnąłem ich na dudka wysyłając Nuela Mitesa w głąb Cymmerii aby ułożył się z barbarzyńcami i teraz miasto jest obsadzone przez moich żołnierzy. Cała ta chmara ciągnie teraz na południe i nie wątpię iż po przekroczeniu wzgórz i rzeki, Sildiz Karlan wyrznie ich w pień. Choć może być i tak, że oni wezmą górę, lecz wówczas poniosą takie straty, że przez lata nie będzie z ich strony żadnego zagrożenia. Cóż, lękam się ich daleko mniej niż tego diabła Crommvella, którego tylko szczęśliwy traf pozwolił mi pokonać dwanaście lat temu kiedy nadciągnął z północy z Rubenem Guido.

Posłałem po ciebie Nortwaldzie, albowiem nie ma męża na wschód od Shirki, który mógłby dotrzymać ci pola. Ukulem precyzyjny plan, lecz Crommvell już raz mi uszedł. Byłeś mi okiem, uchem i mózgiem między korsarzami, teraz musisz stać się mym mieczem. Twym zadaniem jest nie dopuścić, by Crommvell uszedł z życiem, gdy Sildiz Karlan uderzy na Aquilończyków. Nie wdawaj się w inne potyczki, niech twój miecz szuka tylko jego! Mój rozkaz brzmi: nieważne co się stanie, jak potoczą się losy bitwy, kto zwycięży, a kto poniesie klęskę, kto przeżyje, a kto zginie, ty zabij Crommvella!

Głos Akrona wypełniał całą komnatę, jego ciemne oczy błyszczały. Potężna osobowość tego człowieka przygniatała wręcz fizycznie Conana.

— Najemnicy są już od kilku dni w drodze — ciągnął Akron — lecz podróżują powoli jako, że ich jazda musi dotrzymać kroku taborom. Łatwo przemkniesz koło nich i osiągniesz Sildiz Karlana zanim ten rozpocznie bitwę tak jak się z nim ułożyłem. Koń czeka już na ciebie w łodzi, świeży koń oczywiście. Łódź cumuje przy Zielonym Nabrzeżu, Angus wskaże ci drogę. Po zachodniej stronie spotkasz Agemorana, tego samego, którego zwą Szalonym Jeźdźcem. On doprowadzi cię do Karlana. Rodeon Harnides jest z Gotrydem...

Akron urwał gwałtownie, spoglądając na misiurkę Conana. — Na Świętego Mitrę, Nortwaldzie! — wykrzyknął. — Na twym pancerzu jest świeża krew. Czyś ranny? Odruchowo z głową huczącą od natłoku myśli Conan odpowiedział.

— Nie.

Od razu zauważył swój błąd. Akron wzdrygnął się i w jego bystrych oczach mignęła podejrzliwość. Człowiek ten miał wszystkie zmysły wyostrzone niczym klinga miecza.

— To nie głos Nortwalda — warknął i ruchem szybkim jak u atakującego jastrzębia, zerwał szarfę z twarzy przybysza. Obaj zerwali się na równe nogi.

— Szpieg! To nie Nortwald! Hej, strażę! — zawołał cofając się król. Światło świec zabłysło na klindze miecza Cymmeryjczyka. Akron kocim ruchem uskoczył w tył i świszczące ostrze ścięło jedynie pukiel włosów z jego głowy. W jednej chwili przez wszystkie drzwi wpadli żołnierze i komnata wypełniła się zbrojnymi mężczyznami. Lecz widok króla rozpaczliwie broniącego się przed zjadłym atakiem tego, którego uważali za jego oddanego sługę, zmroził im krew w żyłach. Za to Conan nie stracił głowy. Nie marnując czasu na kolejny cios wymierzony w Akrona, który schronił się za wielkim krzesłem i krzykiem ponaglał żołnierzy, by zasiekli napastnika, Cymmeryjczyk rzucił się w stronę najbliższych drzwi, gdzie trzech ludzi zagroziło mu drogę. Pierwszy upadł z czaszką rozłupaną wraz z hełmem potężnym ciosem barbarzyńcy i gdy dwóch pozostałych rzuciło się nań rąbiąc mieczami Conan uskoczył i runął do przodu torując sobie drogę tarczą i odrzucając ich na boki. Niczym szarżujący byk, Conan wypadł na korytarz, chwytając w biegu równowagę. Zewnętrzne drzwi nie były strzeżone. Po krótkiej szarpaninie z łańcuchami i ryglami wyskoczył na zewnątrz, zatrzaskując wrota tuż przed nosem prześladowców. Pobiegł wąską ulicą, przeklinając brzęk jaki jego odziane w stal stopy, czyniły na bruku. Stracił już nadzieję, że zgubi napastników, gdy pojawiły się przed nim szerokie, marmurowe stopnie, schodzące na znane mu z poprzedniego pobytu nabrzeże, zwane Zieloną Przystanią. U stóp schodów cumowała pękata łódź, której sternik trzymał linę przewleczoną przez pierścień osadzony w marmurze. Pachołkowie przytrzymywali smukłego czarnego konia. Krzepcy wioślarze aż zachłystnęli się ze zdumienia, widząc pośpiech żołnierza, który wskoczył do łodzi, przeskakując ostatnie stopnie.

— W drogę! — krzyknął.

Załoga zawahała się. Z góry dobiegał zgiełk pogoni. Dźwięczała stal, błyskały pochodnie.

— Odbijajcie!

Naga stal błysnęła w opancerzonej dłoni barbarzyńcy. Wioślarze, zwykli wyrobnicy, nie

mieli w sobie nic z wojowników. Sternik odcumował łódź i odepchnął potężnie od stopni nabrzeża. Ciężka łódź wysunęła się na główny nurt i wiosłarze naparli na wiosła. Wypłynęli na ciemne wody, w których odbijały się gwiazdy. Obejrząwszy się Conan zobaczył uzbrojone postacie biegające tam i z powrotem po przystani w poszukiwaniu łodzi. Szczęście mu jednak sprzyjało i nabrzeże zniknęło w oddali, zanim usłyszał stłumione skrzypienie wiosel w dulkach, znak, że pogoń przeniosła się na wodę.

Wiosłarze widząc ociekający krwią miecz żołnierza, przyłożyli się do wiosel tak silnie jak gdyby wieźli samego Akrona. Odgłos ścigającej łodzi zbliżał się powoli, trzymała się jego śladu podczas tego trzymilowego wiosłowania i na ostatnich kilkuset metrach mógł już dostrzec błyski gwiazd, odbijających się w hełmach pogoni. Gdy dziób łodzi zarył się w zachodni brzeg, nadal jeszcze utrzymał pewien dystans. Conan wskoczył na siodło, spiął konia ostrogami, przeskoczył przez burtę i zniknął w ciemności.

Miał teraz sporą przewagę. Jego prześladowcy byli bez koni, choć nie mógł wykluczyć, że mieli je gdzieś w pobliżu. Kierował się ku północy pędząc wyciągniętym galopem. W ciemności mógł rozróżnić tylko niewyraźne zarysy równinnego krajobrazu, urozmaiconego niskimi wzgórzami i z rzadka rozrzuconymi plamami, które uznał za pasterskie szałaszy. Kiedy chmury ponownie zasłoniły gwiazdy i zaszedł księżyc ściągnął cugle i jechał teraz powoli niemal jak na przejażdżce.

Nagle usłyszał sobie jakiś ruch w pobliżu. Usłyszał niespokojne stąpanie kopyt i dzwonienie uprzęży. Jakieś głosy przeklinały w języku obcym, lecz brzmiącym nienawistnie znajomo. Stygijczycy! W ciemności wjechał prosto na nich! Otaczali go dookoła. Sięgał już ukradkiem do rękojeści miecza, gdy wtem świszczący głos zapytał:

— Czy to wy panie Nortwaldzie?

— Któż by inny — burknął Cymmeryjczyk usiłując naśladować szorstki akcent.

— Zapal ogień — mruknął inny głos — lepiej mieć pewność. Rozległy się uderzenia stali o krzemień i rozbłysnął mały ogieniek oświetlając krąg brodatych jastrzębich twarzy i odbijając się w wypolerowanych naramiennikach, hełmach i kolczugach. Wysoki wojownik trzymający pochodnię pochylił się i obrzucił Conana badawczym spojrzeniem.

— Widzicie złotego sokoła? — rzekł korsarz. — Poza tym spójrzcie na miecz. Twarz Nortwalda Groźnego nie jest mi aż tak dobrze znana bym mógł go rozpoznać, szczególnie bez brody, lecz na Croma zawsze rozpoznałbym tę broń.

Pochodnia zgasła. Z tyłu od strony brzegu dobiegały stłumione głosy wielu ludzi. Tu i tam błyskały pochodnie. Cymmeryjczyk czuł, że wojownicy wokół niego są nieufni, słyszał brzęk bułatów w pochwach.

— Ktoś był z wami? — zapytał wysoki Stygijczyk.

— Ludzie, których dał mi król, by upewnić się, że dotarłem tu bezpiecznie — odparł Conan. Obawia się, że Aquilończycy mogą mieć szpiegów wśród naszych. Lecz czemu jeszcze zwlekamy? Wkrótce będzie świtać.

— Prawda — mruknął korsarz. — I lepiej przed świtem znaleźć się bezpiecznie wśród wzgórz. Przybyliście przed czasem. Jechaliśmy na brzeg, by was spotkać, gdy wyjechaliście nam na przeciw. To szczęście, że nie minęliśmy się w tych przeklętych ciemnościach. Jedźcie między nami szlachetny panie.

Ruszyli kłusem, który przeszedł w wyciągnięty galop połykając milę za milą. O świcie cała grupa jak banda pustynnych duchów przecięła grzbiet Wilczego Wzgórza i zniknęła pośród gór.

Światło poranka ukazało Conanowi jego towarzyszy: gromadę odzianych w skóry i stal ze złotem Stygijczyków o jastrzębim wyglądzie. Pędzili niczym wiatr jak wojownicy, którzy nie muszą oszczędzać swych wierzchowców i Conan domyślał się, że gdzieś wśród wzgórz muszą na nich czekać rozstawne konie, byli już bowiem poza granicami Zingary. Nikt go nie podejrzewał, a on nie miał żadnego planu, jak wybrnąć z tej niewesołej maskarady. Po prostu pozwalał się nieść biegowi wydarzeń, porwany ich wirami bez własnego udziału. Gdyby trafiła się jakaś okazja, wiedziałaby co robić, lecz na razie był bezradny, w niewielkim tylko stopniu panując nad sytuacją.

Doprawdy tak układało się całe jego życie, myślał posępnie w rytm tętniących kopyt.

Urodził się na polu bitwy, podczas walki pomiędzy jego plemieniem, a bandą najeźdźców z północy — Vanirów. Wrodzona zapalczywość uwikłała go w taki splot wydarzeń, że sam stracił nadzieję na wywikłanie się z niego. Opuścił więc ziemię ojczystą. Niechęć do osiadłego życia i jego gorąca krew sprowadziły go na drogę występku. Został złodziejem, porywaczem i zabójcą. A wkrótce zawiodła go w służbę księcia Ragorta z Belverus, który ciągle wodził się za łby ze swym do lisa podobnym bratem. Lecz niespokojny duch Conana nie mógł ścierpieć charakteru księcia, który choć wielkoduszny i dobrego serca był powolny i

nazbyt lubił wino. Tak więc ostatecznie wylądował w królestwie aquilońskim. Uganiając się u boku Crommvella dzielił przygody tego płowowłosego czupurnego koguta. Lecz wiecznie niezaspokojona ambicja Crommvella obrzydła w końcu Cymmeryjczykowi, mimo tego nadal pozostał w służbie króla Aquilonii. I wreszcie nadszedł świt wypraw przeciw Piktom. Na wezwanie króla ludzie poczęli wyprzedawać swe dobra, by kupić konie, które zanoszą ich na zachód ku zbawieniu ich dusz i na pohybel barbarzyńcom.

Baronowie poczęli się zbierać, ale z braku środków robili to nazbyt powoli. Ponadto choć nikt nie wyraził tego wprost, zakradły się pomiędzy nich wątpliwości, czy skoro wielcy panowie zajęli już pole pozostanie jeszcze dość łupów do zdobycia. Hordy prostych oraczy, żebraków i wagabundów kręciły się wokół Petrusa Daggana całując ziemię po której stapał i zbierając kopniaki, którymi jego ponury osioł wybił im z głów próby wyskubywania mu szarej sierści na święte relikwie. Petrus gorliwie naśladował króla, a siła jego przyciągania była ogromna. Do tych wychudłych fanatyków, ściągali również ubodzy baronowie i szlachcice. Cała ta pstra czereda posuwała się wzdłuż granicy śpiewając pieśni i kradnąc świnie.

Pośród tych gnanych biedą rycerzy byli Conan i jego towarzysz broni Tanar Artros. Próbowali gromadzić razem tę hordę, lecz z równym skutkiem mogliby zbierać kijem ryby w rzece. Wyglodniali pielgrzymi, w sile jakichś ośmiu tysięcy, przeszli niczym szarańcza przez górzyste krainy walcząc z forpocztami Akrona, padając na kolana na powitanie strzelistych wież Kordawy i rozkładając się wokół obozem, najwyraźniej z zamiarem pożarcia całej żywności w mieście i okolicy.

Gdy zaczęli obłamywać z dachu świątyni złote dachówki, by następnie sprzedawać je na rynku zdesperowany książę Kordawy przeprowadził ich przez rzekę, na północ i tam tłumy rozlały się między górami wyrzynane przez lotne watahy Piktów. Tanar i jego towarzysze bardziej odważnie niż rozważnie wyruszyli, by przyjść z pomocą nieszczęsnym i natknęli się na prawdziwą armię wyjących przystrojonych czaplami piórami jeźdźców. Tanar poległ na stosie piktyjskich ciał wraz ze swymi równie walecznymi co szalonymi towarzyszami, a Conan, gdy odzyskał przytomność po ciosie bojowego topora, który wyrznawszy w hełm pogrążył go w mroku, został zakuty w kajdany i popędzony z resztkami swego oddziału na wybrzeże. Tam sprzedano go wysokiemu, szczupłemu, zakutemu w stal i złoto stygijskiemu szakalowi Dakarowi, który na swym smukłym okręcie krążył wzdłuż brzegów tam i z powrotem od wysp Akhbet do wysp Baracha. Conan widział takie rzeczy, tak na dnie galery, jak i na poplamionym krwią pokładzie, które niepokoiły go w snach przez resztę życia. Ale te krwawe wizje nie były w stanie przyćmić jednej straszliwej sceny: jego towarzysz Tanar, konający wśród trupów i szczupły jeździec w złoczonej zbroi i hełmie przystrojonym czaplami piórami, z pogardą na twarzy spinający konia tak, by wbił swe kopyta prosto w zbryzganą krwią martwiejącą twarz. „— Oto co Ortan syn Sildiz Karlana czyni z wrogami”. — Pogardliwe słowa dźwięczały wciąż w uszach Cymmeryjczyka ponad szumem fal, trzaskiem łamanych wiosel i krwawym zgiełkiem bitewnym.

Teraz Cymmeryjczyk galopował wraz z stygijskimi korsarzami w ponurej maskaradzie, wiedziony ku przeznaczeniu, którego nie znał wyjąwszy to, że bez wątpienia dojdzie do spotkania twarzą w twarz z księciem Ortanem i jego złowieszczym ojcem. Co jakiś czas spoglądał w tył czy nie ma znaków pogoni, lecz jeśli nawet żołnierze Akrona podążyli za nimi, musieli zgubić drogę.

W południe dotarli do przysadzistej wieży, stojącej wśród wzgórz gdzie oczekiwało ich jadło i napitek oraz świeże konie. Znajdowali się w najdalej leżącej warowni Sildiz Karlana, Krwawego Demona lecz nigdzie nie widać było ludzkich osiedli jedynie ruiny, pamiątki aquilońskiego władania. Nie zabawili długo na postoju, lecz posiliwszy się wskoczyli na siodła i znów popędzili wierzchowce.

Pędzili galopem przez całe, gorące i suche, letnie popołudnie, pośród urwistych wzgórz, poganiając bezlitośnie konie. Conan wypatrywał maruderów ciągnących za najemnikami lub śladów ich przemarszu, lecz zorientował się, że są bardziej na północ od ich szlaku. Nie pytał o nic, a Agemoran nie raczył nic wyjaśnić. Stygijszyk jechał mrując pieśń o wojowniku, którego umiejętności jeździeckie zdobyły mu przydomek Szalonego Jeźdźca. Conan uświadomił sobie próżność pirata i zrozumiał, że jest to jego jedyny słaby punkt. Gdy księżyc wzeszedł, dotarli do przełęczy wśród wzgórz. Ponownie zmienili konie o zachodzie księżyca. Za drugim razem, czekał na nich zakurzony kurier, z którym Agemoran długo rozmawiał. Gdy skończył, usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i skinął na swych ludzi aby przyrządzili posiłek.

— Nasz cel jest o wyciągnięcie ręki — rzekł do Conana. Przebyliśmy w kilka godzin drogę, która zabrała najemnikom wiele dni. Jesteśmy nie więcej niż o trzy godziny jazdy od

obozowiska wroga. O świcie wyruszymy i włączymy się w bitwę.

Cymmeryjczyk zastanawiał się już, jak Akron zamierza zlikwidować Crommvella nie unicestwiając reszty wojsk aquilońskich i teraz odważył się na pytanie.

— Objaśnij mi raz jeszcze jaką pułapkę Krwawy Demon zastawił na naszych wrogów?

— A więc — odparł ochotczo Agemorana. — Marmon, po waszemu Crommvell i jego ludzie ciągną z przednią strażą głównej siły. Tej nocy rozłożyli się obozowiskiem tam, gdzie wzgórza przechodzą w równinę Dorynium czekając na przybycie księcia Al Gotryda i reszty najemników. Lecz tamtym Akron posłał przewodnika, który powiedzie ich inną drogą. Widzisz ów szczyt wznoszący się nad pozostałymi? Gdybyś od tego szczytu jechał przez pięć godzin prosto na zachód trafiłbyś na ich obóz. O świcie Krwawy Demon nadciągnie z północy i jego ramię zmiażdży Marmona i jego żelaznych ludzi. Wtedy ruszy na Al Gotryda i zmiecie go z powierzchni ziemi.

A więc Akron będzie szedł ręką w rękę ze Stygijczykami aż do unicestwienia Crommvella było to oczywiste od początku. Zdradzieckim przewodnikiem wymienionym przez Agemorana musiał być Rodeon Harnides. Akron wspomniawszy, że Zingarańczyk jest razem z Gotrydem. Conan spojrzawszy na szczyt wskazany przez Agemorana i utrwalił w myśli wszystkie znaki orientacyjne w okolicy. Dorynium było o trzy godziny jazdy na północ, obóz najemników o pięć godzin jazdy w kierunku zachodnim. Pierwsze słabe przebłyski świtu pojawiły się od wschodu na wzgórzach. Piraci zaczęli się krzątać, siodłać konie i zapinać zbroje.

— Agemoranie — rzekł Conan, niedbale wstając i kładąc dłoń na grzywie smukłego rumaka, którego dostał na czas jazdy. — Wstaje świt zatem trzeba nam szybko ruszyć w drogę, by dołączyć do Krwawego Demona. Lecz dla rozgrzania koni proponuję ścigać się do owego szczytu.

Korsarz uśmiechnął się.

— Mamy trzy godziny drogi do Dorynium szlachetny panie, a nasze konie czekają ciężkie trudy, gdy już dotrzemy na pole bitwy.

— Do wzgórza jest zaledwie kilkaset kroków — odparł Conan — a ja słyszałem wiele o twoim kunszcie jeździeckim i rad bym stanąć z tobą w zawody. Naturalnie jest tam wiele kamieni i głazów, a grunt jest niepewny. Jeśli więc obawiasz się tej próby...

Twarz Agemorana pociemniała. — To zła mowa człowieku, którego zowią Groźnym. Głupota innych czyni i mądrych głupcami. A jednak dosiędźmy koni, zgadzam się na tę dziecianną zabawę.

Wskoczyli na siodła, ściągnęli konie równo, łeb w łeb i na dany znak wystrzelili niczym strzała z kuszy. Odziani w stal wojownicy przyglądali się zawodom z ciekawością.

— Grunt nie jest tu tak niepewny jak mówił ten Vanir — rzekł jeden z nich — spójrz pędzą niczym sokoły. Agemorana wysuwa się naprzód.

— Ale Nortwald jest tuż za nim — wykrzyknął drugi — patrz są już przy wzgórzu... co to?

— Vanir dobył miecza, lśni w świetle poranka...

— Na Croma!

Conan oddalał się szybko od nieruchomej postaci leżącej między głazami w szkarłatnej kałuży. Szalony Jeździec odbył swą ostatnią jazdę.

Strząsając czerwone krople z ostrza swego miecza, Conan popuścił cugli bachmatowi. Nie obejrzał się choć uszy rozsadał mu tętent kopyt pościgu. Orientując się w kierunku, podług szczytu, przemykał przez wzgórza jak latający duch. Wkrótce po wschodzie słońca, przeciął szeroki szlak, z wieloma śladami wozów, koni i odciskami wielu stóp. Droga armii najemników. Pomiedzy śladami zauważył świeższe i mniejsze pozostawione przez niepodkute kopyta, ślady lekkich wierzchowców. Znaczyło to, że piktyjscy zwiadowcy deptali najemnikom z Zingary po piętach.

Późnym przedpołudniem Conan wjechał do ogromnego, szeroko rozpostartego obozu najemników. W swym niezbyt skłonnym do wzruszeń sercu poczuł ciepło, gdy ujrzał znajome obrazy: żołnierze z sokołami na nadgarstkach i wielkimi myśliwskimi psami chodzącymi z nimi krok w krok, jasnowłose niewiasty śmiejące się pod baldachimami, młodych giermków polerujących zbroje swych panów... Była to jakby część Aquilonii przeniesiona pomiędzy niegościnnie wzgórz kraju Piktów. Obozowało tu kilka tysięcy ludzi, a ich namioty i ogniska pokrywały całą dolinę. Niektóre z namiotów właśnie składano gdzieś tam woły zaprzęgano do wozów, lecz ogólnie panował nastrój wyczekiwania. Uzbrojeni mężczyźni opierali się o włócznie, pażowicze wałęsali się po krzakach nawołując psy. Wyglądało jakby cała Aquilonia wylała się na zachód. Conan widział rudowłosych

mieszkańców Vanaheimu, czarnowłosych Shemitów, Kothyjczyków i Argosańczyków. Dobiegał do niego gwar wielu różnych języków.

Cymmerejczyk przejechał przez ciżbę gapiącą się na jego zakurzoną zbroję i spienionego konia, zatrzymał się przed namiotami, które bogatymi kolorami obwieszczały przywódców wyprawy. Zobaczył ich jak w pełnej zbroi wychodzili ze swych namiotów: Gotryka Mullen i jego braci Gazarę i Borina Mullen oraz roslą, siwobrodą postać, która musiała być Hererą Al Gotrydem, księciem Kordawy. Razem z nimi ujrzął człowieka odzianego w ozdobną zbroję, jej błyszczące blachy kontrastowały z szarymi pancerzami innych mężów. Conan pojął, że musi to być Rodeon Harnides, szpieg Akrona, brat świeżo upieczonego księcia Kovy i dowódca zingarańskich pancernych.

Rumak zarżał i potrząsnął łbem z pyska spadały mu płaty piany. Conan zeskoczył na ziemię. Jak przystało na Cymmeryjczyka, barbarzyńca nie tracił słów.

— Szlachetni panowie — zaczął bez ogródek nie bawiąc się w powitalne frazesy — przybyłem aby wam oznajmić, że szykuje się bitwa i musicie się pośpieszyć jeśli chcecie wziąć w niej udział.

— Bitwa? — zapytał porywczo Gazara Mullen jak myśliwski pies czujący zwierzynę. — Kogo z kim?

— Crommvell staje przeciw Krwawemu Demonowi właśnie w tej chwili.

Baronowie spojrzeli po sobie niepewnie. Harnides roześmiał się.

— Ten człowiek jest szalony. Sildiz Karlan nie mógłby uderzyć na Crommvella nie mijając nas. A my nie widzieliśmy Piktów.

— Gdzie jest Crommvell? — spytał Herera.

— Na równinie Dorynium, jakieś sześć godzin ostrej jazdy na północ.

— Jak to? — był to okrzyk niedowierzania. — Nie może być! Pan Rodeon poprowadził nas najkrótszą drogą przez doliny, kiedy Crommvell przechodził przez góry. Aquilończycy są gdzieś za nami i Rodeon wysłał zingarańskich zwiadowców, by ich odnaleźli i przywiedli tutaj gdyż oczywiste jest, że musieli zbłądzić. Czekamy tylko na nich, po czym ruszamy w drogę.

— To wy zabłądziliście — powiedział oschle Conan. — Rodeon Harnides jest szpiegiem i zdrajcą wysłanym przez Akrona żeby wywiódł was na bezdroża, gdy Sildiz Karlan będzie miażdżyć Crommvella.

— Ty psie, zapłacisz za to gardłem! — wrzasnął zapalczywie Zingarańczyk rzucając się w stronę Conana z ręką na mieczu. Conan stanął przed nim groźnie trzymając dłoń na rękojeści swojego.

— Poważne oskarżenie rzuciłeś przyjacielu — rzekł Gotryk. — Jakie masz dowody na poparcie swych słów?

— Na Croma — wykrzyknął Conan. — Czyż nie widzicie, że wiodąc was ten zdrajca skręca coraz bardziej na zachód? Aquilończycy szli dobrą drogą to wy z niej zeszlście. Crommvell zdażał po przejściu gór na północ wy szlście na zachód, do morza. Gdybyście podążali tą drogą wystarczająco długo, doszlibyście do Oceanu Zachodniego, lecz nie na miejsce spotkania z Crommvellem!

— Kim jest ten łotr? — wykrzyknął Harnides z wściekłością.

— Książę Gotryk mnie zna — odparł barbarzyńca. Jestem Conan Cymmeryjczyk.

— Wszyscy święci! — wykrzyknął Gotryk i uśmiech rozjaśnił jego pobrużdżoną twarz. —

Wydawało mi się, że cię rozpoznaję Conanie. Zmieniłeś się... tak... zmieniłeś się... — Panowie — zwrócił się do pozostałych — znałem niegdyś tego żołnierza, był ze mną na Lor gdim...

Urwał z dziwną niechęcią, którą czuł zawsze, gdy mówił o tym co uważał za

świętokradztwo, o zabójstwie księcia Randolpha w tym świętym miejscu.

— Lecz my go nie znamy — odparł Herera Al Gotryd z nieufnością drążącą, go zawsze, jak korniki drewniany dyszel. — A przybywa z dziwną opowieścią i chce abyśmy wdali się w nową awanturę, li tylko na podstawie jego słów...

— Mitro ty patrzysz i nic nie robisz! — krzyknął Conan, którego barbarzyńska cierpliwość była już na wyczerpaniu. — Czy będziemy tu gadać podczas, gdy Piktowie podrzynają Crommvellowi gardło? Moje słowo przeciw słowu tego Zingarańczyka, więc domagam się sądu, niech rozstrzygnie walka!

— Dobrze powiedziane — zakrzyknął kapłan Aldheman, wysoki mężczyzna odziany w bojową kolczugę. Takie widowiska zagrzewały jego serce wojownika. — W imieniu bogów stwierdzam poprawność takowej procedury.

— Więc niech się dokona! — wykrzyknął Conan, płonąć z niecierpliwości? — Wybieraj broń zdrajco!

Harnides obrzucił spojrzeniem zakurzoną broń Cymmeryjczyka i jego delikatnego, pokrytego pianą wierzchowca. Uśmiechnął się ukradkiem.

— Odważysz potykać się na ostre kopie? — spytał.

Była to sztuka wojenna, w której aquilońscy żołnierze byli bardziej doświadczeni od innych narodów, lecz Harnides był potężniejszej budowy niż inni z jego nacji, mógł z powodzeniem współzawodniczyć z mężczyznami z Aquilonii czy Gunderlandii w sile fizycznej. Miał też doświadczenie wyniesione z licznych pojedynków, które stoczył, gdy znamienici wojownicy bawili na dworze księcia Kordawy. Spojrzał na swego potężnego, czarnego bojowego rumaka, okrytego ciężkim rzędem z jedwabiu, stali i lakierowanej skóry i uśmiechnął się ponownie.

— To być nie może panowie — zaprotestował Gotryk — zbyt żalnym jest widok Conana, który przybył tu na wielce znużonym wierzchowcu, w dodatku nadającym się bardziej do gonitwy niż walki. — Nie Conanie, weźmiesz mego wierzchowca, a także hełm i kopię.

Harnides wzruszył ramionami. W jednej chwili znikła jego miażdżąca przewaga, lecz wciąż był dobrej myśli. W każdym bądź razie wolał potykać się na kopie niż na miecze, gdyż czuł respekt przed ciosami potężnego miecza wiszącego u boku Cymmeryjczyka. Zresztą miał już za sobą zwycięstwa nad Aquilończykami.

Conan chwycił długą, ciężką kopię i dosiadł wierzchowca przyprowadzonego przez giermka Gotryka, lecz odmówił przyjęcia ciężkiego hełmu, masywnego, podobnego do garnka bez ruchomej przyłbicy jedynie ze szparami na oczy. W potyczkach nie przestrzegano jeszcze późniejszych, turniejowych reguł i form. W tych czasach, potyczka na kopie, była albo pojedynkiem na broń ostrą albo formą ćwiczeń przed poważniejszą wyprawą. Tłum uformował coś w rodzaju prymitywnej bieżni, tłocząc się z obu stron tak, że tylko środek pozostawał wolny. Przeciwnicy rozjechali się w dwie strony, zatoczyli koło i nastawili kopie, oczekiwali na sygnał.

Zabrzmiął róg. Potężne konie z łoskotem popędziły ku sobie. Błyszcząca zbroja Zingarańczyka i jego przystrojony pióropuszem hełm kontrastowały z zakurzonym, szarym pancerzem barbarzyńcy. Conan wiedział, że Harnides skieruje kopię na jego nieosłoniętą twarz, schylił się więc spoglądając na wroga ponad górną krawędzią ciężkiej tarczy. Tłum zawarł, gdy uderzyli na siebie z ogłuszającym łoskotem. Drzewca obu kopii strzaskały się w kawałki, a impet był tak potężny, że wierzchowce przysiadły na zadach. Conan, choć na wópó ogłuszony potwornym ciosem, utrzymał się w siodle. Harnides wyleciał z siodła jak rażony piorunem i legł tam gdzie upadł, w kurzu z groteskowo poskręcanyimi kończynami. Spod potrzaskanego hełmu ciekła krew.

Conan ściągnął wierzgającemu koniowi cugle i ześlizgnął się na ziemię. Dzwoniło mu w uszach. Pękająca włócznia Zingarańczyka obsunęła się po krawędzi tarczy zrywając mu z głowy misiurkę i niemal rozrywając ścięgna szyi. Ciężkim krokiem podszedł do tłumu, który otoczył powalonego. Zdjęto mu z głowy hełm i Harnides spojrzał szklistym wzrokiem w pochylone nad nim twarze. Nie ulegało wątpliwości, że umierał. Napierśnik jego zbroi był strzaskany, kości mostka wbite w klatkę piersiową. Aldheman pochylił się nad nim wypowiadając niezrozumiałe słowa.

Wargi konającego poruszyły się, lecz wydobył się z nich tylko suchy charkot. Ze straszliwym wysiłkiem umierający zdołał wykrztusić: Dorynium... Sildiz Karlan... Cromnwell.

Z ust bluznęła mu krew i zeszywniał, nieruchoma, stalowa postać z rozrzuconymi, kończynami. Gotryk przejął inicjatywę.

— Do koni! — krzyknął. — Wierzchowca dla Conana! — Crommwell potrzebuje pomocy i nie będzie jej wzywał daremnie!

Tłum ryknął i wokół zaroilo się. Żołnierze jęli dosiadać koni, zbrojni dopinali pancerze.

— Czekajcie — wykrzyknął Herera — nie możemy popędzić przez wzgórza z taborami i piechotą — ktoś musi strzec zapasów.

— Wy to zrobicie szlachetny panie Gotrydzie — rzekł Gotryk płonąć z niecierpliwości — wyprawcie w drogę tabory i ruszajcie za nami z piechotą. Ja z konnymi podążę przodem. Prowadź Conanie!

ROZDZIAŁ II

Podczas wygranej przez Aquilończyków bitwy na równinie Dorynium, zdradziecka strzała zabiła Gotryka Mula, dowódcę Conana, pod którym służył w Aquilonii. Conan z oddziałem gwardzistów, po zdobyciu jednej z wrogich galer ruszył w pościg za drugą uciekającą z pola

bitwy, na której znajdował się rzekomo zabójca Gotryka. W potyczce do jakiej doszło między galerami, piraci pokonali gwardzistów. Aquilończycy pozbierawszy się, obrawszy Conana swoim dowódcą, na tonącej galerze nadal kontynuowali pościg za oddalającą się galerą piracką.

POŚCIG

Choć bitwa się już skończyła jej odgłos wydawał się wciąż rozbrzmiewać nękającym echem pośród wzgórz, wznoszących się nad błękitną wodą. Ci co przegrali tę morską potyczkę, kąpali się we własnej krwi, a zwycięzcy już poza zasięgiem strzał oddalali się powoli i z trudem. Był to dość częsty widok na Oceanie Zachodnim.

Zataczająca się pijacko galerka o wysoko zadartym dziobie była stygijskim statkiem pirackim zdobytym przez Aquilończyków. Śmierć zebrała tu obfite żniwo. Martwi mężczyźni leżeli na całym pokładzie: zwisali bezładnie z pokiereszowanego nadburcia, osuwali się z pomostów przerzuconych nad śródkręciem, gdzie wśród potrzaskanych ław leżały poszarpane ciała wiosłarzy. Ci ostatni, wysocy o jastrzębich obliczach, nawet po śmierci nie wyglądali na ludzi urodzonych w niewoli. W zagrodzie u podstawy masztu, oszalałe ze strachu konie miały się i rżały przeraźliwie.

Ci, którzy przeżyli, stali słoczeni na rufie, dwudziestu mężczyzn, wielu z nich broczących krwią ze świeżych ran. Byli wysocy i smukli jak przystało na ludzi spędzających życie w siodle. Spaleni słońcem na węgiel z wąsami zwisającymi aż po gładko wygolone podbródki. Głowy także mieli gładko ogolone z pozostawionym pojedynczym kosmykiem włosów. Odziani w szarawary wpuszczone w buty, niektórzy w kołpakach inni w stalowych czepcach jeszcze inni z odkrytymi głowami. Część nosiła kaftany ze stalowych kótek inni byli nadzy aż do przepasanych szarfą bioder, a ich muskularne ramiona i szerokie torsy były niemal na czarno spalone przez słońce. W dłoniach dzierżyli obnażone szable. Ich ciemne oczy błyszcząły gorączkowo, było w nich wszystkich coś z orłów, coś dzikiego i nieposkromionego.

Skupili się wokół leżącego na rufie konającego męża. W jego obwisłych wąsach połyskiwała siwizna, twarz zniekształcały stare blizny. Jego kołpak był zsunięty do tyłu, koszuła przesiąkła krwią, ciekącą z przebitego boku.

— Gdzie Conan, Conan Cymmeryjczyk — wycharczał.

— Jest tu — odezwał się chór głosów, gdy potężny wojownik wystąpił do przodu.

— Tak, jestem panie — wielki barbarzyńca poruszył się niepewnie. Był najwyższy z nich, potężnej budowy. Odziany jak inni — zbroi pozbył się przed bitwą na równinie Dorynium — czymś się jednak wyróżniał. Szeroko rozstawione oczy miał ciemnoniebieskie jak woda morską. Pochylił się, by lepiej słyszeć słowa konającego centuriona.

— Uciekł nam bracia — wyszeptał tamten — czy któryś z setników żyje?

— Żaden miły panie — odparł smukły, ciemny wojownik owijający jakąś szmatą rozplątane ramię. — Raskon łyknał strzałę, a...

— Widziałem jak zginęli inni — wymamrotał starszy mężczyzna. — Ja pośród was jedyny starszy i umieram. Conanie nasze zadanie nie skończone. Gdyśmy stali nad ciałem Gotryka, naszego hetmana, przysięgaliśmy na nasz honor iż nie spoczniemy póki nie przyniesiemy głowy tego diabła, który go zgładził. Goniliśmy go przez Ocean Zachodni na jednej z jego własnych galer, lecz gdy go dopadliśmy pobił nas i uszedł. Na potrzaskanym statku jak na ochwaconym koniu nie ujdzie wam daleko. Skieruje się do brzegu. Macie konie gońcie go. Do Sukhmetu lub do samego piekła jeśli będziecie musieli. Conan ty jesteś teraz moim następcą. Ścigaj go! Masz zginać lub dostać głowę Uurlana Genora... który... zabił... Gotryka... Mullen...

Ogolona głowa opadła na pokrytą bliznami pierś. Aquilończycy zdjęli kołpaki i spojrzeli wyczekująco na Conana Cymmeryjczyka. Ten przygryzł wargę, w zadumie obrzucił spojrzeniem zwisające w bezwietrznym powietrzu kwadratowe żagle i zapatrzył się na ląd. Nie było widać żadnego portu ni miasta na tym dzikim odludnym brzegu. Niskie, zadrzewione wzgórza wyrastały znad wody, wznosząc się rychło ku widocznym w oddali błękitnym górcom, których pokryte śniegiem szczyty, zachodzące słońce barwiło na czerwono. Z różnych przyczyn Conan, wiedział o morzu i statkach więcej niż jego towarzysze, lecz nie miał pojęcia, gdzie dokładnie się znaleźli. Przepłynęli Ocean Zachodni, tak więc musiały to być terytoria stygijskie, lub pogranicze Kush. Wśród wzgórz bez wątplenia pełno było czarnuchów, tą jedną pogardliwą nazwą określał wszystkie czarne narody.

Spojrzał na wolno oddalającą się drugą galerę. Jej załogę wystarczająco uszczęśliwiło to, że wyrwała się z łap śmierci. Okaleczony statek piratów, kierował się w stronę zatoczki,

rozwierającej się pomiędzy wysokimi urwiskami. Płynął powoli przechylony na burtę. Na rufie nadal widoczna była wysoka postać w szyszaku, na którym igrały promienie słońca. Conan zapamiętał dobrze rysy twarzy pod szyszakiem, dostrzeżone w wirze walki: jastrzębi nos, szare oczy i czarna broda wzbudziła w Cymmeryjczyku złudne uczucie czegoś pamiętanego. Był to Urlan Genor do niedawna jeszcze najślynniejszy korsarz na Oceanie Zachodnim.

Conan skierował się ku jednemu z wiosł sterowych. Nie mógł płynąć za okaleczonym statkiem pirackim, lecz sądził, że uda mu się skierować swą galerę ku brzegowi, do cypla, który wrzynał się w morze niemal w zasięgu ręki.

— Togrul i Kermal złapią za tamte wiosła sterowe — zarządził. — Danaos i Kadrian uspokoją konie. Reszta z was psiajuchy zejdzie pod pokład i zegnijcie plecy przy wiosłach. Jeśli, któraś z tych stygijskich świni jeszcze żyje dajcie jej w łeb.

Nikt jednak nie przeżył. Ci, których oszczędziły strzały byłych towarzyszy, zostali zasieczeni przez Aquilończyków, gdy zerwawszy kajdany zdołali wdrapać się na pokład. Powoli kierowali galerę ku brzegowi. Słońce zachodziło, mgielka niczym miękki, niebieski dym unosiła się nad ciemną wodą. Korsarska galera wpłynęła do zatoczki, znikając pomiędzy stromymi zboczami. Conan ze swymi towarzyszami mozolili się otepiali ze zmęczenia. Sterburta niemal zrównała się z wodą i Aquilończycy porzuciwszy wiosła wspięli się na rufę. Konie poczęły znowu rzeć, oszalałe z przerażenia na widok podchodzącej coraz wyżej wody.

Żołnierze spoglądali na brzeg, rojący się zgodnie z tym co wiedzieli od wrogich plemion, milczeli jednak. Wypełniali rozkazy Conana bez wahania jak gdyby był on centurionem wybranym jak każde obyczaj przez króla w stolicy.

Do tego oddziału, który był przyboczną strażą Gotryka Mulen, gdzie wstępując mężczyzna przybierał sobie nowe imię i rozpoczynał nowe życie, Conan mówiący łamaną aquilońską mową przyłączył się pięć lat temu. Przyjęto go początkowo z dużą nieufnością gdyż wzbraniał się uczynić tajny znak choć przysięgał, że to zrobi. Po utarczce załatwił sprawę polubownie czyniąc mieczem znak w powietrzu. Wkrótce udowodnił swą prawość w potyczkach z wrogami i jakiegokolwiek byłoby jego poprzednie życie i język, był jeszcze gwardzistą Gotryka, jeszcze, ponieważ pozostała mu do zrobienia ostatnia rzecz, pomścić śmierć Gotryka Mulen.

Jego miecz wyróżniał go spomiędzy ludzi zbrojnych z reguły w zakrzywione szable. Był prosty, długi na cztery i pół stopy, szeroki i dwusieczny. Niespełna pół tuzina ludzi w królestwie dawało radę nim władać. Jednym z nich był Nortwald Groźny, którego był zabił podczas ucieczki z niewoli u stygijskich piratów. Dzierżył go teraz oparty o bezużyteczne wiosło sterowe, wpatrzony w łódź zbliżającą się z każdym przechyłem ciężko płynącej galery.

* * *

W żyznej dolinie Zabheli los się dopełnił. Rzeka wijąca się wśród splechotków łąk i pól zabarwiła się na czerwono, góry wznoszące się po obu stronach oglądały znów widok niemal tak stary jak one same. Groza spadła na spokojnych mieszkańców doliny w postaci wilczej hordy jeźdźców z odległych krain. Wieśniacy nie wyglądali ratunku ze strony zamku, który widniał jak gdyby zawieszony w powietrzu, wysoko na szczycie góry, tam również czychali ciemiężcy.

Klan Akbara Khana wygnanego z Keshanu na zachód przez rodowe waśnie, ścigał haracz z kushyckich wiosł w dolinie Zabheli. Był to właściwie najazd po bydło, jasyr i łupy. Khan był ambitny, jego marzenia obejmowały więcej niż tylko przywództwo koczowniczego plemienia. Już dawniej w tych górach wyrąbywano sobie mieczem królestwa.

Lecz teraz tak jak jego wojownicy był pijany rzezią. Domostwa Kushytów zamieniły się w dymiące ruiny. Stodoły oszczędzono gdyż zawierały siano i paszę dla koni. Smukli jeźdźcy pędzili wzdłuż doliny ciskając włóczniami o harpunowych ostrzach. Wyli ugodzeni ostrym żelazem mężczyźni, krzyczały kobiety odzierane z szat na siodłach jeźdźców.

Jeźdźcy ubrani w skóry i wysokie futrzane kołpaki mrowili się na porozrzucanych ulicach, największej wioski, nędznego skupiska domów, zbudowanych na poły z gliny, a na poły z kamienia. Wyciągani ze swych nędznych kryjówek, wieśniacy klękali, daremnie błagając łaski lub równie daremnie uciekali, tratowani w biegu przez konie.

Podczas takiej zabawy Akbar Khan stracił szansę na zdobycie królestwa. Wypadł z pomiędzy chat na łąkę goniąc obdartego nieszczęśnika, którego nogi uskrzydlał lęk przed śmiercią. Ostrze włóczni Khana ugodziło go pomiędzy łopatki. Drzewce pękło i wódz przejechał przez skręcone ciało tratując je kopytami. Brody jeźdźców pokryte były pianą

upojonego krwią wycia.

Świsł jataganów kończył się obrzydliwym śśśłp rozdieranego mięsa i kości. Jakiś zbieg odwrócił się krzycząc dziko, gdy Akbar rzucił się na niego z szeroko rozwianym kaftanem na wietrze, niczym skrzydła jastrzębia. Wytrzeszczonym oczom Kushyty ukazało się jak w koszmarnym śnie dzikie oblicze z wąskim zakrzywionym w dół nosem, chude ramię wyłaniające się z szerokiego rękawa i zakończone błyskiem szerokiej zakrzywionej stalowej klingi. W tej samej chwili Akbar Khan dostrzegł stojącą postać sprężoną pod odziewającymi ją łachmanami, której dzikie oczy patrzyły nienawistnie spod przeredzonych, potarganych kudłów i długi błysk słońca na lecącym w jego kierunku toporze. Dziki krzyk, który dobył się z ust rzucającego utonął w eksplodującym ryku Akbara. Kłębiąca się chmura kurzu okryła wszystkich, a lśniący, stalowy topór przeciął ciemność jak błysk pioruna. Z chmury kurzu wypadł samotny rumak z luźno zwisającymi wodzami. Kurz opadł.

Jedna z leżących postaci uniosła się na łokciu. Był to Kushyta, życie wypływało z niego szybko przez potworne cięcie na szyi. Chwytny ostatni dech spojrzawszy dzikimi oczyma na drugą postać. Kołpak Akbara wraz z większością jego mózgu leżał kilka jardów dalej odrzucony siłą bliskiego uderzenia. Broda Akbara Khana sterczała do góry jak gdyby w okropnym i śmiesznym zarazem zdziwieniu. Ramię wieśniaka ugięło się, twarz zaryła się w pył, usta wypełniła mu ziemia. Wypłuł ją, zabarwioną na czerwono. Upiorny śmiech wyrwał się z jego okrytych pianą warg i upadł ryjąc piach rękami. Gdy przerażeni wojownicy przybyli na miejsce był już martwy z upiornym uśmiechem zastygłym na wargach. Najeźdźcy przykucnęli jak dzikie sępy wokół padłej owcy i naradzali się nad ciałem swego wodza. Mowa ich była równie dzika jak ich oblicza i gdy powstali, zguba była pisana każdemu żyjącemu w dolinie Zabheli.

Spichlerze, siano i stodoły oszczędzone poprzednio przez Akbara Khana stanęły w płomieniach. Wszyscy jeńcy zostali zgładzeni: dzieci wrzucano żywcem w płomień, młodym dziewczętom rozpruwano brzuchy i ciskano na zbroszone krwią ulice. Obok ciała Khana wyrosła sterta odciętych głów. Jeźdźcy galopowali ciągnąc za włosy potworne szczątki, by rzucić je na straszliwą piramidę. Każde miejsce, z które mogłoby ewentualnie posłużyć za kryjówkę drżącym nieszczęśnikom roznoszono na strzępy.

W trakcie, gdy oddawali się temu zajęciu, jeden z nich dźgając stos siana, zauważył wśród żdźbeł poruszenie. Z wilczego wyciem sięgnął i wyciągnął ofiarę na światło dzienne, wydając okrzyk pożądanego triumfu, gdy ujrzawszy jeńca. Była to dziewczyna, lecz nie masywna wieśniaczka. Zdarłszy płaszcz, którym starała się owinąć swą wiotką kibić, napawał sępie oczy jej pięknem, ledwo tylko okrytym strojem stygijskiej tancerki. Za cienkim woalem, ciemne oczy przysłonięte czarnymi jak węgiel lokami przepelniał strach.

Walczyła desperacko, wykręcając swe gibkie biodra z okrutnego uścisku. Zaciągnął ją do konia, a wtedy ze śmiertelną szybkością jak kobra wyciągnęła zakrzywiony sztylet zza przepaski i zatopiła mu w sercu. Zwalił się z jękiem, a jego kożuch zabarwiła krew. Dziewczyna rzuciła się niczym pantera do jego konia, zda się wlatując na wysokie siodło tak zwinne były jej ruchy. Wielki rumak zarżał i stanął dęba, lecz ona gwałtownym ruchem zawróciła go i popędziła dolinę. Tłuszcza za jej plecami zawyla i runęła do gwałtownego pościgu. Strzały jęły świstać wokół głowy dziewczyny, a ona uchylając się, gdy przelatowały ze świstem zmuszała wierzchowca do jeszcze bardziej szaleńczego wysiłku.

Skierowała konia prosto w górę na południu, tam, gdzie wąski wąwóz otwierał się na dolinę. Tutaj jazda nie była już bezpieczna i Keshahńczycy ściągnęli koniom cugle, by nie pędziły na złamanie karku pomiędzy luźnymi kamieniami i popękanyimi głazami. Lecz dziewczyna pędziła jak liść niesiony przez burzę, tak więc wyprzedzała ich już o dobre sto jardów, gdy wjechała pomiędzy skupisko porośniętych tamaryszkiem głazów tworzących niby wyspę ponad dnem wąwozu. Pomiędzy głazami biło źródło, znajdowali się też tam ludzie.

Zauważyła ich pośród skał, a oni krzyknęli, by się zatrzymała. W pierwszej chwili wzięła ich za ludzi Akbara, lecz wnet spostrzegła, że jest inaczej. Byli wysocy i silnie zbudowani spod płaszczy błyszcząły kolczugi, na spiczastych stalowych hełmach zawiązane mieli białe turbany. Jeśli tamci byli szakalami, ci byli jastrzębiami. Zdała sobie z tego sprawę natychmiast, rozpacz wyostrzyła jeszcze jej spostrzegawczość. Dostrzegła naciągnięte łuki między skałami i zauważyła błyski na stalowych grotach włóczni. Zdecydowała się od razu. Zeskoczywszy z konia wbiegła między skały padając na kolana.

— W imię Mitry Miłosiernego i Litościwego pomocy!

Z kępy krzaków wynurzył się mężczyzna i na jego widok krzyknęła z niedowierzaniem.

Urlan Genor! Nagle przypominając sobie o swym położeniu przywarła mu do kolan wołając.

— O panie, ochroń mnie. Uratuj mnie przed tymi wilkami, które mnie gonią.

— Dlaczegoż miałbym ryzykować dla ciebie życiem? — zapytał obojętnie.

— Znam cię z dawnych czasów, z dworu królewskiego — krzyknęła rozpaczliwie zdzierając woal. — Tańczyłam przed tobą. Jestem Akira Stygijska.

— Wiele kobiet tańczyło przede mną — odrzekł.

— A więc przekażę ci coś — rzekła w ostatecznej rozpacz. — Słuchaj!

Kiedy wyszeptwała mu do ucha pewne imię, wzdrygnął się jak użądłony. Uniósł gwałtownie głowę i popatrzył na nią jak gdyby chciał wybadać jej najskrytsze myśli. Przez chwilę stał nieruchomo jak posąg, jak gdyby patrząc w głąb siebie, następnie wspiąwszy się na wielki głaz zwrócił się twarzą do nadjeżdżających jeźdźców i uniósł rękę.

— W imię Vaala jedźcie w pokoju swoją drogą.

W odpowiedzi strzały zaświstały mu koło uszu. Rzucił się w dół dając znak dłonią.

Cięciwy poczęły trzaskać pośród skał, rój strzał wyleciał spoza obrośniętego zaroślami pagórka. Z tuzin dzikich jeźdźców spadło z siodła. Reszta cofnęła się wyjąć z rozczarowania. Zatoczyli koło i popędzili z powrotem wąwozem ku głównej dolinie.

Urlan Genor obrócił się do Akiry, która skromnie zaciągała swój woal. W jego zachowaniu wyczuwało się pewną bezwzględną szczerą rzadką u ludzi jego pokroju. Okrywał go płaszcz z karmazynowego jedwabiu, pancerz zdobiony złotem, na posrebrzany hełm miał nałożony zielony turban z drogocenną zapinką. Słona woda, kurz i krew pokryła plamami jego strój, lecz jego bogactwo rzucało się w oczy nawet w owych czasach pawiego przepychu.

Jego ludzie zgromadzili się wokół niego, czterdziestu dzielnych stygijskich piratów uzbrojonych po zęby. W kotlinie za wzgórzem widać było spętane konie, niezbyt szlachetnej krwi.

— Moja córko — rzekł Urlan Genor życzliwie, czemu zadawały kłam jego okrutne oczy.

— Przysporzyłem sobie przez ciebie wrogów w obcym kraju przez wzgląd na imię, które wyszeptwałaś w me ucho. Wierzę ci...

— Niech mnie obedną ze skóry jeśliś skłamała — zaklęła się.

— Obedną — przyrzekł uprzejmie. — Dopilnuję tego osobiście. Wypowiedziałaś imię księcia Orkana. Co wiesz o jego losie? Od trzech lat dzielę z nim wygnanie. Gdzież on jest? Wskazała na góry wznoszące się nad odległą doliną, na widoczne pośród urwistych skał wieże zamku.

— Po drugiej stronie doliny, w zamku Afzala Szarkana, Kushyty.

— Byłby trudny do wzięcia — zadumał się.

— Poślij po resztę swych morskich jastrzębi — krzyknęła. — Znam sposób, by zawieść cię do samego serca tej warowni.

Potrząsnął głową.

— Ci, których tu widzisz to wszyscy moi ludzie. Potem widząc jej niedowierzanie rzekł.

— Nic dziwnego żeś zdumiona. Powiem ci...

Z niepokojącą szczerością, którą towarzyszący mu żołnierze uznali za niepojętą, Urlan Genor pokrótce naszkicował dzieje swego upadku. Nie mówił o swych triumfach, gdyż były zbyt dobrze znane, by trzeba je było wspominać.

Pięć lat temu pojawił się niespodziewanie na Oceanie Zachodnim jako prawa ręka sławnego korsarza Alladina Hazięgo. Wkrótce przewyższył swego mistrza i zebrał własną flotę nie słuchając niczyich poleceń. Pierwej sprzymierzeniec Wielkiego Pikta i mile widziany gość Najwyższej Rady, rozwścieczył później Akrona swymi atakami na piktyjskie galery. Łupiący i plądrujący wzdłuż wybrzeży korsarz został wreszcie schwytany przez piktyjską flotę, a wszystkie jego okręty oprócz dwóch zostały zniszczone. Akron darował mu życie, lecz wyznaczył mu zadanie, które praktycznie oznaczało wyrok śmierci. Rozkazano mu pożeglować Czarną Rzeką aż do równiny Dorynium i tam zniszczyć jednego z wrogów Piktów, księcia Gotryka Mulen, którego wypadł wraz z swym specjalnie wyćwiczonym oddziałem na piktyjskie posiadłości doprowadzały Akrona do szaleństwa. Czekał tylko na odpowiedni moment, by za jednym zamachem pozbyć się wszystkich swoich największych wrogów. I ten moment nadszedł, podczas kolejnego najazdu Aquilończyków. Akron uknuł wspaniały plan stoczenia bitwy z połową armii aquilońskiej. Druga część armii, najemnicy idący z Zingary, miała być skierowana w innym kierunku, przez wysoko postawionego szpiega. Wiedział również, że podczas wypraw aquilońskich, w których uczestniczył Gotryk, na stałe mieszkający w Zingarze i podążający z najemnikami, jego oddział obozował zawsze na uboczu, a sam Gotryk przebywał w głównym obozie tylko podczas narad i przed samą bitwą, a i to nie zawsze.

Aquilończycy co jakiś czas przenosili swój warowny obóz potajemnie z miejsca na miejsce, by nie zaskoczył ich niespodziewany atak. Lecz do miejsca w lesie, w którym osiedli

Jordan Robert - Conan. Droga demona

doprowadził korsarzy zdrajca i to wówczas, gdy większość z nich była zajęta walką na równinie. Nie udało się schwycić lotnym wypadem Gotryka Mullen gdyż pozostali przy nim żołnierze bronili się zjadle. W kulminacyjnym momencie bitwy wróciła reszta jego ludzi. Urgan czmychnął pozostawiając w ich rękach jeden ze swych okrętów. Wiedział, że Akron nie daruje mu porażki więc zamiast połączyć się z flotą piktyjską, która czekała u wybrzeża, puścił się natychmiast na Morze. Wkrótce za nim pognali Aquilończycy na zdobyczym statku przykuwszy do wiosł jego załogę. Ich zawziętość była dlań niepojęta nie wiedział bowiem, że wystrzelona strzała trafiła przypadkiem i zabiła Gotryka Mullen co rozwścieczyło jego gwardzistów.

Gdy wschodni brzeg był już w zasięgu ręki, tamtym udało się podpłynąć na odległość strzału i w walce, która się wywiązała tylko buntowi wiosłarzy na aquilońskim statku Urgan Genor zawdzięczał możliwość ujrzenia następnego dnia.

Galera przybiła do brzegu w zatoczce, gdzie można by ją naprawić. Lecz teraz po wodach Oceanu krążyła flota stygijska i po tym jak rozniosła się wieść o jego klęsce zapewne na niego czekali. Nad zatoczką leżała wioska zamieszkiwana przez mężczyzn i kobiety trudniących się uprawą winorośli i rybołówstwem. Tam Urgan Genor otrzymał konie i ruszył w góry szukając czegoś, czego mogło w nich w ogóle nie być: drogi wyjścia z tej trudnej sytuacji lub nowego królestwa do władania.

Parli przez góry całe dnie w ciągłym łęku, że wpadną w łapy stygijskim forpocztom. Urgan Genor był przekonany, że rączy kurierzy roznieśli już po całym imperium wieści o wyznaczeniu nagrody za jego głowę. Zemsta stygijskich władców dosięgała każdego bez wyjątku tam gdzie sięgała jeszcze ich władza. Włóczył się bez planu zdając się na los.

Akira wysłuchała opowieści i bez komentarza rozpoczęła swoją historię. Jak Urgan wiedział było w zwyczaju władców po objęciu tronu zarzącać swych braci i ich potomstwo. Niezależnie od moralnego aspektu nie można zaprzeczyć, że zwyczaj ten uratował Stygię, od wielu katastrofalnych wojen domowych, gdyż każdy książę uważał tron za swój cel nadrzędny. Czasami jednak jedwabny sznur do duszenia skazańca zastępowano więzieniem. To właśnie przytrafiło się księciu Orkanowi, synowi Haima Pajaka i bratu Mungara. Gdy Haim zakończył wreszcie swój żywot, Mungar wygrał wyścig do stolicy. Jeszcze jednym stygijskim zwyczajem było bowiem przyznanie korony temu, kto pierwszy osiągnął stolicę po śmierci władcy. Weziryowie lękając się wojny domowej zasadniczo wspierali tego, kto przybywał pierwszy, kupował sobie żołnierzy hojnymi podarunkami i brał się za eliminowanie swych braci. Nawet mając tę przewagę, słaby Mungar nie zdołałby nigdy pokonać swego wojowniczego brata, gdyby nie faworyta haremu Zefira, keshanka z rodu Ravino. Była ona faktycznym władcą Stygi i jej podstęp sprawił, że Keshanczyzy zostali doradcami Mungara, a Orkan został wygnany.

Szukał azylu na dworze w Keshanie, lecz odkrył, że król koresponduje z Zefirą, która nakłania, by go otruć. Próbował dotrzeć do Iranistanu, lecz został schwytany przez koczowniczych Puntjczyków, którzy poznali go i sprzedali Stygijskiemu. Orkan uważał swój los za przypieczętowany, lecz Mungar nie odważył się go zadusić, gdyż był bardzo popularny wśród mas, szczególnie wśród ujarzmionych, lecz ciągle niesfornych Mangemurów z Erdoni i wolnych Zibajów... nomadów z Arboli. Uwięziono go w zamku niedaleko Sukhmetu, otoczono luksusami i zachęcano do rozpusty, by złamać jego ducha.

— Cel ten stopniowo osiągnano — mówiła Akira. Była jedną z tancerek wystanych aby go zabawić. Zakochała się niespodziewanie w przystojnym księciu i zamiast próbować pogrążyć go całkowicie w folgowaniu zmysłowym namiętnościom, dołożyła starań aby wydzwignąć go z powrotem do człowieczeństwa. Udało jej się tak dobrze choć bez wzbudzania żadnych podejrzeń, że księcia pośpiesznie i potajemnie zabrano z Sukhmetu i przeniesiono w dzikie góry nad doliną Zabheli powierzając go Afzalowi Szarkanowi dzikiemu na wpół rozbójniczemu wodzowi, którego ród panował nad doliną wzorem feudalnych panów przez pokolenia łupiąc mieszkańców, lecz nie zapewniając im ochrony.

— Przebywali tam przez ponad rok — dokończyła Akira. Książę Orkan wpadł w apatię. Nie rozpoznałbyś w nim tego młodego orła, który prowadził swych stygijskich jeźdźców prosto na zastępy Shemitów. Niewola i wino odurzyły jego zmysły. Siedzi na poduszkach, ożywiając się tylko wtedy, gdy śpięsam dlań lub tańczę. Lecz ma w żyłach krew zwycięzcy. W nim odrodził się jego dziad, Abdulkadir Wielki. Jest lwem, który jeno śpi... Gdy Keshanczyzy najechali dolinę wyslizgnęłam się z zamku i poczęłam szukać Akbara Khana, zasłyszawszy o jego ambicjach. Chciałam znaleźć człowieka wystarczająco śmiałego, by wspomóc Orkana. Niech jego młode orle skrzydła poczną znowu wiatr, a wstanie i otrząśnie się z oparów spowijających jego mózg. Znowu będzie Orkanem Wspaniałym. Lecz

Akbara zabito nim zdołałam się do niego dostać i wówczas jego ludzie stali się podobni wściekłemu psom. Przeleżałam się i ukryłam, lecz wyciągnęli mnie.

— Och panie, pomóż nam. Cóż, że nie masz okrętu i jedynie garstkę ludzi za sobą? Z mniejszymi siłami zakładano królestwa. Gdy rozejdzie się wieść, że księżę jest wolny, a ty z nim, ludzie będą gnać się do nas! Moźni panowie Holidoci wspierali go już przedtem. Gdyby znali miejsce jego uwięzienia rozwaliliby tę warownię kamień po kamieniu! Naszego władcę ogłupiano, lud nienawidzi Zefiry i jej bękartą Abizera. Najbliższa stygijska placówka jest trzy dni jazdy stąd. Zamek jest odosobniony, wiedzą o nim tylko koczownicze, górskie plemiona i nieszczęśni wieśniacy z doliny. Tutaj można niepokojonym zbudować podwaliny imperium. Ty także jesteś wyjęty spod prawa. Połączmy nasze siły, by ocalić Orkana i by zawieść go do tronu, który mu się prawnie należy. Gdyby został władcą Stygii wszystkie bogactwa i zaszczyty byłyby twoje, Mungar oferuje ci jeno jedwabny sznur. Klęczała przed nim, jej białe palce konwulsyjnie szarpały jego płaszcz, czarne oczy płonęły namiętnym błaganiem. Uraln milczał, lecz zimne błyski pojawiały się w jego stalowych oczach. Wiedział, że to co dziewczyna mówi o popularności Orkana jest prawdą, doceniał też własną siłę. Ten kto wynosi królów na trony! To była rola o jakiej śnił. I ta desperacka awantura, w której wygraną był tron albo śmierć, była wystarczającą, by zagrzać jego dziką duszę. Nagle roześmiał się i jakie by zbrodnie nie plamiły jego duszy, ten śmiech był tak dźwięczny i pełen zapału jak poryw morskiego wiatru.

— Będziemy potrzebowali Keshañczyków grabiących w dolinie dla naszej sprawy — powiedział, a dziewczyna klasnęła w dłonie z krótkim namiętnym okrzykiem radości.

* * *

— Zatrzymajcie się. Conan Cymmeryjczyk ściągnął wodze wierzchowca i rozejrzał się wokoło wyciągając krępa szyję. Z tyłu jego towarzysze poruszyli się w siodłach. Znajdowali się w wąskim parowie, którego strome stoki obrośnięte były wspaniałymi jodłami. Przed nimi, pomiędzy z rzadka rosnącymi drzewami tryskało źródło i woda ściekała w dół zielonym od mchu korytem.

— Wreszcie woda — mruknął Conan — świta...

Żołnierze zsiadli z koni, rozsiadali je i pozwolili znużonym wierzchowcom napić się do woli zanim sami ugasili pragnienie. Od wielu dni szli śladem błąkających się korsarzy. Od chwili, gdy porzucili brzeg widzieli tylko jeden znak życia: skupisko szałasów pośród skał zamieszkałych przez jakieś odziane w skóry kreatury, które na widok nadjeżdżających, z wyciem skryły się po rozpadlinach. Stygijczycy złupili ich tak gruntownie, że Aquilończycy z trudem zebrali paszę dla koni. Dla ludzi zabrakło stawy.

Juki przy siodłach napełnione w wiosce nad brzegiem były puste. Korsarze obłowili się obficie w jej spichrzach, Aquilończycy, którzy przybyli później wyczyścili je do cna. W tych górach nie było wiele trawy na paszę i teraz Aquilończycy nie mieli jada dla ludzi i karmy dla zwierząt przy tym zgubili trop piratów.

Poprzedniego dnia zmrok zastał ich szybko doganiających swą zdobycz. Ślady były całkiem świeże. Parli szaleńczo naprzód mniemając, że osiągną obóz Stygijczyków przed nocą. Lecz, gdy zaszedł młody księżyc, stracili trop w plątaninie wąwozów i błąkali się po omacku. Teraz o świecie znaleźli wodę, lecz konie były wyczerpane, a oni sami kompletnie zagubieni. Lecz nie winili Cymmeryjczyka, choć to jego brawura wpędziła ich w takie położenie.

— Prześpijcie się — burknął Conan — Togrul, ty Stokron i Voodr obejmiecie straż jako pierwsi. Gdy słońce wzejdzie ponad te jodły zbudźcie następnych. Ja ruszam na zwiady do tego wąwozu.

Wkroczył w wąwóz i wkrótce zagubił się pośród rozrzuconej roślinności. Urwiska po obu stronach, zmieniły się w wyniosłe ściany skalne, wyrastające pionowo z zawałonego kamieniami dna, prowadzącego lekko w górę.

Nagle z kępy krzaków i popękanych głazów wyskoczyła i stanęła przed nim dzika, kudłata postać, tak raptownie, że aż dech zaparło mu w piersiach. Conan wciągnął ze świstem oddech przez zęby, a jego miecz zabłysł wysoko w powietrzu, lecz pohamował uderzenie widząc, że zjawa jest bezbronna. Był to chudy, do gнома podobny, człek w owczej skórze. Dzikim wzrokiem lustrował potężnego Cymmeryjczyka od czubka głowy po buty ze srebrnymi ostrogami, kaftan kolczy wepchnięty w szerokie szarawary i sztylety wystające z szerokiego jedwabnego pasa.

— Panie zmiłuj się — wykrzyknął włóczęga. — Co wolny Aquilończyk robi w tym nawiedzonym przez demony miejscu?

— Kim jesteś — ostrożnie mruknął Conan.
— Byłem synem wodza, wioski leżącej w dolinie Zabheli — odrzekł tamten ze strasznym, dzikim uśmiechem. — Mów mi Creoon. Dla banity imię dobre jak każde inne.
— Co tu robisz? Co jest za tym wąwozem? — odpowiedział pytaniem Cymmeryjczyk.
— Za tamtym grzbietem, który zamyka niższy kraniec wąwozu leży labirynt parowów i turni. Minąwszy je wyjdiesz na szeroką dolinę, która do wczoraj była domem mego plemienia, a którą dziś zaścielają jeno ich spalone ciała.
— Czy jest tam pożywienie?
— Taa... I śmierć. Horda wyjętych spod prawa Keshañczyków okupuje dolinę.
Gdy Conan rozważał to, odgłos szybkich kroków kazał mu się obejrzyć. Zauważył nadchodzącego Togrula.
— Hu! Conan spojrzął spode łba. — Rozkazałem ci czuwać nad snem pozostałych.
— Ludzie są zbyt głodni, by spać — odparł posępnie Togrul spoglądając podejrzliwie na Kushytę.
— Niech cię diabli porwą — burknął wielki wojownik. — Nie wyczaruję im baraniny z powietrza. Będą musieli gryźć kciuki zanim nie znajdziemy wioski do złupienia...
— Mogę zaprowadzić was tam, gdzie jest dość jada, by wyżywić cały oddział — przerwał Creoon.
— Nie rozdrażniaj mnie człowieku — spojrzął ponuro Cymmeryjczyk. — Przed chwilą rzekłeś, że Keshañczycy...
— Lecz... — wykrzyknął Creoon — znam blisko stąd kryjówkę nieznaną nikomu, gdzie mój lud trzymał potajemnie żywność. Tam zdążyłem gdym zoczył cię idącego wąwozem. Togrul spojrzął na Conana, który wyciągnął miecz.
— Więc prowadź — rzekł Cymmeryjczyk — lecz pierwszy fałszywy ruch i po tobie.
Creoon zaśmiał się pogardliwie i skinął, by podążyli za nim. Poszedł prosto w stronę najbliższego zbocza przedzierając się na oślep przez kępy łamliwych krzaków i odsłonił coś co wyglądało jak wąskie pęknięcie w skale. Skinąwszy na pozostałych schylił się i wślizgnął do środka.
— Do tej wilczej nory? — Togrul spojrzął podejrzliwie, lecz Conan skierował się za Kushytą, podążył więc jego śladem. Znaleźli się nie w jaskini, lecz w ciasnej rozpadlinie, w ponurym, dławiącym mroku. Czterdzieści kroków dalej, weszli do owalnego pomieszczenia, otoczonego wznoszącymi się wysoko ścianami, które przypominały monstrualne plastry miodu.
— To groby starożytnego i nieznanego ludu — rzekł Creoon — ich kości dawno już rozpadły się w proch. Moje plemię przechowywało żywność w tych jaskiniach na wypadek głodu. Biercie ile chcecie, nie ma już ludzi, którzy by jej potrzebowali.
Conan rozejrzał się dokładnie dookoła. Miał uczucie, że znajduje się na dnie olbrzymiej studni. Podłożem był jednolity blok skalny, gładko wypolerowany, jak gdyby stopami dziesięciu tysięcy pokoleń. Ściany podziurawione jak rzeszoto regularnymi rzędami grobów, na pięćdziesiąt stóp z każdej strony, wznosiły się na zapierającą dech w piersiach wysokość, tworząc w górze mały krążek błękitnego nieba, na którym niczym czarna plamka wisiał sęp.
— Twój lud powinien mieć schronienie w tych jaskiniach — rzekł Togrul — jeden człek mógłby bronić wejścia przed całą hordą.
Creoon wzruszył ramionami.
— Tu nie ma wody. Gdy Keshañczycy spadli na naszą wioskę nie było czasu, by ująć i skryć się. Mój lud nie był waleczny. Pragnął jeno w spokoju uprawiać rolę.
Togrul potrząsnął głową nie będąc w stanie pojąć takiej natury. Creoon wyciągał żywność dla koni i ludzi z dolnej jaskini: skórzane torby pełne ziarna, prosa, sera, suszonego mięsna i bukłaki kwaśnego wina.
— Idź przyprowadź kilku ludzi żeby pomogli przenieść to wszystko — zarządził Conan spoglądając na wyżej położone jaskinie. — Ja zostanę z Creoonem.
Togrul wyszedł — butnie brzęcząc srebrnymi ostrogami na kamieniach, a Kushyta pociągnął za ramię Cymmeryjczyka.
— Teraz wierzysz żem uczciwy?
— Taak, na Croma — odparł Conan żując garść suszonych fig.
— Każdy kto doprowadził mnie do jedzenia musi być przyjacielem. Lecz gdzież były osady tych starożytnych? Nie mogli wszak uprawiać zbóż w tym kamienistym parowie na zewnątrz.
— Mieszkali w dolinie Zabheli.
— Więc czemuż nie chowali swych zmarłych gdzieś bliżej? Droga z doliny tutaj musi być długa i stroma.

Oczy Creona zabłyśły jak u głodnego wilka.

— W sercu tej góry zamknięto tajemnicę znaną jeno memu ludowi. Lecz pokażę ci jeśli mi zaufasz.

— Dobrze — rzekł Conan jedząc ze smakiem. — My nie mamy powodów, by kłamać czy kręcić. Ścigamy tego diabła Urlana Genora, korsarza, który jest gdzieś w tych górach.

— Urlan Genor jest niespełna trzy godziny jazdy stąd.

— Hu! Conan rzucił figi na ziemię i złapał za miecz. Oczy mu rozbłyśły.

— Panie uważaj — krzyknął Creoon. — Jest z nim czterdziestu korsarzy uzbrojonych po zęby i obwarowanych w wąwozie Devon. Dołączył do nich Moonar Gali na czele stu pięćdziesięciu Keshañczyków. Ilu wojowników masz panie?

Conan pokręcił głową i nie odpowiadał zachmurzony. Podrapał się j w głowę zastanawiając się co hetman zrobiłby w tej sytuacji. Nie znosił wysiłku umysłowego, zawsze działał na niego usypiająco. W głowie mu wirowało boleśnie, pragnął wyszarpnąć miecz i zadawać potężne ciosy, zapominając o nużących rozważaniach, o nużących medytacjach, zadając potężne ciosy. Choć uchodził za pierwszą szablę zachodu, nigdy dotąd nie przewodził swym towarzyszom. Przeklinał teraz tę konieczność. Był bystrzejszy niż jego ludzie, lecz wiedział, że nie dowodziło to bynajmniej mądrości. Byli tak jak on, lekkomyślni i niezapobiegliwi. Pod mądrym przywództwem byli niezwyciężeni, pozbawieni go szafowaliby życiem dla kaprysu. Popętnił błąd, prąc do przodu po zapadnięciu zmroku poprzedniej nocy, wątpliwe czy taka myśl zaświtałaby im w głowie. Creoon obserwował go przenikliwie, widząc wielki wysiłek umysłowy malujący się na szerokiej, prostodusznej twarzy Conana.

— Urlan Genor jest twym nieprzyjacielem?

— Nieprzyjacielem!? — parsknął Cymmeryjczyk z wściekłością. — Pokryję sobie siodło jego skórą!

— Pekki. Chodź więc ze mną, a pokażę ci coś czego nikt krom ludzi z wioski nie widział od tysięcy lat!

— Cóż to? — zapytał Conan podejrzliwie.

— Drogę śmierci dla naszych wrogów!

Conan postąpił o krok, potem stanął.

— Czekaj! Oto nadchodzą szlachetni wojownicy. Posłuchaj jak klną psiajuchy!

— Wyślij ich z powrotem z jedzeniem — wyszeptał Creoon, gdy pół tuzina wojowników wyszło zawiadacko ze szczeliny rozglądając się wokół. Conan stanął przed nimi w groźnej postawie z szeroko rozstawionymi nogami, z wypiętym brzuchem i kciukami zatkniętymi za pas.

— Zabierzcie to wszystko i zanieście do źródła — powiedział gestykulując zamasyście.

— Powiedziałem wam, że znajdę jado.

— A co z tobą? — zapytał Togrul, żując skrawek suszonej na słońcu baraniny.

— Nie trap się mną! — ryknął Cymmeryjczyk. — Czyż nie jestem waszym dowódcą?

Mam do pomówienia z Creoonem. Wracajcie do obozu i niech was diabli wezmą!

Gdy stukot podkutych butów ucichł w szczelinie, Creoon poprowadził go ciągiem stopni wykutych w skalnych ścianach. Wysoko ponad najwyższym poziomem grobowców, ledwo wyczuwalne stopnie urywały się u wejścia do pieczary sporo większej niż pozostałe. Conan mógł się wyprostować i zauważył, że jaskinia biegnie dalej i znika w ciemności.

— Tym szybem starożytni z doliny Zabheli wnosili swych zmarłych — rzekł Kushyta.

Jeśli nim pójdziesz wyjdiesz w pobliżu zamku Afzala Szarkana górującego nad doliną.

— Jaka z tego korzyść dla nas? — mruknął Conan.

— Posłuchaj — Creoon przykucnął w półmroku opierając się plecami o skalną ścianę. —

Wczoraj, gdy rozpoczęła się rzeź, opierałem się przez jakiś czas tym psom, potem, gdy wyróżniło mych towarzyszy, zbiegłem z doliny, uciekając wąwozem Devon. W połowie wąwozu wznosi się wielki stos kamieni zamaskowany zaroślami. Obsadzali go obcy wojownicy. Otoczyli mnie nim zdałem sobie sprawę, że tam są. Pobili mnie, związali i jęli wypytywać co zaszło w dolinie, gdyż jadąc wąwozem słyszeli krzyki. Zatrzymali się więc i obwarowali zamierzając wysłać zwiadowców. Byli to stygijscy piraci, a ich dowódca nazywał się Urlan Genor.

Gdy wypytywali mnie, nadjechała konno dziewczyna, pędząc jak szalona. Keshañczycy deptali jej po piętach. Gdy zeskoczyła z siodła i jęła błagać Urlana Genora o pomoc, rozpoznałem w niej tancerkę mieszkającą w zamku. Grad strzał rozpędził ścigających ją i wówczas Urlan począł rozmawiać z tą dziewczyną, Akirą. Zapomnieli o mnie, a ja leżąc obok słyszałem każde ich słowo. Już ponad rok Szarkan trzyma jeńca w swym zamku. Wiem, bom dostarczał im ziarno i owce, otrzymując w zamian jak zwykle od nich zapłatę w postaci przekleństw i razów. Panie tym jeńcem jest Orkan brat króla Mungara!

Zaskoczony Conan chrząknął.

— Akira wyjawiała to Urlanowi Genorowi ten obiecał pomóc jej w oswobodzeniu księcia. Gdy rozmawiali powrócili chciwi pomsty Keshhańcy, zatrzymali się jednakowoż z daleka czując respekt przed korsarzami. Urlan posłał do nich i jęli rozmawiać, on i wódz Keshhańczyków Moonar Gali, który objął dowództwo po śmierci ich wodza. W końcu Moonar wszedł między skały i zasiadł przy pirackim ognisku dzieląc się chlebem i solą. Zaczem cała trójka jęła spiskować jak uratować księcia Orkana i wynieść go na tron.

Akira odkryła sekretne przejście do zamku. Tego wieczora tuż przed zmierzchem mają otwarcie zaatakować zamek, gdy ściągną na siebie uwagę obrońców, Urlan i jego piraci dostaną się do zamku tajnym przejściem. Akira wróci do Orkana i otworzy im tajną furtę. Zaczem zabiorą księcia i pojedą w góry zwołując wojowników.

Chcesz pomsty, oto szansa na pomstę i złoto. Wskażę ci jak schwytać Urlana Genora. Zabij go, zabij dziewczynę i tych co z nimi przyjdą. Zabierz Orkana i przyciśnij Zefirę, by wypłaciła ci godną nagrodę. Wierz mi, suto zapłaci za usunięcie go lub zabicie.

— Pokaż drogę — mruknął Conan niedowierzającym tonem. Grzebiąc w stosie leżących w kącie rupieci Creoon przysposobił pochodnię i skrzesał ogień, przy użyciu krzesiwa, zapalił ją. Gdy ruszył w dół jasknią, Cymmeryjczyk poszedł za nim wyciągając swój miecz!

— Bez żadnych sztuczek człowieku — przestrzegł. — Albo zmiotę ci głowę z karku.

Śmiech Kushyty zadźwięczał w półmroku bezlitosną goryczą.

— Miałbym wydać Aquilończyka katom mego ludu?

Pieczara przekształciła się w tunel, w którym trzy konie mogłyby jechać obok siebie.

Gładka podłoga biegła w dół i co jakiś czas kilka stopni wykutych w skale sprowadzało ją na niższy poziom. Conan nie miał pojęcia jak daleko uszli, do chwili, kiedy posłyszał plusk spadającej wody. Tunel skończył się nagle ogromnym, równo obrobionym skalnym blokiem, wokół którego krawędzi, cienką szczeliną przesączało się światło. Creoon zgasił pochodnię i w ciemnościach Conan usłyszał jak natęża się chrząkając. Blok zawieszony na kamiennej osi obrócił się odsuwając na bok i przed oczyma barbarzyńcy zaśniła srebrna tafla.

Stali w wąskim wylocie tunelu, przesłoniętym ścianą wody, spadającej z wysokiego urwiska. Z sadzawki, która pienila się u podnóża wodospadu, wypływał strumień, wartko spływający w dół wąwozu. Kushyta wskazał na półkę skalną rozpoczynającą się u wylotu jaskini i biegnącą skrajem sadzawki, Conan poszedł za nim przywiązawszy w pierw starannie do pasa miecz i noże jedwabną chustą. Zanurzył się w cienką warstwę spadającej wody i znalazł się w kanionie, wyciętym jakby nożem w zboczu góry, szerokim nie więcej niż na pięćdziesiąt kroków, o stromych ścianach wyższych po lewej stronie. Poza pasmami roślinności obrastającymi koryto strumienia nie widać było żadnej innej roślinności. Strumień wił się dnem kanionu i znikał w wąskiej szczelinie w przeciwnym zboczu, by w końcu odnaleźć drogę do przecinającej dolinę rzeki.

Cymmeryjczyk szedł za Creoonem w górę wąwozu, który wił się jak torturowany wąż. Po jakichś trzystu krokach nie było już widać wodospadu i tylko niewyraźny szmer dobiegał ich uszu. Dno parowu wznosiło się ku stromemu szczytowi i wkrótce Kushyta pociągnął towarzysza w tył łapiąc go za ramię. Przy załomie skalnej ściany rosło karłowate drzewo i pod nim Creoon przykucnął wyciągając rękę.

Conan chrząknął. Za załomem wąwóz biegł przez około osiemdziesiąt kroków i kończył się ślepo. Z prawej strony zbocze zdawało się być dziwnie odmienne i przyglądał mu się przez dłuższy czas nim zorientował się, że patrzy na mur postawiony ręką ludzką. Byli niemal na tyłach zamku zbudowanego na odłamie skalnym. Jego ściany wyrastały stromo z krawędzi głębokiej szczeliny, której nie przykrywał żaden most, a jedynym widocznym wejściem były ciężkie, okute żelazem drzwi.

— Tą ścieżką, ta dziewczka Akira uciekła — rzekł Creoon. — Ten wąwóz biegnie niemal równoległe do doliny, zwęży się ku zachodowi i ostatecznie dochodzi do doliny, za którą jest ta, gdzie stały wioski. Dawni panowie zamku zablokowali go głazami tak, że nie sposób go odkryć z zewnętrznej doliny o ile ktoś o nim nie wie. Rzadko używali tej drogi i teraz nawet nowi właściciele nie wiedzą nic o tunelu za wodospadem czy Jaskini Zmarłych. Owe drzwi Akira otworzy Urlanowi Genorowi.

Conan przygryzł wargę. Miał ochotę sam złupić zamek, lecz nie widział sposobu, by się doń dostać. Szczelina była za szeroka, by ją przeskoczyć, w dodatku po drugiej stronie nie było żadnego występu, o który mógłby się zaczepić.

— Na Croma, Creoonie — rzekł. — Chciałbym obejrzeć tę dolinę, o której tyle słyszę.

Kushyta spojrzął na jego wielkie cielsko i potrząsnął głową.

— Jest droga, którą zwiemy Skrzydlatą Drogą, lecz ona nie dla takich jak ty.

— Na Croma! — wrzasnął Conan nastroszywszy się od razu. Był ciemniak w baranicy

— miałby być lepszy od Cymmeryjczyka? — Pójdę wszędzie, gdzie ty odważysz się pójść! Creoon wzruszył ramionami i poprowadził z powrotem parowem, aż do miejsca skąd widać było wodospad, zatrzymując się przy czymś co wyglądało jak płytka bruzda wyżłobiona w wyższej ze skalnych ścian. Przyjrzawszy się bliżej, Conan dojrzał szereg płytkich uchwytów dla rąk, wykutych w litej skale.

— Bodajby cię psy zeżarły człowieku — powiedział wzburzony. — Po tych dziobach po ospie nawet małpie trudno by się było wspiąć. Creoon zaśmiał się pozbawionym wesołości śmiechem.

— Odwiń swój pas pomogę ci.

Na szerokiej twarzy Cymmeryjczyka duma walczyła chwilę z ciekawością, wreszcie zrzucił buty ze srebrnymi ostrogami i odwinął z bioder okazałej długości wstęgę jedwabiu. Jeden koniec przyczepił do pasa, na którym wisiał miecz, drugi do pasa Kushyty. Tak wyposażeni rozpoczęli zawrotną wspinaczkę. Conan przywierał do płytkich wgłębień palcami u rąk i nóg po wielekroć krew zastygała mu w żyłach, gdy ześlizgiwał się ze stromizny. Z pół tuzina razy jedynie pomocy Creoona zawdzięczał ocalenie. Lecz wreszcie osiągnęli szczyt i Conan usiadł ze stopami dyndającymi nad przepaścią próbując uspokoić oddech. Wąwóz wił się pod nim jak wąż, a ponad jego południową ścianą rozpościerał się widok na dolinę Zabheli z rzeką płynącą meandrami przez jej środek.

Dym ciągle unosił się nad szerniałymi bryłami, które były niegdyś wioskami. Na prawym brzegu, w dół rzeki, rozbitych było kilka skórzanych namiotów. Conan dostrzegł mężczyzn kręcących się wokół nich, podobnych z tej odległości do krzątających się mrówek.

— To Keshañczycy — objaśnił Creoon i wskazał na wylot wąskiego kanionu na południowym brzegu doliny, w którym obozowali stygijscy korsarze. Lecz to zamek przyciągał uwagę barbarzyńcy.

Osadzono go na występie skalnym, który sterczał ze zbocza i spływał w dolinę. Zamek wznosił się nad doliną, całkowicie otoczony wysokim, na dwadzieścia stóp, masywnym murem. Ciężką bramę flankowały przebite strzelnicami wieże, trzymające pod obstrzałem zewnętrzne stoki.

Zbocze nie było zbyt strome i można było pokonać je z łatwością, lecz pochylenie nie zapewniało ochrony. Atakujący wystawieni byli na ostrzał z wież. Conan zaklął.

— Sam diabeł nie wzięłby tej warowni szturmem. Jak dostaniemy się do królewskiego brata na tym skalnym słupie? Zaprowadź nas do Uurlana Genora. Chcę zabrać jego głowę.

— Bądź rozważny, jeśli chcesz zachować własną Cymmeryjczyk — odrzekł Creoon szydyczko. — Spójrz w dół na wąwóz. Co widzisz?

— Skupiska gołych głazów i pasma zieleni wzdłuż strumienia — odrzekł Conan wyciągając szyję.

Creoon wyszczerzył zęby jak wilk.

— A czy zauważyłeś, że pasmo jest znacznie gęstsze na prawym brzegu nieco wyższym od lewego? Słuchaj! Skryci za wodospadem możemy poczekać aż Stygijscy podejną wąwozem. Wtedy ukryjemy się w zaroślach przy strumieniu i zasadzimy się na wracających. Zabijemy wszystkich poza Orkanem, którego pojmiemy. Wtedy tunelem dotrzemy do koni i wrócimy do twego kraju.

— Nie ma sprawy — odrzekł Conan przygryzając ponownie wargę. — Zdobędziemy galerę. Wypłyniemy w nocy z szablami w zębach, wdramiemy się po łańcuchach kotwicznych i dalejże, kłuć i rąbać! Tak będzie! Strażnikom pucinamy łby, a pozostali będą wiosłować w drodze powrotnej. Lecz cóż to?

Creoon zeszczytniał. Od strony odległego keshañskiego obozowiska pędzili galopem jeźdźcy przepędzając konie przez płytką rzekę. Promienie słońca lśniły na ostrzach włóczni. Na murach zamku poczęły błyskać hełmy.

— Atak! — wykrzyknął Creoon. — Zmieniili plany! Mieli atakować dopiero o zmroku! Szybko! Musimy zejść do wąwozu zanim nadejdą Stygijscy i wybiorą nas jak ryby z saka. Spojrzał w dół na wąwóz znikający na wschodzie jak cięcie szabli pośród wzgórz, wyciągając oczy, by dojrzeć błysk tarczy lub hełmu. Na ile mógł to ocenić w parowie nie było śladów życia. Ponaglił Conana i wielki wojownik ostrożnie jął opuszczać swe cielsko w płytką bruzdę, klnąc straszliwie i objając sobie łokcie.

Zejszcie zdawało się być jeszcze bardziej niebezpiecznym niż wspinaczka, lecz w końcu stanęli w parowie i Creoon popędził w kierunku wodospadu, groteskowa, skradająca się pośpiesznie postać w owczych skórkach. Odetchnął z ulgą, gdy osiągnęli sadzawkę, minęli skalny występ i zagłębili się w wodospad. Lecz gdy weszli w upiorny półmrok zatrzymał się gwałtownie łapiąc Conana za ramię. Jego czujne ucho zdołało poprzez szum wody wychwycić brzęk stali na kamieniu.

Spojrzeni poprzez połyskującą srebrzyście wodną kurtynę przez, którą wszystko wyglądało dziwnie i tajemniczo, i która chroniła ich przed oczyma kogokolwiek z zewnątrz. Kushytę przebiegł dreszcz. Dotarli do kryjówki dosłownie w ostatniej chwili.

Wąwozem nadchodziła grupa wojowników, wysokich, w kolczugach i hełmach owiniętych turbanami. Na ich czele szedł mąż wyższy od innych. Rysy jego sokolej, okolonej czarną brodą twarzy różniły się nieco od rysów towarzyszy. Jego szare oczy zdawały się patrzeć prosto w oczy Conana, gdy korsarz spojrzął na wodospad. Głębokie westchnienie wydarło się z potężnej piersi Conana. Zacisnął stalową dłoń kurczowo na rękojeści miecza. Odruchowo dał krok w przód ale Creoon zacisnął swą żyłastą rękę na jego dłoni i zawiesił się na niej całym ciężarem.

— Na Croma Conanie! — wykrzyknął dzikim szeptem. — Nie poświęcaj na daremno naszych żywotów! Są w potrzasku. Jeśli rzucisz się pochopnie zabiją cię jak psa. Któż wtedy zanieś głowę Urlana Genora do kraju?

Jak wielu z jego nacji Creoon włóczył się niegdyś pomiędzy Aquilończykami jako kupiec, poznał więc ich nierozważnego, zuchwałego ducha.

— Mógłbym posłać mu stąd strzałę prosto w serce — mruknął Conan.

— Nie, bo by nas to zdradziło i nawet gdybyś go ustrzelił nie dostałbyś jego głowy.

Cierpliwości, och cierpliwości!

— Mówię ci, żaden z tych psów nam nie ujdzie.

— Nienawiść? Spójrz na tego chudego szakala odzianego w skórę owczą i kołpak, idącego tuż za Urlanem Genorem. To Moonar Gali, wódz Keshkańczyków, który zabił moją młodą siostrę i jej męża. Nienawidzisz Urlana Genora? Na Boga mych ojców, mój mózg kipi cały od szaleńczej żądz, by rzucić się na tego psa i rozerwać mu gardło zębami! Lecz cierpliwości! Cierpliwości!

Stygijczycy przeszli wąski strumień podciągając swe płaszcze i trzymając tobołki wysoko ponad głowami, by nie zmoczyły zawartości. Na drugim brzegu przystanęli i jęli nasłuchiwać. Teraz przez odgłos pędzącej wody mężczyźni u wylotu pieczary mogli dosłyszeć stłumiony, grzmiący odgłos dobiegający z wąwozu.

— Tam musi być piekło — wyszeptał Creoon.

Jak na oczekiwany sygnał korsarze zerwali się i ruszyli szybko wąwozem. Creoon dotknął ramienia Cymmeryjczyka.

— Czekaj tu i obserwuj. Ja wrócę wkrótce wiodąc twych szlachetnych braci. Bardzo źle by się stało gdybym nie zdążył ich sprowadzić zanim piraci powrócą. — Więc się pośpiesz — mruknął olbrzym i Kushyta zniknął jak duch.

* * *

W wielkiej komnacie ozdobionej przepysznie złotem tkanymi obiciami, jedwabnymi dywanami i wyszywanymi, aksamitnymi zasłonami wypoczywał książę Orkan. Przedstawiał sobą obraz zmysłowego lenistwa, wygodnie rozłożony w zielonej, satynowej kamizelce, jedwabnym płaszczu i aksamitnych pantoflach. Kryształowy puchar z winem stał obok jego łokcia. Ciemne oczy zamysłone i patrzące jakby w głąb, były oczami marzyciela, którego sny zostały ubarwione haszyszem i opium. Lecz rozpusta nie zatarła jeszcze twardych linii twarzy, a pod bogatą szatą rysowały się ostro mocne, sprężyste kończyny. Spojrzenie księcia spoczywało na Akirze, która z napięciem ścisnęła sztaby krat w oknie wyglądając z natężeniem na zewnątrz, lecz wyraz jego oczu był taki jak gdyby spoglądały gdzieś bardzo daleko. Wydawało się, że jest nieświadom wrzasków i wrzawy. Nieobecny głosem mamrotał strofy ułożone przez innego sławnego wygnańca z jego rodu. Akira poruszyła się niespokojnie spoglądając na niego przez szczupłe ramię. W żyłach jej płynęła krew dawnych zdobywców, którzy nie wiedzieli co to niewola. Tysiąc następujących po sobie pokoleń z ich wrodzonym fatalizmem nie zagłuszyło tej krwi. Na pozór Akira była fanatyczką, w głębi serca jednak poganką. Walczyła jak tygrysyca aby zachować Orkana przed stoczeniem się w otchłań degeneracji i zwątpienia, którą gotowali mu ciemni. „Bogowie tak chcą” te słowa zawierają w sobie całą filozofię, a zarazem usprawiedliwiają i wybaczą klęskę. Lecz w żyłach Akiry płynęła krew jasnowłosych królów, którzy nie mieli innych bogów nad swoje żądze. Była żądłem, które zaszczycało Orkanowi na powrót życie i ambicję.

— Już czas — westchnęła obracając się od okna. — Słońce stoi w zenicie. Keshkańczycy wjeżdżają na zbocze poganiając rumaki i posyłając strzały prosto w zamkowe mury. Obrońcy strzelają do nich, posłuchaj jak ryczą przy tym. Ciało stacza się w dół, a ocaleli odstępują, lecz zaraz atakują znów jak szaleńcy! Giną dla ciebie. Muszę się pośpieszyć, wkrótce zasiądziesz na tronie mój miły!

Rzucem gibkiego ciała, padła przed nim na twarz, pocałowała w uniesieniu namiętności obutą w pantofel stopę, po czym wstała i wybiegła z komnaty do następnej, w której dzień i noc trzymali strażę olbrzymi czarni, niemi strażnicy i przebiegła korytarzem wydostając się na zewnętrzny dziedziniec między zamkiem, a bocznym murem. Nikt nie usiłował jej zatrzymać, wolno jej było poruszać się swobodnie w obrębie murów, choć Orkan nie mógł opuścić komnaty bez straży. Gdy powróciła do zamku udając wielki strach przed Keshhańczykami nie zadawano jej wiele pytań. Skrywała starannie swe uczucia do księcia przed orlimi oczyma Afzala Szarkana, który uważał ją po prostu za narzędzie Zefiry. Przecinając dziedziniec dotarła do furty w murze prowadzącej do wąwozu. Opierał się o nią jeden tylko wojownik, niezadowolony, że nie może wziąć udziału w toczącej się potyczce. Szarkan był przewidującym człowiekiem. Tyły zamku zdawały się być zabezpieczone przed jakimkolwiek atakiem, lecz on nigdy nie zaniedbywał nawet pozornie zbytecznych środków ostrożności. Nie było jego winą iż był nieświadom obecności zdrajczynie w twierdzy. Taka kobieta jak Akira wyprowadziłaby w pole mężczyznę znacznie od niego bystrzejszego. Mężczyzna pilnujący furty był Darfaem. Nosił mały turban zawiązany nad lewym uchem, a szeroki pas miał naszpikowany nożami. Opierał się o włócznie spoglądając chmurnie na nadchodzącą Akirę patrzącą wymownie znad cienkiego woalu. Splunął i spojrzał ostro.

— Czego tu szukasz kobieto?

Z drżeniem owinęła ciałniej cienką opończę swę szczupłe ramiona.

— Boję się. Te wrzaski i krzyki przerażają. Księżę leży odurzony opium i nie ma komu ukoić mego strachu.

Poruszyłaby serce umarłego, drżąc ze strachu i patrząc błagalnie. Wartownik szarpał swą gęstą brodę.

— Nie lękaj się niczego mała gazelo — rzekł wreszcie. — Pocieszę cię! Położył łapę z czarnymi pazurami na jej ramieniu i przyciągnął ją bliżej do siebie. — Włos ci z głowy nie spadnie — wymamrotał. — Ja... ahrr..!

Wtulając się w jego ramiona wyciągnęła zza przepaski sztylet i wbiła mu w gardło. Puścił jej ramię i chwycił za rękojeść noża zatkniętego za pasem, drugą dłoń przyciskając do rany. Pomiędzy palcami ciekła mu krew. Okręcił się i upadł ciężko. Akira wyszarpnęła mu zza pasa pęk kluczy i nie poświęcając swej ofierze więcej uwagi podbiegła do drzwi.

Serce miała w gardle, gdy otworzyła je szarpnięciem, po czym wydała cichy okrzyk radości. Po drugiej stronie skalnej szczeliny stał Urlan Genor ze swymi piratami.

Ciężka kłoda używana jako pomost leżała w bramie, lecz była dla niej zbyt ciężka.

Przypadek sprawił iż podczas swej poprzedniej ucieczki mogła się była nią posłużyć, gdyż na skutek czyjejś rzadkiej niedbałości pozostawiono ją nad szczeliną bez dozoru na kilka chwil.

Urlan Genor rzucił jej linę, którą przywiązała mocno do rygli furty. Drugi koniec liny złapało pół tuzina silnych mężów i trzech piratów pokonało szczelinę przekładając ręce zręcznie jak małpy. Chwycili bal i przerzucili nad szczeliną umożliwiając przejście pozostałym. Nie było śladu obrońców odgłos walki z przodu zamku grzmiał bez chwili przerwy.

— Połowa ludzi zostanie pilnować pomostu — rzucił Urlan Genor — reszta za mną.

Porzucając włócznie dwudziestu gotowych na wszystko wilków morskich wyciągnęła miecze i podążyła za swym wodzem. Urlan Genor zaśmiał się idąc za lekko stąpającą dziewczyną. Taka przygoda w paszczy lwa rozgrzewała jego serce niczym wino. Gdy weszli do zamku jakiś sługa wybiegł im na przeciw gapiąc się osłupiałymi oczyma. Nim zdążył krzyknąć ostry jatagan Moonara Galego przeciął mu gardło i zastęp wpadł do komnaty, w której dziesięciu niemych strażników zerwało się łapiąc za miecze. Rozgorzała zacięta walka w całkowitym milczeniu, jeśli nie liczyć świstu i szczęku broni, i charczących oddechów rannych. Trzech Stygijczyków zginęło, a Urlan Genor przestąpił zwalone na kupę ciała czarnych i wkroczył do wewnętrznej komnaty.

Orkan wstał, a jego spokojne oczy spojrzały z dawnym blaskiem, gdy Urlan Genor wyczuwając dramatyzm chwili klęknął przed nim i uniósł rękojeść zbrozonego krwią scimitara.

— Oto wojownicy, którzy wyniosą cię na tron! — krzyknęła Akira klaszcząc w uniesieniu w białe dłonie. — Och panie mój, cóż za pamiętna to chwila!

— Pośpieszmy się nim te psy nas spostrzegą — rzekł Urlan Genor, ustawiając swych wojowników wokół Orkana w żywy, stalowy mur. Pośpiesznie przeszli przez komnaty, przecięli dziedziniec i dotarli do furty. Lecz ktoś musiał usłyszeć brzęk stali. Gdy tylko przeszli przez pomost, za ich plecami rozległo się wściekłe wycie. Z drugiej strony dziedzińca nadbiegała wysoka postać odziana w stal i jedwab, a za nią pięćdziesiątka zbrojnych w miecze i włócznie czarnych wojowników.

— Szarkan! — wrzasnęła Akira błędąc.

— Zrzucić pomost! — ryknął Urlan Genor rzucając się ku belce. Po obu stronach świsnęły strzały. Pół tuzina biegnących Kushytów zwinęło się i padło, lecz czterech Stygijczyków, którzy schyliłi się, by odrzucić belkę zginęli przeszyty strzałami. Szarkan popędził przez pomost z wykrzywioną grymasem twarzą, wymachując mieczem nad okrytą stałą głową. Urlan Genor zastąpił mu drogę i wśród błysków stali miecz korsarza zgrzytnął o pancerz Afzala, a ostrze przecięło gruby kark czarnego wodza. Szarkan zachwiał się do tyłu i z dzikim wrzaskiem runął w otchłań.

W jednej chwili Stygijczycy zrzucili za nim pomost i czarni wojownicy zatrzymali się, wyjąc z wściekłości po drugiej stronie rozpadliny. Zabezpieczenie obróciło się przeciw nim. Nie mogli dostać wrogów, lecz osłonięci murem poczuli słać strzałę za strzałą i trzech kolejnych korsarzy zostało trafionych, nim oddziałek wydostał się spod obstrzału, skrywając za występem zbocza. Urlan Genor kłął. Stracił na tym lotnym wypadzie dziesięciu ludzi, sporo więcej niż się spodziewał.

— Sześciu zostaje, cała reszta podąża przodem, żeby upewnić się czy droga jest wolna — zarządził. — Ja z księciem podążymy nieco wolniej za wami. Książę, nie mogłem zabrać koni do tego wąwozu, lecz te pieskie syny, moi ludzie poniosą cię na płaszczu rozpiętym na wólczeniach jak w lektyce...

— Niech Mitra mnie uchowa przed jazdą na ramionach mych wybawców! — krzyknął młody książę dźwięcznym głosem. — Nie zapomnę nigdy tego dnia. Znow jestem mężczyzną. Jestem Orkanem synem Haima. I tego także nie zapomnę.

— Dziękujemy bogom — wyszeptła dziewczyna. — Och mój panie, w głowie mi się kręci, z radości, gdy cię słyszę jak przemawiasz w ten sposób. Zaprawdę jesteś znow mężczyzną i będziesz władcą całego imperium!

Mogli już dostrzec wodospad. Pierwszy z idących przodem już prawie osiągnął strumień, gdy niespodziewanie jak uderzenie ukrytej kobry z krzaków po przeciwnej stronie, wyleciała strzała i pirat padł z głową przebitą przez strzałę. W jednej chwili, jak gdyby pierwsza strzała była sygnałem, z krzaków posypały się następne. Korsarzy idących przodem skosiło jak dojrzałą kukurydzę, a reszta wycofała się krzycząc w panice. Nie widzieli śladu napastników prócz oparu wirującego nad strumieniem i zabitymi leżącymi u ich stóp. — psie! — zapienił się Urlan Genor, obracając się ku Moonarowi.

— To twoja robota!

— Czyż nie jestem z tobą? — wrzasnął Gali ze spopieloną twarzą.

— Szatańskie to dzieło!

Urlan Genor rzucił się ku swym zalęknionym ludziom klnąc jak wszyscy diabli. Wiedział, że Kushyci przerzucą jakąś kładkę nad rozpadliną i będą go ścigać, wówczas zostałby wzięty w dwa ognie. Nie miał najmniejszego pojęcia kim byli nowi napastnicy. W górze wąwozu od strony zamku słyszał ciągle wrzaski. Naraz wydało mu się, że walka spotęgowała się, że jej odgłosy dobiegają także z zewnątrz, z doliny, nie mógł być jednak pewien biorąc pod uwagę, że wąwóz fałszował i zniekształcał dźwięki.

Opary związało wreszcie znad strumienia, lecz Stygijczycy nie mogli dostrzec niczego oprócz złowrogiego poruszania się w krzakach na drugim brzegu. Nie mieli innej możliwości jak cofnięcie się wąwozem prosto w łapska rozwścieczonych Kushytów. Byli w pułapce. Zaczęli strzelać na ślepo w krzaki, wywołując jedynie szyderczy śmiech prześladowców.

Urlan Genor rzucił się gwałtownie usłyszawszy śmiech i jął wyrzywać korsarzom łuki z dłoni.

— Głupcy! Będziecie marnować strzały, strzelając do cieni?! Do szabli i za mną!

W szale rozpaczy z rozwianymi płaszczami i z płonącymi oczyma stygijscy korsarze rzucili się w stronę zasadzki. W ich dłoniach zabłyśła naga stal. Grad strzał lecący prosto w twarz przerzedził ich szeregi, lecz reszta wskoczyła w wodę i jęła przedzierać się na drugą stronę. I wówczas z krzaków na przeciwległym brzegu wyrosły dzikie postacie, opancerzone lub półnagie z zakrzywionymi szablami w rękach.

— Na nich bracia — zawył donośny głos. — Na pohybel! Śmierć stygijskim psom!

Wrzask niedowierzania wyrwał się korsarzom, gdy ujrzeli smukłe, pełne bitewnego zapachu postacie. Na hełmach i szablach migotały promienie słońca. Z zapierającym dech w piersiach, gwałtownym łoskotem zderzyli się, a zgrzyt i brzęk stali poniósł się echem po górach. Pierwsi korsarze, którzy wyskoczyli na brzeg wpadli z powrotem do strumienia z rozplatanymi głowami, a nieustraszeni Aquilończycy zeskoczyli z brzegu i stanęli oko w oko z przeciwnikiem po pas w wodzie, której nurty rychło zabarwiły się purpurą. Nikt nie prosił o litość. Aquilończycy i Stygijczycy cięli się wzajemnie w ślepych szale. Piana wystąpiła im na usta, pot i krew zalewały oczy.

Moonar Gali z oczami świejącymi się jak u wściekłego psa, wskoczył w wir walki. Jego zakrzywione ostrze rozłupało aż po szyję czyjąś głowę. Naraz pojawił się przed nim Creoon,

z gołymi rękami, wyjący w strasznym szale.

Moonar cofnął się, przestraszony furją, widoczną na wykrzywionej twarzy Creona. Z okrutnym wyciem Kushyta skoczył naprzód i zacisnął palce niczym stalowe kleszcze na gardle wodza. Ścisnął kurczowo nie zważając na sztylet, który Moonar Gali raz po raz zatapiał mu w boku. Krew tryskała mu spod paznokci mieszając się z krwią wyciekającą z rozszarpanego gardła Keshanczyka. Wreszcie tracąc oparcie obaj wpadli w wodę. Wciąż szarpiących się i targających porwał prąd. To jedna to druga twarz wznosiła się ponad purpurowe fale a i obaj zniknęli na dobre.

Korsarzy zepchnięto na lewy brzeg, gdzie stawili krótkotrwały, krwawy opór, po czym cofnęli się oszołomieni i wściekli tam, gdzie księżę patrzył jak w transie, otoczony małą garstką wojowników, którą Urlan Genor przydzielił mu za eskortę. Akira uklękła, obejmując go za kolana. W oczach księcia malowało się oszołomienie. Trzykrotnie poruszył się jak gdyby chciał schwycić miecz i rzucić się do boju. Lecz ramiona Akiry obejmowały jego kolana jak stalowa obręcz.

Urlan Genor wyskakując z kotłowniny podskoczył ku niemu. Jego scimitar pokrywała aż po rękojeść krew. Kolczugę miał pociętą, spod hełmu kapłała mu krew. Wszędzie dookoła walczone zażarcie parami i w grupkach jako, że bitwa rozproszyła się po wąwozie, który zamienił się w spryskaną krwią rzeźnię. Niewielu zdatnych do walki zostało już po obu stronach, lecz Aquilończycy byli teraz liczniejsi niż korsarze.

Z krwawej łaźni wyszedł Conan Cymmetryczk wymachując potężnym mieczem, dzierzonym w potężnej jak młot kowalski pięści. Ci, którzy spróbowali mu się przeciwstawić padli pod ciosami gruchoczącymi pokryte skórą tarcze, stalowe czepce i rozcinającymi pancerze tak łatwo jak skórę i kości. — Hej, wy łotry — wrzasnął wściekle Conan. — Chcę twej głowy Urlanie Genor i tego tam, przy twym boku, Orkana. Nie obawiaj się księżę nie skrzywdzę cię. Dostarczysz nam wiele grosza, niech zjem własne buty jeśli tak się nie stanie! Bystre oczy Urlana Genora rozglądały się dookoła, rozpaczliwie szukając możliwości ucieczki. Wtem spostrzegł niewyraźną brudę wspinającą się po zboczach i jego bystry umysł błyskawicznie odgadł jej przeznaczenie.

— Szybko mój panie — wyszeptał. — W górę tym zboczem. Powstrzymam tych barbarzyńców, gdy będziesz się wspinał.

— Tak! — przytaknęła z ożywieniem Akira. — Umiem wspinać się jak kot. Będę szła za tobą i pomagała ci! To rozpaczliwy krok, lecz mój panie to jedyna szansa, by znów nie zakuto cię w kajdany.

Cała napięta dygotała z pragnienia, by jak dzikie zwierzę walczyć w obronie mężczyzny, którego kochała. Lecz maska fatalizmu ponownie oblekła twarz księcia Orkana. Nie stracił odwagi nawet w obliczu czekającej ich wspinaczki. To paraliżujące przekonanie o beznadziejności walki z przeznaczeniem schwytyło go w swój uścisk. Rozejrzał się widząc jak triumfujący Aquilończycy dorzynają ostatnich z jego nowych sprzymierzeńców.

— Nie, to jest przeznaczenie. Bogowie nie chcą bym walczył o tron mego ojca. Jakież człowiek może umknąć przeznaczeniu?

Akira pobladała, w jej oczach odmalował się przestach, dłonie zatopiła w włosach. Urlan Genor zdawszy sobie sprawę z uczuć księcia, okręcił się gwałtownie i zaczął wspinać tak zwinnie jak to tylko żeglarz potrafi. Z dzikim rykiem Conan rzucił się za nim, zapominając o księciu. Aquilończycy zbliżyli się strząsając czerwone krople z szabel. Urlan rozłożył z rezygnacją ręce. Akira przyglądała mu się z ustami zaciśniętymi w niemym grymasie.

— Bierzcie mnie jeśli chcecie — rzekł po prostu, stając przed swymi nowymi zdobywcami. — Jestem Orkan.

Akira poruszyła się przyciskając dłońmi półprzymknięte oczy. Nagle, skoczywszy jak błyskawica, wbiła sztylet prosto w serce księcia Orkana, który skonał u jej stóp nie zdążywszy nawet poczuć ciosu. Gdy upadł, obróciła ostrze ku sobie i wbiła je w pierś, padając obok swego ukochanego. Z cichym jękiem objęła jego książęcą głowę i kołysała w słabnących ramionach, podczas, gdy nieokrzesani wojownicy stali obok nic z tego nie pojmując.

Dźwięk dobiegający z góry wąwozu kazał im unieść głowy i spojrzeć na siebie. Została ich tylko garstka, osłabłych i zamroczonych walką, w przemoczonej krwią i wodą odzieży, z powyszczerebianymi i pooblepianymi skrzepłą krwią szablami. Conan zniknął, a oni nie wiedzieli co robić.

— Wracajcie do tunelu bracia — mruknął Togrul. — Słyszę ludzi nadciągających wąwozem. Idźcie do miejsca, w którym zostawiliśmy konie. Ja pójdę za Conanem. Posłuchali, a on jał wspinać się na urwisko, przeklinając płytkie uchwyty. Ledwie Aquilończycy zniknęli za srebrzystą taflą wody, a on osiągnął grań, gdy w zasięgu wzroku

pojawiła się gromada spiesznie idących ludzi. Parów zapełnił się wojowniczymi postaciami. Togrul spoglądając w dół z ciekawością, ujrzał turbany i płaszcze żołnierzy z zamku, a z nimi szpiczaste białe czapki stygijskich jeźdźców. Turban jednego z nich zdobiły pióra z rajskich ptaków i spoglądający w dół Togrul rozpoznał w nim Adara, trzeciego z najpotężniejszych ludzi w imperium. Był on podobnie jak wojowie, którzy z nim przyszli zakurzony, jak po długiej, a ciężkiej jeździe. Spoglądając w dół, na dolinę, Aquilończyk zauważył buńczuk Adara z trzech białych końskich ogonów, powiewający z zamkowej bramy, a daleko za rzeką odziani w skóry Keshañczycy uciekali jak szaleni, ścigani przez jeźdźców w błyszczących zbrojach stygijskich gwardzistów. Togrul potrząsnął głową z niedowierzaniem. Cóż mogło przywieść Adara i jego zastępy do samotnej doliny Zabheli?

Z dołu, z parowu dobiegł chór zdumionych i przerażonych głosów gdy przybysze stanęli osłupiali nad ciałami. Adar ukląkł przy martwym księciu i konającej dziewczynie.

— Na Croma! To księżę Orkan!

— Jest poza zasięgiem twojej władzy — wymamrotała Akira. — Nie skrzywdzisz go już więcej. Mogłam uczynić go królem. Lecz ty, obrabowałeś go z człowieczeństwa więc zabiłam go, lepsze to i godniejsze niż...

— Ale ja przynoszę mu koronę Stygii — wykrzyknął rozpaczliwie Adar. — Mungar nie żyje, a lud powstał przeciwko bękartowi Zefiry...

— Za późno! — wyszeptała Akira. — Za... za... późno...

Jej czarna głowa opadła na krągłe ramię jak usypiającemu dziecku.

Conan wspinał się po skalnych stopniach, nie mając do pomocy Creoona gdyż leżał on martwy obok Moonara Galego w krwawym strumieniu. Lecz nienawiść dodawała mu animuszu, więc wspinał się niepewną ścieżką tak, jak gdyby piął się po linach na maszt statku. Odłamki zwietrzałej skały ustępowały pod jego uchwycem i staczały się po stoku małymi lawinkami ale za każdym razem oszukiwał jakoś śmierć i piął się nieznużenie dalej. Był już blisko Uurlana Genora, gdy korsarz dotarł do grzbietu i zniknął wśród karłowatych jodeł. Cymmeryjczyk pognął za nim, długie nogi niosły go z zadziwiającą szybkością.

Wreszcie Uurlan Genor obróciwszy się i ujrzawszy, że ma tylko jednego prześladowcę zwrócił się ku niemu z przekleństwem na ustach.

Szyderczy grymas zjeżył okragłą czarną brodę korsarza. Oto na tym cielsku mógł wreszcie wyładować dziką gorycz z powodu zniszczenia swych planów. Zaledwie parę miesięcy temu był piratem, którego lękał się świat. Cały szeroki, błękitny Ocean Zachodni leżał mu u stóp. Teraz pozbawiono go całej władzy i potęgi, oprócz oręża dzierzzonego w prawym ręku i siły drzemiącej w mózgu. Był zbyt rasowym poszukiwaczem przygód, by marnować czas na rozpamiętywanie swego upadku, jednak poczuł jadowitą satysfakcję na myśl, że ma szansę zasieć tego parszywego Aquilończyka.

Łatwiej pomyśleć niż zrobić. Pomimo ciężkiego pomysłu i ciężkiej postury, Conan poruszał się zręcznie jak wielki kot. Stał zadziwiała o stal, długie, proste ostrze Cymmeryjczyka uderzyło o scimitar korsarza. Korsarz dorównywał niemal wzrostem barbarzyńcy, choć nie był tak potężnie zbudowany. Jego scimitar był cięższy i mniej zakrzywiony niż większość stygijskich szabel, a pirat posiadał niezwykłą biegłość w sztynchach i cięciach. Po trzykroć tylko wspomniana zręczność Conana uratowała go przed podstępными pchnięciami korsarza. Zadawał je na zmianę ze świszczącymi cięciami powstrzymującymi ataki wielkiego Cymmeryjczyka, który wkrótce krwawił z wielu ran. Celem Uurlana Genora było zepchnięcie olbrzyma do defensywy tak, by nie mógł on wykorzystać swej nadludzkiej siły, co niechybnie, by czynił przy ataku. Spalona słońcem głowa huśtała się przed oczyma korsarza, brązowa przepaska powiewała na wietrze, a Uurlan Genor napierał w jego stronę aż pot zalał mu oczy, a tchu brakło w piersi. Lecz jakimś cudem Conanowi udawało się parować lub unikać większości jego niebezpiecznych ciosów. Scimitar Uurlana Genora ześlizgiwał się po prostym ostrzu lub trafiał w ozdobną gardę.

Nie było słycać żadnego dźwięku prócz szcękę stali, łączywie chwytyanych oddechów i głuchego szurania stóp. Wielka siła Cymmeryjczyka zaczęła przeważać. Z huraganowej ofensywy Uurlan Genow został stopniowo zmuszony do użycia w obronie wszystkich swych umiejętności, parując straszliwe młócające ciosy barbarzyńcy. Wreszcie postawił wszystko na jedną kartę i z chrapliwym okrzykiem skoczył jak tygrys. Scimitar błysnął mu nad głową. Poczuł lodowaty ból po sercem i konwulsyjnie łapiąc gołą dłonią ostrze, które go przebiło, ostatkiem sił ciął w głowę swego zabójcę. Conan przyjął cios na wyrzuconą do góry lewą rękę. Ostra stal przecięła złotą bransoletę i ciało. Scimitar wypadł z pozbawionej już czucia ręki Uurlana Genora, ostrze, które go przebiło wyslizgnęło się upadając na zbroczoną krwią ziemię. Z jego zbiegłych ust wyrwały się słowa w dziwnym języku:

— O Vaalu zmiłuj się. Nie zobaczę już Cymmerii!

Conan rzucił się do przodu, blednąc opadł na kolana przy pokonanym, niepomyślnie tryskając z rany krew. Schwyciwszy swego wroga potrzęsął nim gwałtownie, krzycząc w tym samym języku.

— Coś rzekł?! Coś rzekł?!

Szkliste oczy obróciły się w jego stronę, a Conan zerwał hełm z głowy konającego. I krzyknął jakby Uurlan Genor go zarzynał.

— Na Croma! Jorg Vortan, stary Jorg Vortan. Nie poznajesz mnie chłopie? Jam Conan, Conan Cymmeryjczyk, który walczył z tobą, dla ciebie, gdy byliśmy razem chłopakami w Cymmerii. Och, dlaczego bogowie dopuścili, że trzeba nam było się natknąć na tej nagiej ziemi, w ten sposób. Dlaczegoś w tych stygijskich szatach Jorg?

— Długa to historia, a czasu nie staje, by ją snuć — mruknął renegat. — Nie — powiedział, gdy Conan jął drzeć swe szaty na pasy, by zatamować krew, którą z taką ochotą wytoczył. — Ze mną koniec. Pozwól niech los się dopełni. Byłem z Drakonem, gdy ten uderzył na Asgalun, tracąc wiele dobrych statków i dzielnych chłopców. Byłem jednym z tych, których schwytali Shemici. Przykuli mnie do wiosła i coś we mnie pękło, gdy tam harowałem, pod razami bicia. Zapomniałem o Cymmerii i o bogach też.

Stygijski korsarz przechwycił nas i był to Alladin, ofiarował nam niewolnym wolność, jeśli przyjmujemy ich wiarę. Na galerze człek zapomniał wielu rzeczy, nawet, że był człowiekiem. Z początku chciałem tylko bić Shemitów. Lecz rosnąc w siłę, zapomniałem coraz bardziej jaka krew płynie w mych żyłach. Grasowałem po morzach łupiąc jednako wszystkich, których spotkałem. Taa, a teraz piracka sława i krwawa chwała smakuje mi w ustach popiołem. A z ciebie co uczyniło Aquilończykiem Conanie?

— Wino i dziewczęta chłopie — odrzekł Conan. — Nie mogłem wysiedzieć w Cymmerii, przez nienawiść i chęć zemsty rozmaitych ludzi. Wędrowałem na wschód i południe aż zagubiłem wspomnienia o Cymmerii. Niech mnie diabli, byłem takim samym głupcem jak ty. Lecz czy pamiętasz te stare, dobre czasy, gdy daliśmy łupnia baronom z Kanelonu?

— Czy pamiętam? — oczy konającego zabłyśły, a on wsparł się na łokciu plując krwią. — Boże pożeglować znów z Drakonem. Śmiać się razem z nimi, tak jak śmieliśmy się, gdy roznieśliśmy w drzazgi Wielką Flotę Liurona! Brasuj żagle, to statek flagowy Kartenii, wszyscy do pomp, tchórze, nie opuszczaj flagi póki mam pokład pod nogami, walmy w nich taranem, ze sterburty piki!

Upadł na plecy, nieskładne słowa zamarły mu na ustach. Conan klęczący obok zabitego stracił całkowicie poczucie rzeczywistości aż brzęk stali na kamieniu kazał mu się obrócić z mieczem w pogotowiu. W zapadającym zmierzchu stanął obok niego Togrul.

— Widzę żeś dostał tego psa. Nasi bracia wrócili do tunelu. Zostało ich jeno dziewięciu, krom nas. Wąwóz jest pełen Stygijczyków. Trzeba nam iść do koni przez góry. Co z tobą? Conan rozciągnął korsarską opończę nad martwym piratem.

— Chcę położyć na nim kamienie, by sępy nie rozwłóczyły jego kości — odparł beznamyślnie.

— A głowa? — spytał z wymówką tamten. — Głowę trzeba pokazać braciom.

Ołbrzym zwrócił się ku niemu w półmroku tak ponuro, że Togrul mimowolnie się cofnął.

— Jest martwy czyż nie?

— Tak, oczywiście!

— I poświadczysz szlachetnym braciom, że go zabiłem nieprawdą?

— Tak, lecz...

— Więc niech spoczywa w pokoju — mruknął Conan i zgiąwszy swe potężne plecy jął przenosić kamienie i układać z nich stos.

ROZDZIAŁ III

Po pochowaniu swego dawnego przyjaciela Jorga Vortana, Conan odłączył się od Aquilończyków. Ruszył na wschód poprzez Darfar i Keshan w kierunku Turanu, po drodze wykorzystując każdą okazję pozwalającą mu doskonalić swe złodziejskie rzemiosło, zaniebane w ostatnich czasach. Nie obyło się również bez sytuacji, w których drogi musiał torować sobie mieczem. Po przebyciu pustyni Kharamun zatrzymał się jakiś czas w Zambouli, by następnie zaciągnąć się na służbę w zamku Nahr az Saghira niedaleko Samary.

AWANTURA W ZAMKU NAHR AZ SAGHIRA

W piwnicach zamku Nahr az Saghira, gdzie ucztowało doborowe grono, nie słyhać było

ani ryku porywistego, wiosennego wichru ani szczęku ryszunka strażników na wieżach, także odgłosy hulanki ginęły w masywnych ścianach.

Pryskające świece oświetlały surowe mury, wilgotne i niegościnne, pod którymi stały beczki i beczułki osnute welonem zakurzonych pajęczyn. Wieko jednej z beczek było odbite i coraz mniej pewne dłonie raz po raz zanurzały skórzany czerpak w spienionej cieczy.

Anako, jedna z dziewczek służebnych, ukradła była z pasa zarządcy masywny, żelazny klucz do piwnicy. Ośmielona nieobecnością pana, ich mała, lecz doborowa gromadka oddawała się uciechom z charakterystyczną dla nich niedbałością o jutro.

Anako siedziała na kolanach giermka Perthona, wybijając wraz z nim błędny rytm sprośnej piosenki, wyrzaskiwanej przez oboje na różne nuty i tony. Piwo przelewało się przez brzeg naczynia w chwiejnych rękach giermka i spływało mu za kołnierz, lecz on tego nie zauważał. Inna dziewczka, tęga Murraya okręciła się na ławie i klasnęła w tłuste dłonie, w hałaśliwym uznaniu dla pikantnej historyjki opowiedzianej właśnie przez Conana. Sądząc po zachowaniu, ten ostatni mógłby być co najmniej panem na zamku, a nie obdartym barbarzyńcą miotanym tam i siam przez niezycliwy los. Nachylił się znów nad beczką, stojąc w rozkroku, rozluźnił pas opinający jego odziany w starą, skózaną kurtę wydatny brzuch i zanurzył głowę raz jeszcze w spienionym piwie.

— Na brodę świętego Vaala, Conanie — rzekła Murraya — nigdy bardziej zwariowany hultaj nie nosił miecza. Nawet kruki, które kiedyś będą czyścić twoje kości na szubienicy, będą zrywać boki ze śmiechu. Pozdrawiam cię książę wszystkich sprośnych łągarzy! Podniosła wielki cynowy dzban i wychyliła go do dna, tak zdecydowanie jak zrobiłby to każdy mężczyzna w królestwie.

W tej chwili na scenie pojawił się inny biesiadnik, powracający z „rozpoznania”. Drzwi prowadzące z głównych schodów wpuściły dygoczącą postać, odzianą w obcisły strój. Przez otwarte na moment drzwi dobiegły odgłosy nocy, trzepotanie kotar gdzieś w domu, uderzenia i wycie wiatru w szczelinach, niewyraźne utyskujące obwoływania się strażników na wieży.

Podmuch wiatru wpadł na schody i zatańczył płomykami świec.

Paź Vindhoen pchnięciem zamknął drzwi i z pijacką ostrożnością ruszył w dół, po prymitywnych kamiennych stopniach. Nie był tak pijany jak reszta, po prostu dlatego, że z racji swego bardzo młodego wieku nie zdołał pomieścić tyle sfermentowanego płynu co inni.

— Która godzina chłopcze? — zapytał Perthon.

— Dawno po północy — odpowiedział paź, szukając po omacku otwartej beczki — cały zamek śpi bezpiecznie pod czujną strażą warty, ale poprzez wiatr i deszcz usłyszałem tętent kopyt, to zapewne powraca Nahr az Saghir.

— A niechaj wraca przeklętnik! — zakrzyknął Conan klepnąwszy w tłuste biodro Murrayę. — Może być sobie panem zamku, lecz my teraz jesteśmy panami piwnicy! Więcej piwa! Anako, ty mała flądrowo jeszcze jedną piosenkę!

— Nie, ty opowiedz coś jeszcze! — wrzasnęła Murraya. — Brat naszej pani, Karza asz Asmar opowiadał wspaniałe historie o ziemiach wschodnich i o barbarzyńcach ale na świętego Darbbagha, łągarstwa tego barbarzyńcy zaćmiewają prawdziwe historie najwspanialszych wojowników!

— To potwarz, a nie... hep!

— W nadchodzące święto Księżyca minie dziesięć lat jak Karza asz Asmar wyruszył do Khitaju — powiedziała Anako. — Lady Saghir nie widziała go od tego czasu aż do dzisiejszego ranka, kiedy zajechał pod bramę. Jej małżonek Nahr az Saghir nigdy go nie widział.

— I nie poznałby go? — zamyślił się Conan. — Ani Karza asz Asmar jego?

Zamrugał oczami i przeciągnął dłonią po swojej zmierzwionej, czarnej czuprynie. Był pijany, bardziej niż zdawał sobie z tego sprawę. Świat obrócił się do góry nogami, a jego głowa zdawała się wirować zawrotnie na ramionach. Z oparów piwa i sowizdrzalskiego ducha zrodził się szalony pomysł.

Barbarzyńca ryknął z nagłą śmiechem. Wstał chwiejnie, rozlewając napitek na łono Murrayi i wywołując tym wybuch wściekłości z jej strony. Dusząc się ze śmiechu uderzył otwartą dłonią w wielką beczkę.

— Na zdrowie! — rzekła Anako zgryźliwie. — Zgłupiałeś człowieku?

— Ale heca — strop zawibrował od jego okrzyku. — O święty Vaalu ale heca! Asmar nie zna swojego szwagra, a ten stoi właśnie teraz przed bramą. Słuchajcie — zniżył głos.

Cztery głowy balansując dziwacznie zbliżyły się ku niemu, kiedy szeptał, jakby ściany mogły ich usłyszeć. Po chwili niewyraźnej ciszy nastąpił wybuch hałaśliwego rubasznego śmiechu. Kompania była dobrze usposobiona do przyjęcia zwariowanej propozycji i podążenia jej kursem. Tylko Vindhoen miał pewne opory ale i jego porwał podłany

alkoholem ferwor reszty kompanii.

— Och! To żart godny samego diabła! — wykrzyknęła Murraya i wycisnęła głośny, mokry pocałunek na rumianym policzku Conana. Dalejże łajdaki do dzieła!

— Naprzód — ryknął Cymmeryjczyk wydobywając miecz i wywijając nim chwiejnie.

Cała piątka jęła wspinać się po schodach, potykając się, płacząc i objijając się o siebie.

Kopniakami rozwarli drzwi i wkrótce z hałasem sfory psów gończych biegli nierówno przez szeroką sień.

Wiekowy zamek, raczej twierdza niż domostwo, zbudowany był dla obrony nie dla wygód.

Sień przez, którą biegła pijana banda była obszerna, wysoka i przewiewna, wystana sitowiem,

ledwo oświetlona gasnącym żarem, tłącym się w wielkim, kiepsko ciągnącym kominku.

Proste, zwisające jak żagle na ścianach kotary, marszczył wiatr dmuchający przez szpary.

Niezdarne stąpanie płaczących się stóp, obudziło psy śpiące pod wielkim stołem, a ich

skomlenie i szczekanie wzmogło panującą wrzawę.

Ten zgiełk wyrwał Karze asz Asmara ze snów o dalekim Khitaju i o wypalonej przez

słońce roślinności Iranistanu. Poderwał się z mieczem w dłoni myśląc, że okrażają go

hyrkańscy jeźdźcy, zanim zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Ale wyglądało na to,

że coś się dzieje. Zmieszane krzyki i wrzaski za drzwiami zbliżały się, i mocne dębowe

odrzwia rozbrzmiały gradem uderzeń, które zdawały się wręcz rozsadzać futrynę. Asmar

usłyszał swoje imię wykrzykiwane głośno i nagłoc.

Odsuwając na bok trzęsącego się giermka podążył do drzwi i rozwarł je szarpnięciem.

Asmar był wysokim, wychudłym mężczyzną z dużym haczykowatym nosem i zimnymi,

szarymi oczyma. Nawet w samej koszuli wyglądał groźnie. Mrużąc oczy, spojrzął srogo na

grupę rysującą się mgliście na tle żaru z oddalonego kominka. Wydawało się, że grupa składa

się z kobiet, dzieci i potężnego mężczyzny zbrojnego w miecz. Mężczyzna ów wrzeszczał:

— Na pomoc Asmarze, na pomoc! Zamek zdobyto i wszyscy zginiemy! Zbóje z Lasu

Moorsan są już w sieniach!

Asmar usłyszał niemożliwe do pomylenia z czymkolwiek, ciężkie stąpanie obutych w

stal stóp, ujrzał czerwonawo połyskującą stal, na nierozpoznawalnych postaciach,

wchodzących do sieni. Wciąż oszołomiony snem ale już wściekły wszedł z furją do akcji.

* * *

Nahr az Saghir wracając do swojej warowni po wielu godzinach jazdy w słońcu, marzył

tylko o wypoczynku i odprężeniu w domowych pieleszach. Wyładował irytację na krążących

wokół rozespianych pacholkach, którzy powłócząc nogami oporządzali konie, zbyt senni, by

mu wspomnieć o gościu. Zwolnił zbrojnych i wkroczył do sieni na czele panów ze swej świty

i zdążających za nimi giermków. Zaledwie wszedł, kiedy w sieni wybuchła diabelska wrzawa.

Usłyszał dziki tupot stóp, trzask przewracanych ław, ujadanie psów i zgiełk zbliżających się

głosów ponad, którymi górował triumfalnie czyjś bawoli ryk. Klnąc z zaskoczenia, wbiegł do

sieni na czele swych rycerzy i wówczas drapieźny szaleniec, odziany tylko w samą koszulę,

rzucił się na niego z mieczem w dłoni, wyjąc jak wilkołak.

Wściekłe ciosy szaleńca skrzeszały iskry z kolczugi Saghira i pan zamku niemal uległ

nagłości gwałtownego ataku, nim zdolał wyciągnąć swój własny miecz. Cofnął się,

przyzywając swoich zbrojnych, ale szaleniec wrzeszczał głośniejsze niż on, a ze wszystkich stron

wyroili się inni lunatycy w koszulach, atakując z dzikim szałem osłupiałą świtę Saghira. W

zamku zakotłowało się, światła błyskały, psy wyły, wrzeszczały kobiety, klęli mężczyźni,

zewsząd dochodził szczeł stali i tupot stóp okrytych żelazem.

Spiskowcy wytrzeźwiawszy pod wpływem zamętu, który wywołali, rozbiegli się na

wszystkie strony, szukając kryjówek. Wszyscy, oprócz Conana Cymmeryjczyka. Był tak

wspaniale pijany, że podobnie trywialne wydarzenia nie mogły go z tego stanu wytrącić.

Przez jakiś czas podziwiał swoje dzieło, gdy jednak dostrzegł, że ostrza mieczy błyskają tuż

nad jego głową, uznał to za niewygodę i wiedziony instynktem oddalił się do z dawną sobie

znanej, bezpiecznej kryjówki. Tam odkrył z satysfakcją, że przez cały czas trzymał w ręku

omszałą butelkę. Opróżnił ją, a jej zawartość połączona z tym, co już przedtem przepłynęło

przez jego gardło zmorzyła go na zadziwiająco długi czas. Przykryty słomą, cicho

pochrapawał, podczas gdy wokół niego i nad nim działo się wiele i bynajmniej nie powoli.

Tutaj w słońcu znalazł go kapłan Ambron, kiedy zapadł już zmierzch po niespokojnym i

dręczącym dniu. Kapłan rumiany i dobrze odżywiony doprowadził grzesznika do jakiejś takiej

przytomności.

— Chrońcie nas bogowie! — rzekł kapłan. — Wszystko przez te twoje stare kawały!

Wiedziałem, że tu cię znajde! Przetrasano zamek przez cały dzień szukając cię, te stajnie

także, dobrze, że skryłeś się właśnie pod tą górą siana.

— Zbytek łaski— ziewnął Conan — po cóż mieliby mnie szukać? Kapłan podniósł ręce w geście przerażenia.

— Święty Vaal niech mnie strzeże od szatana i jego sprawek! Czyż nie wiadomo, że byłeś prowodyrem tego zwariowanego wybryku ostatniej nocy, który skierował miecz szlachetnego Asmara przeciwko szwagrowi?

— Święty Darbbaghu! — rzekł Conan odchrząknawszy. — Ależ mnie suszy! Czy ktoś zginął?

— Nie. Vaal ustrzegł. Ale jest wiele rozbitych łbów i potłuczonych żeber. Jaśnie pan Saghir omal nie poległ w pierwszym starciu bo Asmar jest groźnym szermierzem. Ale nasz pan będąc w pełnej zbroi niebawem ciął celnie Asmara przez łeb aż krew popłynęła strumieniami, a on ją błuźnił tak, że nie sposób było tego słuchać. Co potem się wydarzyło Mitra jeden wie. Lady Saghir rozbudzona przez hałasy wybiegła z komnaty i widząc męża i brata ścinających się na miecze, wbiegła pomiędzy nich, i rugnęła ich słowami, które wstyd powtórzyć. Doprawdy ostry język ma nasza pani, gdy ktoś wzbudzi jej gniew.

Tak osiągnięto rozejm, Asmarowi i tym z jego stronników, którzy odnieśli obrażenia przystawiono pijawki. Zaczęto debatować nad zajściem i Asmar rozpoznał ciebie jako tego, który walił w jego drzwi. Potem odkryto, że Vindhoen kryje się jakby miał nieczyste sumienie i ten wyznał wszystko, winę zwalając na ciebie. Ach, cóż za nieszczęśny dzień nastał, biada nam!

Biedny Perthon od brzasku siedzi zakuty w dyby, a wszyscy poddani, służba i wieśniacy zgromadzili się, by ciskać weń grudami ziemi, dopiero co go poniechali i zaprawdę widok to żałosny: nos rozkrwawiony, twarz podrapana i otarta, jedno oko zapuchnięte, we włosach rozbite jajka ściekające po twarzy. Biedny Perthon!

Dostało się też Anako, Murrayi i Vindhoenowi, wychłostano ich tak, że zapamiętają na całe życie. Trudno powiedzieć kogo z nich ukarano surowiej. Ale pan nasz chce dostać ciebie Conanie. Asmar zaklina się, że tylko twoje życie go zadowolili.

Hmmmm! — zamruczał Conan.

Wstał niepewnie, strząsnął źdźbła siana z odzieży, zaciągnął pas i wcisnął z fantazją na głowę sponiewieraną czapkę. Kapłan obserwował go posępnie.

— Perthona zakuto w dyby, Vindhoena wychłostano, Anako i Murrayę wybatożono, jaka ciebie czeka kara?

— Zdaje mi się, że za pokutę udam się w długą pielgrzymkę — powiedział Cymmeryjczyk.

— Nigdy nie przejdiesz przez bramę — orzekł Ambron.

— Prawda — przyznał Conan. — Kapłan może przejść kiedy chce, lecz uczciwego człowieka zatrzymują z powodu podejrzeń i uprzedzeń. Pożycz mi swej szaty dla przyszłej pokuty.

— Meja szaty? — zakrzyknął kapłan. — Ty głupi...

Ciężka pięść wylądowała na tłustym podbródku i kapłan wciągnawszy ze świstem powietrze runął bezwładnie.

Kilka minut później, na zewnątrz dziedzicu, jakiś ciura celując zgniłym jajkiem w nieszczęsną postać w dybach, zerknął przez ramię w odzianego w habit i zakapturzonego człowieka, który opuścił stajnię i wolnym krokiem przemierzał otwartą przestrzeń. Ramiona miał opuszczone ze znużeniem, głowę pochyloną do przodu tak mocno, że rysy twarzy skryły się pod kapturem.

Żołnierz zdjął zniszczony kapelusz i skłonił się niezgrabnie.

— Witaj Ambronie — powiedział.

— Witaj mój synu — nadeszła cicha odpowiedź stłumiona głębokim kapturem. Prostak skinął głową przyjaźnie, kiedy zakapturzona postać ruszyła bez przeszkód w kierunku tylnej bramy.

— Biedny kapłan Ambron — rzekł żołnierz do siebie. — Za bardzo bierze sobie do serca grzechy tego świata, oto idzie przygnieciony ludzką niegodziwością.

Rzucił za nim okiem i znów wycelował w ponure oblicze spoglądające groźnie znad dybów.

* * *

Przez lśniący błękit Morza Vilayet płynęła niezgrabna, szeroka kupiecka galera. Kwadratowy żagiel zwisał bezwładnie z jedyne go cienkiego masztu. Siedzący na ławkach, ustawionych po obu stronach śródokręcia, wiosłarze ciągnęli długie wiosła, pochylając się w

przód i w tył z mechaniczną jednostajnością. Mięśnie poruszały się równomiernie, na spaloną słońcem skórę wystąpiły krople potu. Spod pokładu dobiegał zgiełk głosów, skargi zwierząt, fetor stajni i chłopskiego obejścia. Zapachy te można było wyczuć już z pewnej odległości od zawietrznej. Na południu błękitne wody rozciągały się jak płynny szafir. Na północy migoczącą powierzchnię przerywała wyspa wznosząca zwieńczone ciemną zielenią białe urwiste brzegi. Dostojeństwo, czystość i spokój panowały wszędzie, lecz nie tam gdzie śmierdząca, nieruchawa balia chwiejnie przedzierała się przez spienioną wodę, oznajmiając dźwiękami i zapachem o obecności człowieka. Poniżej śródkręcia, przycupnięci pomiędzy tobołkami pasażerowie, gotowali jedzenie na małych piecykach. Dym mieszał się z odorem potu i czosnku. Konie stłoczone w narożniku rżały żałośnie. Owce, świnie i kurczaki też przyczyniały się do spotęgowania smrodu. Na tle odgłosów spod pokładu, do członków załogi i zamożniejszych pasażerów dzielących kabinę kapitana Throyera dotarł nowy dźwięk. Ostry, zirytowany głos Throyera i odpowiedzi udzielane donośnym, szorstkim głosem z obcym akcentem.

Turański kapitan objając się między beczkami i belami ładunku odkrył był pasażera na gapę, czarnowłosego olbrzyma, odzianego w znoszoną skórę, który chrapał w pijackim śnie pomiędzy beczkami. Namiętna oracja kapitana w kwiecistym języku sprowadziła się w końcu do żądania aby obcy zapłacił za przewóz.

— Płacić? — powtórzyło indywiduum przeczesując grubymi palcami potargane włosy. — Za co miałbym płacić chudzielcu? Gdzie ja jestem? Co to za statek? Dokąd płyniemy?

— To „Ognisty Ptak” w rejsie z Aghrapur do Shahpur.

— Ach tak — zamruczał gapowicz. — Pamiętam. Wszedłem na pokład w Aghrapur położyłem się obok beczki z winem, pomiędzy...

Throyer pośpiesznie sprawdził beczkę i wybuchnął z nową pasją:

— Psie! Wypiłeś wszystko!

— Od jak dawna jesteście na morzu? — zapytał intruz.

— Wystarczająco długo aby ład zniknął za widnokrzem — warknął kapitan. — Świnia! Jak człowiek może leżeć pijany tak długo.

— Nic dziwnego, że mam pusty brzuch — mruknął gapowicz. — Leżałem pomiędzy belami i kiedy się budziłem piłem dotąd aż znów zasypiałem.

— Hmmm! Pieniądze! — zakrzyknął Turańczyk. — Żądam zapłaty za podróż!

— Żądasz! Ja nie mam grosza przy duszy.

— Więc wylecisz za burtę — groźnie przyrzekł Throyer. — Na pokładzie „Ognistego Ptaka” nie ma miejsca dla żebraków!

To oświadczenie podziałało jak iskra na proch. Obcy parsknął wojowniczo i szarpnął za miecz.

— Wyrzucić mnie za burtę, w te morskie odmęty? Nigdy, dopóki Conan może utrzymać miecz w dłoni. Wolno urodzony Cymmeryjczyk jest tyle samo wart co byle Turańczyk ubrany w aksamit. Zawołaj swoje byczki, a zobaczysz jak im puszczą krew!

Z pokładu dobiegł głośny okrzyk, piskliwy z nagłego przestraszenia.

— Galery z prawej burty! Hyrkańczycy!

Jęk wyrwał się z ust kapitana i twarz mu pociemniała. Porzuciwszy natychmiast dyskusję obrócił się i wspiął na pokład. Conan podążył za nim i zagapił się na pełne niepokoju, brązowe twarze wiosłarzy, na przerażone oblicza pasażerów, kapłanów, kupców i pielgrzymów, podążając za ich wzrokiem, zobaczył trzy długie, niskie galery prującą błękitną powierzchnię morza kursem prosto na nich. Były jeszcze dość daleko ale na „Ognistym Ptaku” można już było dosłyszeć nikły brzęk czyneli i dojrzeć proporce łopoczące na szczytach masztów. Wiosła zanurzały się w błękitną wodę rozpryskując migoczące krople. — Rób zwrot i bierz kurs na wyspę! — wykrzyknął kapitan Throyer. — Jeżeli dotrzemy do niej, być może zdołamy się ukryć i uratować życie. Galera jest stracona wraz z całym ładunkiem! O święci patroni — zapłakał załamując ręce mniej ze strachu, bardziej z zawiedzionego skąpstwa.

„Ognisty Ptak” z trudem wykonał zwrot i kołysząc się na fali skierował w stronę urwistego lśniącego w słońcu brzegu. Smukłe galery podchodziły coraz bliżej, ślizgając się na falach niczym węże wodne. Roztańczona, błękitna przestrzeń między „Ognistym Ptakiem”, a brzegiem zwężyła się, lecz szybciej kurczyła się przestrzeń pomiędzy statkiem, a piratami. Strzały jęły przecinać powietrze i spadać na pokład. Jedna wbiła się drżąc tuż przy stopie Conana, który odskoczył jak od żmii. Cymmeryjczyk otarł pot z czoła. Usta miał suche, w głowie pulsowało, a brzuch ciążył. Nagle dostał choroby morskiej.

Wiosłarze sapiąc wygięli grzbiety i napaarli na wiosła tak potężnie, że wydawało się iż wzniosą statek ponad wodę. Strzały już nie leciały na pokład po łuku. Szyły prosto. Ktoś wył,

ktoś inny osunął się bez jęku do wody i poszedł na dno. Jeden z wioślarzy zachwiał się ugodzony strzałą między łopatki. Ogarnięci paniką wioślarze zaczęli gubić rytm. „Ognisty Ptak” tracił prędkość i posuwał się już wolniej. Pasażerowie podnieśli lament, zaś od strony napastników dobiegły okrzyki triumfu. Ich okręty ustawiły się w wachlarz, by oskrzydlić skazaną galere.

Na pokładzie kupieckiego statku kapłani spowiadali i udzielali rozgrzeszenia.

— O bogowie wysłuchajcie mnie! — dyszał ciężko wymizerowany kupiec klęcząc na deskach. Konwulsyjnie ścisnął upierzoną strzałę, która nagle wbiła się w jego pierś, po czym opadł na bok i ucichł.

Strzała uderzyła z całą mocą w poręcz, przez którą przewiesił się Conan, wbijając się tuż koło jego łokcia. Nie zwrócił na to uwagi. Czyjaś ręka opadła na jego ramię. Bez słowa obrócił głowę i podniósł zzieleniałą twarz napotykając zaniepokojone oczy kapłana.

— To może być twoja ostatnia godzina mój synu. Wyznaj swoje winy, a udzielę ci rozgrzeszenia .

— Jedyne co przychodzi mi teraz na myśl — sapnął Conan — to to, że poturbowałem kapłana i ukradłem mu szaty aby uciec w nich z zamku.

— Niestety mój synu... — zaczął kapłan, lecz nagle skulił się z cichym jękiem. Wydawało się jakby skłonił się Conanowi. Głowa chyliła mu się coraz niżej aż opadł na pokład. Z ciemnej powiększającej się plamy na boku sterczała hyrkańska strzała.

Cymmeryjczyk spojrzął ponad nim, po obu stronach, długie, smukłe galery przygotowywały się do abordażu „Ognistego Ptaka”. Kiedy patrzył, trzecia galera, środkowa w trójkątnej formacji staranowała kupiecki statek, z ogłuszającym trzaskiem rozłupując drewniane poszycie. Stalowy dziób przeciął falochrony i oderwał rufową nadbudówkę. Wstrząs zbił wszystkich z nóg. Ludzie pochwyteni i miażdżeni w zderzeniu konali z przeraźliwym wyciem. Pozostali piraci też nie próżnowali, okute stałą dzioby ich galer rozrąbały ławki wioślarzy zrywając im z rąk kajdany i krusząc wręgi.

Bosaki mocno zahaczyły o burty i poprzez reling przedostali się śniadzi, nadzy mężczyźni z lekkimi, wschodnimi szablami w dłoniach, błyskając oczyma. Drogę zastąpiła im broniąca się desperacko oszołomiona garstka załogi.

Conan niezdarnie próbował wyciągnąć swój miecz, krocząc chwiejnie naprzód. Jakiś ciemny kształt mignął mu wśród bijatyki. Na mgnienie oka ujrzał błyszczące oczy i zakrzywione ostrze opadające w dół. Pochwycił rękojeść miecza uchylając się przed błyskawicznym ciosem. Stanąwszy pewnie na szeroko rozstawionych nogach wbił miecz w brzuch pirata. Bluznęła krew i wnętrzności, umierający korsarz w paroksyzmie agonii pociągnął swojego zabójcę za sobą na pokład.

Obute i nieobute stopy deptały usiłującego powstać Conana. Zakrzywiony sztylet zahaczył o jego skórzaną kurtkę w okolicach nerek przecinając ją od dołu do góry. Conan wstał strząsając strzępy odzieży. Czyjaś śniada ręka zacisnęła się na jego porwanej koszuli, a maczuga uniosła nad jego głowę. Wrzasnąwszy szaleńczo barbarzyńca szarpnął się w tył z odgłosem dartej odzienia zostawiając rozdartą koszulę w rękach napastnika. Maczuga przecięła powietrze i napastnik upadł na kolana pociągnięty siłą niewykorzystanego ciosu. Conan popędził wzdłuż zakrwawionego pokładu klucząc i omijając skłębione grupy walczących.

Garstka obrońców skryła się w drzwiach prowadzących na dziób. Reszta galery była w rękach triumfujących Hyrkańczyków. Zalali cały pokład poniżej śródkręcia. Zarzynane zwierzęta ryczały przeraźliwie. Inne wrzaski oznajmiały śmierć kobiet i dzieci wywlekanych ze schowków między ładunkiem.

W drzwiach części dziobowej, umazane krwią niedobitki z pogromu odparowywały ciosy i pchnięcia wyszczerbionymi mieczami. Piraci okrążyli ich wrzeszcząc szyderczo, wysuwali i cofali swe piki starając się rąbać i ciąć.

Conan wskoczył na reling mając zamiar skoczyć do wody i do płynąć do wyspy. Szybki krok za nim ostrzegł go w porę tak, że zdążył obrócić się i uchylić przed ciosem szabli.

Dzierzył go średniego wzrostu, tęgi mężczyzna w błyszczącej, srebrzystej zbroi i cyzelowanym helmie przystrojonym białymi, czaplimi piórami.

Pot zamglał wzrok Cymmeryjczyka, oddech miał krótki, głowa go bolała, łydki drżały.

Hyrkańczyk ciął go w głowę. Conan sparował i sam zadał cios. Jego ostrze zadźwięczało o kolczugę hyrkańskiego dowódcy. Coś jak rozżarzona do białości głownia osmałiło jego skroń, a spływająca krew oślepiła go. Upuszczając miecz uderzył czołem napastnika zwalając go na pokład. Hyrkańczyk wił się złorzecząc ale potężne ramiona Conana zacisnęły się desperacko wokół niego.

Nagle powietrze rozdarł dziki okrzyk. Dał się słyszeć stukot stóp o pokład. Piraci jęli

przeskakiwać przez reling, by odcepić haki abordażowe. Więzień Conana jęczał piskliwie i jego ludzie ruszyli spiesznie ku niemu. Cymmeryjczyk puścił jeńca i niczym kot popędził pomiędzy falochronami, i przelazł przez dach roztrzaskanej kabiny rufowej. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nagi człowiek w fezie na głowie dźwignął odzianego w kolczugę wodza na nogi i popędził z nim przez pokład, choć ten krzyczał i przeklinał wyraźnie chcąc kontynuować walkę. Hyrkańczycy na powrót wskakiwali do swoich galer i odpływali, a stojący w roztrzaskanej kabine Conan ujrzał co było tego przyczyną.

Zza zachodniego cypla wyspy, tego samego, do którego usiłował dobić kupiecki statek, nadciągała eskadra dużych, czerwonych dromon z wieżami bojowymi wznoszącymi się na dziobie i rufie. W promieniach słońca błyszcząły hełmy i groty włóczy, słychać było grzmot trąb i huk bębnow. Na szczycie każdego masztu powiewała długa bandera z godłem Turanu. Z ust ludzi ocalałych na pokładzie „Ognistego Ptaka” wyrwał się okrzyk radości. Galery odpłynęły na południe. Najbliższa dromona przepłynęła ociężale obok i brązowe twarze okolone stałą spojrzwały przez reling.

— Ahoj tam! — zabrzmiał surowy okrzyk. — Wasz statek tonie, bądźcie gotowi do przejścia na nasz pokład.

Na dźwięk tego głosu Conan wzdrygnął się gwałtownie i zagapił na wieżę bojową wznoszącą się ponad „Ognistym Ptakiem”. Znad falochronu wysunęła się głowa w hełmie i para zimnych, szarych oczu spotkała się z jego oczami. Zobaczył wielki, haczykowaty nos, szramę przecinającą twarz od ucha aż do podbródka.

Rozpoznali się wzajemnie. Miniony rok nie stępił urazy Karzy asz Asmara.

— No nareszcie! — okrzyk zadźwięczał w uszach Cymmeryjczyka mroząc mu krew w żyłach. — Znalazłem cię łajdaku!

Conan okręcił się, zrzucił buty i dobiegłszy na skraj rufy opuścił ją jednym, długim skokiem, wpadając w błękitną wodę z potężnym plaśnięciem. Jego głowa unosiła się i opadała wśród fal, gdy długimi zamachami ramion oddalał się szybko, płynąc ku odległym brzegom wyspy.

Na dromonie podniósł się pomruk zaskoczenia, lecz Asmar uśmiechnął się zjadliwie.

— Łuk giermku — zakomenderował.

Podano mu go do rąk. Asmar umieścił strzałę na cięciwie czekając aż balansująca głowa Conana ukaże się ponownie ponad falami. Zwolniona cięciwa zaśpiewała, strzała błysnęła w powietrzu niczym srebrny promień. Conan wyrzucił w górę ramiona i jego głowa zniknęła pod wodą. Asmar nie ujrzał go już wypluwającego, chociaż żołnierze przez dłuższy czas obserwowali powierzchnię morza.

* * *

Do Sagotha, wezyra Hyrkanii, podszedł wspaniale odziany eunuch, który z wieloma uniżonymi ukłonami należnymi najpotężniejszemu człowiekowi w imperium oznajmił: — Emir Zarkon, władca Mekkaletu, Razadanu i Dimmorzu, wódz armii Trademara, władcy Pah–Dishah, wrócił właśnie z rejsu przywodząc jeńca i prosi o posłuchanie. Przyzwalające skinienie wezyra było jedyną reakcją ale jego szczupłe palce szarpnęły białą, inkrustowaną klejnotami opaskę na czole, widoma oznaka wewnętrznego niepokoju. Sagoth był szczupłym o zgrabnej sylwetce Hyrkańczykiem z przenikliwymi, skośnymi oczyma często spotykanymi u ludzi z jego rasy. Jedwabną szatę i wyszywany perłami turban, oznakę swego urzędu, nosił tak swobodnie jakby narodził się w pałacu, a nie w czarnym wojskowym namiocie, z którego tak wysoko wyniosła go jeno własna przebiegłość. Emir Zarkon wkroczył jak burza, pozdrawiając wezyra głosem stosownym raczej w obozie niżli przy audiencji. Był silnie zbudowanym, średniego wzrostu mężczyzną o jastrzębiej twarzy. Nosił przetykany złotymi nićmi płaszcz z jedwabnej mory, lecz podobnie jak głos, tak i jego silne ciało bardziej kojarzyło się z trudami wojny niż z wykwintem czasów pokoju. Wiek już nie młodzieńczy nie zdołał zgasić ogni płonących w jego ciemnych oczach. Razem z nim wszedł, człowiek, którego czarne włosy i szeroko otwarte niebieskie oczy zdecydowanie nie pasowały do przyozdabiającego go stroju: szerokich szarawarów, jedwabnego płaszczu i pantofli z wywinętymi nosami.

— Ufam, że Mitra dopomógł twemu szczęściu na morzu? — uprzejmie zapytał wezyr.

— W pewnym stopniu — przyznał Zarkon, sadowiąc się na poduchach. — Wyprawiliśmy się daleko, Crom jeden wie jak daleko. Z początku, gdy statek pędził wspinając się i opadając na fali, jak wielbłąd przemierzający pustynię, mniemałem iż wyrzucę z siebie wszystkie wnętrzności. Później jednak Mitra odsunął od nas tę chorobę.

— Zatopiliśmy kilka nędznych galer z pielgrzymami, wysyłając wszystkich do piekła i to

było dobre, lecz za całą zdobycz musiało starczyć kilka nędznych bel tkaniny... Racz jednak spojrzeć szlachetny weyrze czy widziałeś kiedykolwiek kogoś takiego jak ten oto człowiek? Na docieklive spojrzenie wezyra, Cymmeryjczyk odpowiedział szczerym wejrzeniem, szeroko rozwartych oczu.

— Widziałem podobnych pomiędzy ludźmi z zachodu — zdecydował Sagoth.

Zarkon odchrząknął i ceremonialnie zaczął jeść winogrona, rzucając je też swojemu jeńcowi.

— Niedaleko pewnej wyspy wypatrzyliśmy galerę — opowiadał między kęsami — dogoniliśmy ją i wyrznięliśmy w pień całą załogę. Większość z nich była miernymi szermierzami, lecz ten wyrąbał sobie wolną drogę i wyskoczyłby za burtę gdybym mu nie przeszkodził. Na Croma, udowodnił, że jest silny jak byk! Mam żebra wciąż jeszcze posiniaczone od jego uścisku.

Niespodziewanie w środku walki nadpłynęły okręty pełne turańskich wojowników, płynące jak się później okazało do Aghrapur. Salwowaliśmy się do naszych galer i kiedy spojrzałem w tył zobaczyłem mężczyznę, z którym uprzednio walczyłem, jak skacze przez burtę i płynie w kierunku brzegu. Oficer ze statku turańskiego posłał mu strzałę i ów zanurzył się, myślałem że ubity.

Nasze beczki na wodę były prawie puste, nie odplynęliśmy więc daleko. Jak tylko okręty turańskie zniknęły za horyzontem, zawróciliśmy i przybiliśmy do wyspy po świeżą wodę. Na plaży znaleźliśmy zemdlonego, nagiego, mężczyznę, w którym rozpoznałem mego przeciwnika! Strzała go nie sięgnęła, lecz stracił wiele krwi od cięcia, które mu poprzednio zadałem i był bliski śmierci z wycieńczenia.

Ponieważ stawał mi dzielnie, wziąłem go do swojej kabiny i wykurowałem. Nauczył się mowy, którą my dzielimy z przekłętymi Turańczykami. Powiedział mi, że jest synem króla Aquilonii z nieprawego łoża, którego wrogowie wygnali z dworu ojca i ścigają po całym świecie. Klnie się, że jego ojciec zapłaci za niego wielki okup, więc pragnę darować ci go w prezencie. Dla mnie wystarczającą przyjemnością był ten rejs. Tobie powinien przypaść w udziale okup, który król Aquilonii zapłaci za swego syna. Człek ten jest wesołym kompanem, który potrafi opowiedzieć historyjkę, opróżnić dzban i zaśpiewać piosnkę lepiej niż każdy inny, którego znałem.

Sagoth z nowym zainteresowaniem obejrzał Conana. W jego opalanej twarzy nie znalazł jakiegokolwiek znaku królewskiego pochodzenia, lecz przecież rysy niewielu mieszkańców Zachodu cechowało królewskie dostojeństwo. Rumiani, piegowaci, jasnowłosi, czarnowłosi, wszyscy zachodni panowie byli bardzo podobni do siebie w oczach Hyrkańczyków. Skierował swoją uwagę znów na Zarkona, który był dlań ważniejszy niż jakikolwiek aquiloński włóczęga, obojętne królewicz czy prostak. Stary pies wojny, napełniał puchar, winem wezyra z szokującym brakiem etykiety, mrużąc pod nosem kuigarską pieśń wojenną. Obecni panowie władający Hyrkanią byli nie lepsi w swojej moralności niż ich prawowici spadkobiercy łamiąc tak jak i oni zakazy bogów. Wyglądało na to, że Zarkon nie myśli o niczym więcej poza zaspokojeniem pragnienia ale Sagoth ciekaw był jaki podstęp kryje się za tymi prostodusznymi pozorami. U kogoś innego Sagoth pogardzałby taką niez mordowaną żywotnością, jako oznaką niższości umysłowej. Ale Zarkon, prawa ręka Trademara nie był głupcem. Wezyr zastanawiał się czy Zarkon zabrał się z korsarzami El Arabiego na tę bezsensowną wyprawę tylko dlatego, że jego niewyczerpana energia nie pozwoliła mu usiedzieć spokojnie na dworze kalifa czy też było jakieś głębsze znaczenie jego podróży. Sagoth zawsze doszukiwał się ukrytych motywów nawet w zwyczajnych sprawach. Sam osiągnął swoją pozycję nie lekceważąc żadnej możliwości intrygi. Ponadto tej wczesnej wiosny przyszłość brzemienista była wydarzeniami.

Sagoth wspomniał o poprzednim weyrze Mirgamie, którego kości butwiały w rowie koło świątyni Rasta Nubisa i rzekł z uśmiechem.

— Tysiączne dzięki za twe dary mój panie. W zamian, nefrytowy puchar wypełniony perłami, zostanie odniesiony do twej komnaty. Niech ta wymiana podarunków będzie symbolem wiecznej trwałości naszej przyjaźni.

— Mitra zamienił twe słowa w złoto dostojny — zagrzmiął Zarkon wstając. — Zamierzam teraz popić z moimi oficerami i nałgać im o moich podróżach. Jutro ruszam do Pah–Dishah.

— Niech bogowie będą z tobą!

— I z tobą.

Gdy sprężyste kroki Zarkona ucichły na grubych dywanach przedsionka, Sagoth wskazał Conanowi miejsce na poduszkach obok siebie.

— Co będzie z okupem za ciebie? — zapytał w aquilońskim, którego nauczył się stykając się z Aquilończykami podczas swych dalekich podróży.

— Mój ojciec król, wypełni tę komnatę złotem natychmiast — odpowiedział Conan. — Wrogowie donieśli mu, że zemże się. Wielka będzie radość starego człowieka kiedy dowie się prawdy.

Mówiąc to Conan skrył twarz w kielichu i jął łamać sobie głowę nad lepszym i mocniejszym kłamstwem. Dla Zarkona puścił wodze fantazji chcąc w jego oczach uczynić się zbyt cennym, by go zabić. Później, no cóż, Cymmeryjczyk żył tylko dniem dzisiejszym nie trapiąc się o jutro.

Wezyr patrzył zafascynowany jak zawartość kielicha szybko znika w przepastnym brzuchu jeńca.

— Pijesz jak hyrkański baron — skomentował Sagoth.

— Jestem księciem wszystkich pijaków — skromnie odparł Conan i była w tym większa doza prawdy niż w większości jego przechwałek.

— Zarkon także kocha wino — kontynuował wezyr. — Piłeś z nim?

— Niewiele. Nie chciał się upić żeby nie przegapić jakiegoś statku. Ale opróżniliśmy kilka dzbanów. Odrobina wina rozwiązuje mu język.

Ciemna głowa Sagotha poderwała się. To była nowość dla niego.

— Mówił coś? O czym?

— O swych dążeniach.

— I jakie one są? — wezyr wstrzymał oddech.

— Pragnie zostać kalifem — odpowiedział Conan wyolbrzymiając jak miał w zwyczaju wypowiedziane przez Zarkona słowa. — Mówił wtedy gwałtownie i przez to chaotycznie.

— Wspominał o mnie? — domagał się dalej wezyr.

— Rzekł, że trzyma cię w garści panie — odparł Conan o dziwo prawdomównie.

Sagoth umilkł. Gdzieś w pałacu zabrzmiała lutnia, czarna dziewczyna zawodziła dziwną, jęśliwą pieśń południa. Fontanny pluskały srebrzyście i niósł się odgłos gołębic skrzydeł.

— Jeżeli wyślę emisariuszy do Khawarizm, jego szpiedzy doniosą mu o tym — mrucał Sagoth do siebie. — Jeżeli zabiję go lub uwięzę, Trademar poczyta to jako powód do wojny. Podniósł głowę i spojrzał na Cymmeryjczyka.

— Nazwał się królem pijaków, zdołasz przewyższyć emira Zarkona w pijaństwie?

— W pałacu mojego ojca, króla — rzekł Conan — pewnej nocy upiłem pięćdziesięciu baronów tak, że powpadali pod stół, a najsłabszy z nich miał twardszą głowę niż Zarkon.

— Chcesz odzyskać wolność bez okupu?

— Tak, na świętego Mitrę!

— Z pewnością nie możesz dużo wiedzieć o polityce Wschodu tak niedawno przybywszy w te strony — mówił wolno wezyr — ale chęć posiadania władzy absolutnej jest zwornikiem sklepienia cesarstwa. Pożąda go Almuryk, król Khawarizm, a także i Trademar sułtan Pah-Dishah. Najpierw Abu Ranzi po nim Mirgam i na koniec ja wygrywałem jednego przeciw drugiemu. Ja obaliłem Mirgama z pomocą Zarkona, zaś z pomocą Almuryka wyprowadziłem w pole z kolei Zarkona. To jest ryzykowna gra i dlatego nie mogę ufać nikomu.

Trademar jest ostrożny, Zarkon to człowiek, którego należy się lękać. Przypuszczam, że dlatego przybył tu ofiarując mi swą przyjaźń, że chce wysledzić jak uśpić moje podejrzenia. Nawet w tej chwili jego armia może maszerować na południe. Jeżeli chęłił się przed tobą potęgą i ambitnymi planami znak to, że nie czuje zagrożenia dla swych spisków. Muszę unieruchomić go na kilka godzin, lecz nie ośmielę się go skrzywdzić nie upewniwszy się czy jego zastępy nie są już w drodze. I tu zaczyna się twoja rola.

Conan pojął i szeroki uśmiech rozjaśnił jego opaloną twarz, oblizał się łakomie. Sagoth klasnął w ręce i wydał rozkazy, niebawem przybył zawieszany Zarkon niosąc przed sobą niczym cesarz, swój owinięty jedwabiem brzuch.

— Nasz królewski gość — mruknął Sagoth — opowiadał o swoich przewagach przy kielichu. Czyż pozwolimy obcemu wrócić do domu i chwalić się, że przewyższył nas we wszystkim? Któż najlepiej może zadać cios jego pysze niż ty Zarkonie?

— Hulanka? — Emir wybuchnął śmiechem gwałtownym jak podmuch morskiego wiatru.

— Na brodę mego ojca, to mi się podoba! Chodź Conanie Cymmeryjczyku, dalejże żłopać wino!

Rozpoczęła się procesja niewolników niosących złote puchary napełnione po brzegi lśniącym nektarem.

Podczas swojej niewoli na galerze El Arabiego, Conan przywykł do ciężkiego, wschodniego wina. Ale krew zdążyła zawrzeć mu w żyłach, w uszach dzwoniło, a zdobiona złotem komnata zawirowała w zawrotnym tempie przed jego oczami, zanim głos Zarkona urwał się nagle w środku bezładnego śpiewu, a on sam opadł bokiem na poduszki wypuszczając z dłoni złoty puchar.

Wezyr ożywił się niesłychanie. Klasnął i do komnaty weszli półnaczy niewolnicy, olbrzymie postacie w jedwabnych szarawarach i ze złotymi kółkami w uszach.

— Wynieście go do alkowy, połóżcie na sofie — rozkazał. — Conanie czy dasz radę dosiąść konia.

Cymmeryjczyk podniósł się zataczając jak statek na wysokiej fali.

— Będę się trzymał grzywy — czknął. — Ale po cóż mam gdzieś jechać?

— Zawieźć mój list do Almuryka — warknął Sagoth — oto on w jedwabnym pakiecie.

Mówi, że Zarkon zamierza przejąć władzę w Hyrkanii, i że ja oferuję zapłatę w zamian za pomoc. Almuryk mi nie ufa ale uwierzy komuś z jego nacji, z krwi królewskiej, kto opowie mu o przechwałkach Zarkona.

— Taa — zamruczał Conan — z krwi królewskiej, a jakże, może mój pradziad był stajennym w królewskich stajniach.

— Coś rzekł? — zapytał wezyr nie rozumiawszy i ciągnął dalej zanim Conan mógł odpowiedzieć. — Zarkon ułatwił nam zadanie. Poleży bez zmysłów przez parę godzin, a w tym czasie ty pojedziesz do Khawarizm. On nie wyruszy jutro do Pah–Dishah będzie chory z przepicia. Nie śmiem uwięzić go czy nawet zatruć mu wina, nie odważę się uczynić kroku zanim nie zawrę ugody z Almurykiem. Ale Zarkon jest unieszkodliwiony na jakiś czas, a ty dotrzesz do Almuryka zanim on dotrze do Trademara. Pośpiesz się!

Z zewnętrznego podwórca dochodził brzęk uprząży słychać było niecierpliwe stapania koni i niewyraźne ciche szept. Odgłos kroków ucichł w głębi korytarza. Leżący samotnie w alkowie Zarkon niespodziewanie usiadł prosto. Potrząsnął gwałtownie głową przetarł dłońmi twarz jakby chciał oczyścić ją z pajęczyn i podniósł się chwiejnie, łapiąc się za głowę. Ale broda jeżyła mu się wokół ust wykrzywionych grymasem niepohamowanej radości. Rozpierała go duma, którą ledwie mógł wstrzymać, a która zdawała się go rozsadzać. Potykając się podszedł do zakratowanego okna. Pod jego masywnymi rękami złote pręty skręciły się i wygięły. Zarkon runął przez okno uderzając o ziemię w samym środku różanego krzewu. Nie zważając na siniaki i zadrapania wstał przechylając się jak statek robiący zwrot, i próbował zorientować się w terenie. Był w rozległym ogrodzie, białe kwiaty falowały wokół w lekkim wietrzyku wstrząsającym liśćmi palm. Wschodził księżyc.

Nikt go nie zatrzymał, kiedy przełaził przez mur, tylko gdy szedł chwiejnie przez opustoszałe ulice, kryjący się w cieniu złodzieje przyglądali się chciwie jego bogatym szatom. Okrężną drogą dotarł do swojej własnej kwatery i kopnięciem obudził niewolników.

— Koni, bo Crom was przeklnie!

Jego głos aż pękał z radości. Ern jego rotmistrz wyłonił się z cieni.

— Co teraz panie?

— Pustynia, a za nią wolny kraj — zaryczał Zarkon wymierzając mu potężnego szturchańca w bok, Sagoth połknął przynętę! — O, bogowie, jakże jestem pijany! Świat wiruje ale gwiazdy są moje!

— Ten barbarzyńca jedzie do Almuryka, słyszałem jak Sagoth udzielał mu instrukcji, kiedy leżałem obok udając drzemkę. Zmusiliśmy wezyra do działania. Teraz Trademar, nie będzie się ociążał, kiedy jego szpiedzy doniosą mu z Khawarizm o marszu zakutych w stal mężów. Wędziłem się na dworze kalifa udaremniając każdy ruch Sagotha i szukając sposobu. Zabrałem się na te korsarskie galery aby uspokoić umysł i Crom zesłał mi w ręce tego czarnowłosego barbarzyńcę. Wypchałem go po brzegi, niby to pijackimi przechwałkami, mając nadzieję, że powtórzy je Sagothowi, i że ten przestraszony pośle po Almuryka, który zmusi naszego nadmiernie ostrożnego sułtana do działania! Ale do wszystkich rogatych diabłów jedźmy już!

Kilka minut później emir i jego mała świta przegalopowała ciemnymi ulicami, przecięła pełne kolorów ogrody, uśpione w księżycowej poświacie, otulające bajkowe pałace, które były niczym sny z różowego marmuru, złota i lapis lazuli.

Przy małej, odosobnionej bramie, samotny wartownik zakrzyknął wezwanie i podniósł pikę.

— Psie! Zarkon wstrzymał swojego rumaka tak, że aż przysiadł na zadzie i zawisł nad strażnikiem jak okryta jedwabiem śmiertelna chmura. — Jam Zarkon, gość twojego władcy!

— Ale moje rozkazy mówią, by nie wypuszczać nikogo bez pisemnego rozkazu z pieczęcią i podpisem wezyra — zaprotestował żołnierz.

— Jak wytłumaczę się przed Sagothem...

— Niczego nie wytłumaczysz — złowróźnie powiedział Zarkon — umarli nie mówią.

Jego miecz błysnął i opadł, a żołnierz złamał się w pół, cięty przez hełm w głowę. —

Otwieraj wrota Ern — zaśmiał się Zarkon — to Śmierć galopuje tej nocy, Śmierć i Przeznaczenie!

Jordan Robert - Conan. Droga demona

W kłębach kurzu, skapanego w blasku księżyca, odjechali pędem przez równinę. Na skalistym grzbiecie Zarkon ściągnął wodze, by obejrzeć się na miasto, leżące jak bajkowy sen w świetle księżyca. Bezmiar kamienia i marmuru, pomieszane razem okazałość i plugastwo, wspaniałość i ruiny. Na południu kopuła świątyni jaśniała w świetle księżyca, na północy majaczyła gigantyczna sylwetka zamku Ab el Kondor, ze swymi murami rysującymi się czernią w białym świetle. Między nimi leżały szczątki i ruiny trzech poprzednich stolic. Pałace, których zaprawa nie zdążyła jeszcze wyschnąć, wzniesiono tuż przy kruszących się murach zamieszkałych przez nietoperze.

Zarkon zaśmiał się i zakrzyknął z czystej radości. Koń stanął dęba, scimitar załśnił w powietrzu.

— Oblubienico w złotych szatach! Oczekuj mnie aż wrócę tu wiodąc zbrojnych jeźdźców, by cię objąć w posiadanie!

* * *

Mitra zrządził, że Almuryk, król Khawarizm był właśnie w Ghor, osobiście zajmując się umacnianiem tej małej, pustynnej placówki kiedy wysłannicy z Hyrkanii przekroczyli jej bramę. Almuryk był mężem niezmordowanym, czujnym i przezornym, stworzonym do wojny i intryg.

W zamkowej sali emisariusze hyrkańscy zgięli się przed królem w powitalnym ukłonie jak łan zboża pod naporem wiatru, a Cymmeryjczyk wyglądający groteskowo w zakurzonych jedwabiach i białym turbanie podniósł się niezdarnie i wręczył opieczętowaną przesyłkę Sagotha.

Almuryk wziął ją w dłonie i czytał chodząc dużymi krokami, tam i z powrotem niczym złotogrzywy lew, majestatycznie, choć z groźną sprężystością drapieżnika.

— O cóż to chodzi z tym królewskim bękartem? — zapytał nagle wpatrując się w Conana, który mimo, że zdenerwowany nie okazał zakłopotania.

— To kłamstwo, by okpić Hyrkańczyków, Wasza Wysokość — przyznał się Conan przekonany, że Hyrkańczycy nie rozumieją aquilońskiego — nie jestem księciem krwi z nieprawego łóża, a jedynie najemnym żołnierzem, byłem gwardzystą księcia Gotryka de Mulen.

Conan nie miał ochoty być wyproszony do czeladnej, wraz z resztą pacholków. Im bliżej królewskiej purpury, tym obfitsze są resztki. Liczył na to, że król Khawarizm nie jest zbyt obeznany z parantelami szlachty.

— Znałem wielu najemników, którzy choć nie posiadali majątku, ryszunka i zawołania, a nie byli mniej wariaci od innych — powiedział Almuryk — nie odejdziesz bez zapłaty. — Czy wiesz Conanie jak ważna jest ta wiadomość?

— Wezyr Sagoth wyjawiał mi nieco — przyznał Cymmeryjczyk.

— Ważą się losy pokoju — mówił Almuryk — jeżeli jeden człowiek zawładnie górną i dolną Hyrkanią znajdziemy się w poważnych kłopotach. Lepiej żeby Hyrkanią władał Sagoth niż Trademar. Ruszamy na Secunderam. Czy chcesz towarzyszyć armii?

— Zaprawdę panie — zaczął Conan — to był męczący czas...

— Prawda — przerwał Almuryk. — Lepiej jedź do Hangary wzdychając przed podróżą.

Dam ci list do tamtejszego komendanta. Karza asz Asmar przydzieli ci służbę...

Conan wzdrygnął się gwałtownie

— Nie panie — powiedział pośpiesznie — obowiązek mnie wzywa a czymże są zmęczone nogi i pusty brzuch wobec obowiązku? Pozwól mi iść ze sobą i spełnić mą powinność!

— Podoba mi się twój zapach Conanie — rzekł Almuryk z aprobującym uśmiechem. —

Gdybyż wszyscy ci poszukiwacze przygód przybywający na południe byli tacy jak ty!

— Tacy właśnie są — mruknął cicho do swego kompana jeden z emisariuszy, zachowując kamienną twarz — wszystkie beczki wina w królestwie nie wystarczyłyby dla nich. Ciekawą historyjkę o tym łgarzu opowiemy po powrocie wezyrowi.

Lecz to czy Conan kłamał czy nie, nie miało już znaczenia, gdyż szarym brzaskiem, wczesnowiosennego dnia, żelazne zastępy króla Almuryka ruszyły na północ, pod ogromną, czerwoną chorągwią falującą nad odzianymi w hełmy głowami, a ostrza kopii zimno połyskiwały w słabym świetle poranka.

Nie było ich wielu, siła założonych na południu królestw, leżała w jakości, nie w ilości obrońców. Kilkuset żołnierzy ruszyło na północ w kierunku południowych granic Hyrkanii: szlachta z Khawarizm, baronowie, których zamki strzegły zachodnich marchii, rycerze Haschida w swoich białych płaszczach, srodzy Samaranie i awanturnicy zza morza, których skóra była poczerwieniała od zimnego słońca północy.

Jordan Robert - Conan. Droga demona

Z nimi jechało mrowie najemników z Kosali, żyłastych mężów na nędznych konikach. Za jeźdźcami ociężałe podążały tabory, a wraz z nimi pstra hałastra obdartusów, ciur obozowych i dziwek ciągnących za każdą armią. Lśniąca zakuta w stal i uwieńczona chorągwiemi armia Khawarizm przemierzała kraj wlokąc za sobą mrowie malowniczego plugastwa. I znów wydmy pustyni zaznały ciężkich kroków, podkutych koni i posłyszały szcęk pancерzy. Zbrojni przemierzali stare, wojenne szlaki, drogi, które tak często przemierzali ongiś ich ojcowie.

Kiedy w końcu monotonię płaskiego krajobrazu przerwała rzeka wijąc się jak żmija, nakrapiana zielonymi cętkami palm, usłyszeli przenikliwy zgiełk czyneli i nakirów. Ujrzeni białe kity pióropuszy poruszających się pomiędzy jaskrawo zdobionymi namiotami, noszącymi barwy Hyrkanii. Zarkon osiągnął rzekę przed nimi wiodąc kilka tysięcy jazdy. Ruchliwość zawsze stanowiła przewagę jazdy hyrkańskiej, gdy tymczasem wojskom najemnym zabierało zawsze dużo czasu zebranie i przemieszczenie ciężkich wojsk. Pędząc tak szybko jak tylko człowiek mógł, Zarkon dotarł do Trademara, zdał mu sprawę i z niewielką zwłoką powiódł na południe swe zastępy, trzymane w gotowości od czasów pierwszej kampanii. Myśl o Almuryku na hyrkańskiej ziemi wystarczyła, by pobudzić Trademara do działania. Gdyby Turańczycy stali się panami rzeki oznaczało by to koniec marzeń o imperium.

Ludzie Zarkona mieli niezmordowaną żywotność nomadów. Przecinając pustynię wąwozem Kharkari, Zarkon pędził swych jeźdźców dotąd aż nawet wytrzymali Sogdyjczycy jęli się chwiać w siodłach. Wkroczył prosto w paszczę szalejącej burzy piaskowej, walcząc jak wariat o każdą milę i każdą sekundę. Gdy przybyli nad rzekę, jego ludzie mogli złapać oddech, podczas gdy on wpatrywał się w horyzont na południu, wypatrując ruchomego lasu kopii, który oznaczałby nadciągającego Almuryka.

Król Khawarizm nie odważył się spróbować przeprawy na oczach oczekującego przeciwnika. Zarkon był w takiej samej sytuacji. Nie rozbijając obozu Turańczycy pociągnęli wzdłuż rzeki na północ wypatrując możliwości przeprawy przez mulisty nurt. Hyrkańczycy zwinęli obóz i podjęli marsz dotrzymując im kroku. Na progach glinianych chat wieśniacy spoglądali zdziwieni widokiem dwóch przedzielonych rzeką armii, poruszających się wolno w tym samym kierunku bez oznak wzajemnej wrogości. W końcu ujrzeli wieże Ab el Kondor.

Turańczycy rozbili swój obóz na brzegach rzeki w pobliżu ogrodów gdzie bajkowe budynki wznosiły swoje płaskie dachy ponad oceanem palm i falujących sadów. Po drugiej stronie rzeki Zarkon rozbił obóz pod piramidami, w cieniu wzdorliwych kolosów, zbudowanych przez tajemniczych monarchów, których imiona zapomniano na długo przed tym nim narodzili się jego przodkowie.

Sprawy utknęły w martwym punkcie. Emir przy całej swojej impulsywności miał cierpliwość tak niewzruszoną, jak góry, które go wydał. Był zadowolony z tej gry na przeczekanie, z rzeką oddzielającą go od straszliwych mieczy Turańczyków.

Sagoth czekał na Almuryka z pompą i paradą wśród dźwięków nakirów, nieposkromiony jak lew i jak on rozważny. Dwieście tysięcy sztuk złota i wchodzi do gry, to była cena jakiej zażądał Almuryk. Emir wiedział, że musi zapłacić. Hyrkania drzemała, tak jak drzemała od tysięcy lat, bezwolna pod panowaniem kolejnych władców. Wieśniacy harowali na swoich polach nie bardzo wiedząc komu płacąc podatki. Kraj zwany Hyrkania nie istniał, to był pozór, maska despoty. Sagoth był Hyrkania, Hyrkania była Sagothem, a cena za władzę, była ceną jego głowy. Więc poselstwo Turańczyków przybyło do siedziby kalifa.

Tajemnica wciąż osłaniała osobę, będącą Wcieleniem Boskiego Umystu. Duchowe centrum wiary pograżało się w labiryncie mistycznych tajemnic, zasłona nadprzyrodzonego strachu potężniała, w miarę jak polityczną siłę przywłaszczali sobie spiskujący wezyrzy. Żaden cudzoziemiec nigdy dotąd nie widział kalifa Hyrkanii.

Do poselstwa wybrano Egon z Shangary i Gotryka Hurona mistrza Samarian, krwawych psów wojny, srogich jak ich własne miecze. Towarzyszył im oddział opancerzonych jeźdźców.

Jechali przez ukwiecone ogrody, minęli świątynię Rasta Nubisa, gdzie Mirgam zginał z rąk motłochu, ciągnęli wietrznymi ulicami, pod którymi skrywały się ruiny El Tasar i El Funai. Minęli świątynię Abu Fazima. Wjechali w rojne ulice, dzielniczy Ab Ganzarii gdzie z domów tubylców dochodziły niesamowite dźwięki, a zuchwali, strojni w jedwab i złoto mężowie przyglądali się z dziecinnym zaciekawieniem srogim jeźdźcom.

Jeźdźców zatrzymano przy bramie Rawena, którą mistrz Samarian i pan z Shangary przekroczyli w towarzystwie tylko jednego człowieka, Conana Cymmeryjczyka. Barbarzyńca odziany był w porządny, skórzany kaftan pod siatkową kolczugą, z mieczem przypasanym do

bioder. Nikt w tych niebezpiecznych czasach nie przejmował się zbytnio królewskimi bękartami, ale Conanowi udało się zdobyć przychylność Egona z Shangary, który uwielbiał ciekawe opowieści i sprośne piosenki.

Przy bramie Rawena powitał ich uroczyście Sagoth i przeprowadził przez bazyliki i dzielnicę kupiecką, gdzie mężowie o jastrzębim wyglądzie przypatrywali się im spluwając w milczeniu. Pierwszy raz uzbrojeni cudzoziemcy przemierzali konno ulice Secunderamu. U wrót Złotego Pałacu Boskiego Kalifa postowicie oddali miecze i podążyli za wezyrem mrocznymi korytarzami, o ścianach obwieszonych arrasami, gdzie pod złożonymi łukami drzwi, stali z mieczami w dłoniach, niemi wojownicy niczym uosobienie czarnej ciszy. Przemierzyli otwarty dziedziniec otoczony ozdobnymi arkadami, wspartymi na marmurowych kolumnach, ich obute w stal stopy dźwięczały na mozaikowej posadzce. Fontanny strzelały w powietrze połyskliwym srebrem, pawie rozpościerały mieniące się tęczoowo ogony, w złotych klatkach trzepotały papugi. W rozległych pomieszczeniach, klejnoty błyszcząły w oczach ptaków wykutych ze srebra i złota. W końcu wkroczyli do ogromnej sali audiencyjnej o suficie rzeźbionym w hebanie i kości słoniowej. Dworzanie w jedwabiach i klejnotach klęczeli zwróceniem twarzami ku szerokiej zasłonie, ciężkiej od złota i naszytych na niej pereł, które na tle matowej czerni migotały niczym gwiazdy na nocnym niebie.

Sagoth po trzykroć uderzył w pokłonie czołem o pokrytą dywanem podłogę. Zasłona rozsunała się na boki i zdumieni Turańczycy wpatrzyli się w złoty tron, na którym, odziany w białą, jedwabną szatę siedział Al Hadhid, kalif Hyrkanii.

Ujrzeni wysmukłego młodzieńca, o ciemnej, niemal murzyńskiej cerze. Jego ręce spoczywały bezwładnie, a oczy zdawał się zasnuwać cień wiecznego snu. Śmiertelne znużenie wydawało się towarzyszyć mu nieodstępnie. Słuchał swego wezyra tak, jakby uważał, że ten mówi mu rzeczy nazbyt często powtarzane.

Lecz kiedy Sagoth zasugerował z najdalej posuniętą ostrożnością, że Turańczycy chcieliby uścisnąć jego rękę w dowód potwierdzenia układu, iskra przebudzenia ożywiła mu twarz. Po sali przebiegł cichy pomruk. Al Hadhid zastanawiał się przez chwilę, potem wyciągnął swoją urękawiczoną dłoń. Obecni wstrzymali oddech, gdy usłyszeli grzmiący głos księcia Egona: — Panie, dobra wiara książąt, nie boi się nagości. Prawda nie jest odziana.

Wszyscy ze świstem wciągnęli powietrze. Ale kalif uśmiechnąwszy się jeno na tę zachciankę barbarzyńców, zsunął rękawiczkę z dłoni kładąc swoje wysmukłe palce na niedźwiedziej łapie Turańczyka.

Conan obserwował to wszystko, trzymając się dyskretnie na dalszym planie. Oczy wszystkich były skierowane na grupę, zgromadzoną przy złotym tronie. Gdzieś z tyłu, zza ramienia, do uszu Cymmeryjczyka dobiegł miękki syk. Kobięca nuta w nim, kazała mu natychmiast zapomnieć o królach i kalifach. Ciężka draperia była lekko uchylona, ze słodko pachnącej ciemności czyjaś smukła, biała dłoń skinęła zapraszająco. Wyczuł inny zapach, wabiącą woń, subtelną, lecz wyraźną.

Conan odwrócił się cicho i odsunął na bok draperię, wyęzając wzrok w półmroku. Za zasłonami znajdowała się alkowa, z której wychodził wąski, kręty korytarz. Przed nim stała smukła, niewyraźna postać spoglądając nań parą błyszczących oczu, a siła diabolicznych pachnideł pokonała jego rozsądek.

Pozwolił draperii opaść za sobą. Poprzez zasłony, głosy z sali tronowej dochodziły niewyraźne i przytłumione.

Kobieta nie wyrzekła ani słowa, jej małe stopy nie czyniły dźwięku, na wyłożonej grubym dywanem podłodze, po której brnął potykając się. Zapraszała, a jednak cofała się, wabiła, lecz uchylała się. Lecz kiedy zawiedziony zaczął szczerze kląć, upomniała go z palcem na ustach i ostrzeżeniem sssss!

— Niech cię diabli wezmą dziewucho — zaklął zatrzymując się raptownie. — Nie idę dalej za tobą! W co się ze mną bawisz? Jeśli nie chcesz ze mną mieć do czynienia to po coś kiwała? Czemu przyzywasz i uciekasz? Wracam na audiencję i niech pies cię ugryzie w...

— Zaczekaj — jej głos był płynną słodyczą.

Przysunęła się do niego opierając mu dłonie na ramionach. Ta odrobina światła, którą można było dojrzeć w krętym, wybitym draperia korytarzu znalazła się za nią i poprzez przejrzyste szaty zarysowała jej giętką sylwetkę. Jej ciało lśniło w purpurowym mroku, niczym ciemna kość słoniowa.

— Mogłabym się z tobą kochać — wyszeptwała.

— Co więc cię wstrzymuje? — spytał niespokojnie.

— Nie tu, idź za mną — wyślizgnęła się z jego chwytających ją po omacku ramion i sunęła przed nim, gibka, kołysząca się zjawą pośród aksamitnych kotar.

Podążał za nią płonąc z niecierpliwości i nie wdając się w przyczyny tej przygody. Dziewczyna weszła do ośmiokątnej komnaty, oświetlonej niemal tak słabo jak korytarz. Gdy wepchnął się za nią z tyłu opadła kotara zasłaniając wejście. Nie zwrócił na to uwagi. Nie Siedział gdzie się znajduje ale i nie dbał o to. Liczyła się jedynie dziewczyna, stojąca przed nim w bezwstydnym pozie. Bez zastony, z uniesionymi, nagimi ramionami i smukłymi palcami przeplecionym; na karku, po którym opadała niczym połyskliwy woal, masa czarnych włosów. Stał porażony jej pięknnością. W niczym nie przypominała żadnej z kobiet, które do tej pory spotykał. Różnica nie polegała tylko na jej ciemnych oczach, czarnych włosach, czy ciepłym połysku kości słoniowej na jej krągłych, wysmukłych kończynach. Wyczuwał ją w każdym spojrzeniu, w każdym ruchu, każdej pozie, która ze zmysłowości czyniła sztukę. Była kobietą kształconą w sztuce rozkoszy, marzeniem, które mogło doprowadzić do szaleństwa każdego miłośnika ziemskich uciech. Wszystkie kobiety, z którymi się dotąd kochał, wydały mu się powolne, obojętne i zimne wobec tego wibrującego wcielenia zmysłowości. Faworyta kalifa! Gdy uświadomił sobie ten fakt, krew zaczęła łomotać mu w skroniach, dech mu zaparło. Z trudem chwycił powietrze.

— Nie podobam ci się? Jej oddech rozsiewający woń pachnideł, którymi namaszczone było jej ciało, owionął mu twarz. Miękkie kosmyki jej włosów, znów musnęły jego policzek. Zbliżył się do niej po omacku ale wymknęła mu się z rozbrajającą łatwością.

— Co byś uczynił dla mnie?

— Wszystko — przyznał żarliwie z większą szczerością niż zwykle w takich przypadkach. Zaciśnął dłoń na jej przegubie i przyciągnął do siebie. Drugim ramieniem objął ją w talii i dotyk jej sprężystego ciała upoił go. Sięgnął wargami jej ust, lecz ona giętko odchyliła się do tyłu, kręcąc głową tam i z powrotem. Opierała się z niespodziewaną mocą, tancerka o gibkiej sile pantery.

— Nie! — zaśmiała się, a jej śmiech zadźwięczał jak srebrna fontanna — wpierw trzeba zapłacić!

— Wymień cenę do stu tysięcy rogatych diabłów — wysapał — masz mnie za świętego? Nie oprę ci się dłużej! — rozluźnił uścisk w pasie i złapał za ramiączka jej szaty.

Nagle przestała się szarpać, otoczyła ramionami jego gruby kark i zajrzała mu w oczy. Głębina jej oczu ciemna i tajemnicza zdawała się go wciągać, wzdrygnął się, ogarnęła go fala czegoś podobnego do lęku.

— Jesteś osobistością w poselstwie Turańczyków! — odetchnęła.

— Wiemy, że wyjawieś Sagothowi, żeś synem aquilońskiego króla. Przyszedłeś z posłami Almuryka, znasz jego zamiary. Powiedz mi to, co chcę wiedzieć i będę twoja! Jakie będzie następne posunięcie Almuryka?

— Zbuduje na rzece most z łoża aby w nocy uderzyć na Zarkona — odparł Conan bez namysłu.

Nagle zaśmiała się szyderczo i z nieopisaną złośliwością uwolniła od niego, uderzając go w twarz i odskoczyła wydając ostry okrzyk. W następnej chwili cienie zaroły się spiesznymi postaciami, zza draperii wyskoczyli nadzy, czarni giganci.

Conan nie tracił czasu, na daremne gesty ku swojej, pustej pochwie miecza. Poczawszy na sobie wielkie, ciemne dłonie, walnął ciężką pięścią i napastnik zwałił się z pogruchofaną szczęką. Conan z niespodziewaną zwinnością popędził przez komnatę, ale ku swemu przerażeniu ujrzał, że drzwi skryte są pod draperiami.

Po omacku miotał się szaleńczo między zastonami, wtem muskularne ramię chwyciło go od tyłu za gardło w dławiący uścisk. Poczuł, że wloką go do tyłu i jego stopy straciły kontakt z podłogą. Pochwyciło go wiele innych rąk. Wierzgając dziko nogami kopnął w brzuch wielkiego czarnucha tak, że ten zwinął się z bólu na podłodze. Czyjś kciuk wbił mu się w oko, więc szarpnął go zębami, wywołując okrzyk bólu właściciela. Ale już tuziny rąk uniosły go grzmocąc i szturchając. Usłyszał zgrzytliwy odgłos i poczuł, że gwałtownie unoszą go i ciskają w dół. Czarny otwór w posadce otworzył się na jego przyjęcie. Krzyknął przeraźliwie spadając na łeb na szyję ocembrowanym szybem wśród syku i bulgotu rwącej wody.

Conan uderzył w wodę z potężnym pluskiem i poczuł, że nieubłaganie sunie dalej. Studnia rozszerzała się ku dołowi. Upadł blisko jej skraju i coś niosło go w drugą stronę. Gdy uniosł się dysząc i charcząc ponad powierzchnię wody, ujrzał w słabym świetle rozwierający się kolejny czarny otwór. Ogromna siła rzuciła go na jego skraj, nogi i biodra wessało w głąb ale oszalałe palce ślizgające się po omszałej, kamiennej krawędzi natrafiły na jakiś przedmiot i przyłgnęły do niego. Spojrzał dziko w górę i ujrzał w nikłym świetle wysoko ponad nim krąg głów wokół brzegu studni. Raptem światło zgasło, gdy pokrywa wróciła na miejsce i Conan został sam w zupełnych ciemnościach, wśród szumu i wirów rwącej wody, która nieubłaganie go ściągała.

Była to, jak rozpoznał Cymmeryjczyk, studnia, do której wrzucano nieprzyjaciół kalifa. Zastanawiał się ilu ambitnych generałów, spiskujących wezyrów, zbuntowanych wielmożów i natarczywych faworyt z haremu znikło w tej czarnej dziurze, by pojawić się znów w świetle dnia już tylko jako padlina płynąca korytem rzeki. Oczywiście było, że studnia doprowadzała do podziemnej odnogi, która wpadała do rzeki odległej być może o całe mile. Uczepiony kurczowo paznokciami w przejmująco zimnych, rwących wodach, Conan był tak śmiertelnie przerażony, że nie przyszło mu do głowy wzywać rozlicznych bogów, którym zazwyczaj bluźnił. Trzymał się kurczowo śliskiego okrągłego przedmiotu, na który natrafiły jego ręce. Oszałały ze strachu, zacisnął mocniej palce, by nie dać się oderwać i wciągnąć w ten czarny, oślizgły tunel. Czuł jak ramiona i palce drętwieją z wysiłku i stopniowo, lecz nieubłaganie ześlizgują się z uchwytu.

Z ostatnią porcją oddechu, wydarł się z jego piersi dziki krzyk rozpacz i cud nad cudy, nadeszła odpowiedź. Światło, które zalało szyb było zamglone i szare, lecz przez kontrast z poprzednimi ciemnościami momentalnie go oślepiło. Ktoś krzychał, ale słów nie można było zrozumieć pośród huku czarnej wody. Próbował odkrzyknąć, ale mógł jedynie bełkotać. Oszałały ze strachu, że pułapka znów się zatrzaśnie zdobył się na nieludzki skrzek, który niemal rozsadził mu gardło.

Otrząsając zalewającą mu oczy wodę, wyciągnął do tyłu szyję i ujrzał wysoko nad sobą, w otwartym wylocie studni, ludzką głowę i ramiona. W jego stronę opuściła się lina. Kołysała się przed nim, lecz nie odważał się puścić na czas wystarczająco długi, żeby po nią sięgnąć. W rozpacz zacisnął ją zębami i dopiero wtedy puścił się i pochwycił ją z całej siły pomimo iż wciąż wsysało go w czarny otwór. Lina wyslizgiwała mu się ze zdrętwiałych palców, lecz szczęki pozostały desperacko zaciśnięte na włóknach, a mięśnie szyi wytrzymały straszliwe obciążenie.

Ktokolwiek był na drugim końcu liny, ciągnął ją z siłą zaprzęgu wołów. Conan miał wrażenie, że się rozerwie nim prąd wody wypuści go ze swych szponów. Wreszcie nogi zakołysały się uwolnione i w półmroku dojrzał to, czego się tak kurczowo trzymał, była to ludzka czaszka, zaklinowana w jakiś sposób w szczelinie oślizgłej skały.

Ciągnięty energicznie w górę Conan, obracał się na linie jak wisiorek. Zdrętwiałe dłonie uparcie wpijały się pazurami w linę. Miał wrażenie iż zęby wyrwą się z korzeniami, szyja cierpiała katusze.

W momencie, kiedy osiągnął kres ludzkiej wytrzymałości, ujrzał, że mija brzeg pułapki i został rzucony na posadzkę poza jej krawędź. Czołgał się w męce, niezdolny rozewrzeć szczęk, zaciśniętych na konopnych włóknach. Ktoś zaczął masować zeszywniałe mięśnie wprawnymi palcami i w końcu szczęki rozluźniły się bluzgając strumieniem krwi ze skatowanych dziąseł. Przyciśnięto mu do warg kielich wina, a on łykał je głośno, rozlewając cenny płyn po wymazanej szlamem kolczudze. Ktoś szarpnął za naczynie, jakby w obawie, by Conan nie zaszkodził sobie nadmiernym pić, lecz ten ścisnął kielich oburącz i nie wypuszczał dopóki nie opróżnił go do dna. Dopiero teraz wypuścił go i podniósł wzrok na twarz Sagotha. Za wezyrem stali wielcy, czarni słudzy tacy jak ci, którzy byli sprawcami kłopotów Cymmeryjczyka.

— Zniknąłeś nam z oczu w sali audiencyjnej — powiedział Sagoth. — Książę Egon podejrzewał zdradę, dopóki jeden z eunuchów nie powiedział, że widział ciebie podążającego w ślad za jakąś niewolnicą. Książę zaśmiał się i rzekł, że wróciłeś do swoich dawnych nawyków, po czym odjechał z Gotrykiem. Ale ja znałem niebezpieczeństwa, w które można się wpakować figlując z kobietą w pałacu kalifa, więc szukałem cię aż jakiś niewolnik rzekł mi, że słyszał okrzyk przerażenia w tej właśnie komnacie. Wszedłem właśnie w chwili, kiedy czarnuch przykrywał z powrotem pokrywę studni dywanem. Próbował uciec i zmarł bez słowa.

Wezyr pokazał powalony kształt leżący opodal z głową zwieszoną na wpół odciętej szyi.

— Jak wpakowałeś się w te tarapaty?

— Zwabiła mnie tu jakaś niewolnica — odparł Conan — i podjuzdziła przeciwko mnie murzynów, grożąc mi studnią, jeśli nie wyjawię planów Almuryka.

— Coś jej powiedział?

Pałace oczy wezyra wpatrywały się w Conana tak bacznie, że barbarzyńca wzdrygnął się lekko i odsunął trochę dalej od ciągle otwartej klapy.

— Nie powiedziałem im niczego! Kimże jestem, by znać królewskie zamiary? Wówczas cisnęli mnie do tej przeklętej dziury choć walczyłem jak lew i okaleczyłem ze dwudziestu tych łajdaków. Gdybym tak miał ze sobą mój wierny miecz...

Na znak Sagotha zapadnię zamknięto i położono na powrót kilim. Conan odetchnął z ulgą. Niewolnicy wynieśli zwłoki.

Wezyr trącił Cymmeryjczyka w ramię i wskazał drogę korytarzem ukrytym za zasłonami.

— Wyślę cię do waszego obozu pod eskortą. W tym pałacu są szpiegdy Zarkona i inni, którzy go wprawdzie nie kochają, ale nienawidzą mnie. Opisz mi tę niewiastę, eunuch zauważył tylko jej rękę.

Conan na próżno szukał przez chwilę właściwych przymiotników wreszcie potrząsnął głową.

— Miała czarne włosy, alabastrowe ciało, a jej oczy były niczym księżycowy płomień...

— Opis pasujący do tysięcy kobiet kalifa — powiedział wezyr.

— Nieważne. Idź już bo nocy ubywa i Mitra jeden wie co przyniesie ranek.

Rzeczywiście noc już była głęboka, kiedy Conan dotarł do obozu w asyście żołnierzy, uzbrojonych w zakrzywione szable. Ale w namiocie Almuryka, który ten przezorny monarcha przedłożył nad zaofiarowany przez Sagotha pałac, płonęły jeszcze pochodnie i tamże wkroczył Conan, ufny, że zostanie dopuszczony jako opowiadacz mocnych historii, którymi zaskarbił był sobie królewską przyjaźń.

Almuryk i jego baronowie pochyleni nad mapą, byli zbyt zaabsorbowani aby zauważyć wejście barbarzyńcy, czy jego zszargany strój.

— Wezyr dostarczy nam ludzi i łodzie — mówił król — które utworzą most, a my nocą...

Gwałtowny charkot wyrwał się z ust Conana jakby ktoś dzielił go w brzuch.

— Cóż to, Cymmeryjczyku! — wykrzyknął król unosząc wzrok — dopiero teraz wracasz po przygodach w mieście? Szczęściarz z ciebie, żeś uchował głowę na karku. Eh... a coż to ci dolega, żeś tak spocony i bledniesz? Dokądże to...?

— Zażyłem ziół wymamrotał przez ramię Conan. Wyszedłszy poza obręb światła padającego z namiotu, potykając poderwał się do biegu. Spętany koń spojrzał nań i parsknął. Conan schwycił wodze i złapał łęk siodła, nagle wstrzymał się z jedną nogą w strzemieniu.

Chwilę medytował, w końcu ścierając z twarzy zimne krople potu odwrócił się powoli i powlókł z powrotem do namiotu króla. Wszedł bezceremonialnie i bezzwłocznie zapytał:

— Panie czyżbyś zamierzał przerzucić przez rzekę most z łodzi?

— Taki jest mój zamiar — odparł Almuryk.

Conan głośno jęknął i opadł na ławę chwytając się za głowę.

— Jestem za młody, by umrzeć — lamentował. — A jednak muszę mówić, choć w nagrodę dostanę mieczem w brzuch. Tej nocy szpiegdy Zarkona schwytali mnie w zasadzkę jak głupca i zmusili do mówienia. Rzekłem im pierwsze kłamstwo jakie mi ślina na język przyniosła i ratuj mnie Święty Vaalu, powiedziałem niechcący prawdę! Rzekłem im, że zamierzasz zbudować most z łodzi!

Zapadła grobowa cisza. Gotryk Huron w paroksyzmie gniewu cisnął o ziemię swój kubek.

— Śmierć głupiemu barbarzyńcy — zaklął wstając.

— Nie! — i Almuryk nieoczekiwanie uśmiechnął się. Pogłaskał złocistą brodę. — Nasz nieprzyjaciół będzie się teraz spodziewał mostu. Nie jest tak źle! Słuchajcie!

W miarę jak mówił, na ustach baronów pojawiały się złowieszcze uśmiechy, a Conan wyszczerzył zęby i dumnie wypiął pierś tak jakby jego błąd, był zręcznie obmyślonym fortem. Nazajutrz czekała ich bitwa, wszystko mogło się zdarzyć.

* * *

Conan galopując przez pola niczym ślepiec, spotkał się twarzą w twarz z Karza asz Asmarem.

— Psie! — wycharczał ksiązę. — Nasz los jest przesądzony, lecz ty pierwszy znajdziesz się w piekle!

Wyciągnął miecz, ale Cymmeryjczyk wychylił się z siodła i uchwycił go za ramię.

Barbarzyńcy oczy zaszyły krwią, polizał swoje pobrudzone kurzem wargi. Jego hełm był wyszczerbiony, ostrze miecza sphywało krwią.

— Wasza samolubna nienawiść i moja głupota kosztowała dziś Almuryka przegraną bitwę

— zakrakał Conan. — Teraz walczy o życie, spłaćmy nasz dług najlepiej jak możemy.

Oczy Asmara przygasły, obrócił się i wpatrzył w morze ozdobionych piórami głów, kłębiących się wokół gromadki żelaznych hełmów.

Skinął głową.

Wjechali razem w walczących. Miecze zaświszczwały, krusząc z trzaskiem zbroje i kości.

Almuryk leżał przygnieciony zdychającym koniem. W wirze bitwy, jego rycerze ginęli dookoła w morzu siekających ostrzy.

Conan bardziej spadł niż zeskoczył z siodła, chwycił oszołomionego króla, próbując go uwolnić spod konia. Mięśnie barbarzyńcy pękały z wysiłku, a z jego warg wyrwał się jęk.

Jordan Robert - Conan. Droga demona

Jakiś Hyrkańczyk wychyliwszy się z siodła, wymierzył cios w odkrytą głowę Almuryka. Conan pochylił głowę i przyjął cios na swój hełm. Kolana ugięły się pod nim i gwiazdy rozbłyły przed oczyma. Karza asz Asmar uniósł się w strzemiączach, wywijając trzymanym oburącz mieczem. Ostrze przecięło pancerz, zazgrzytało o kości i Hyrkańczyk upadł przecięty wpół. Conan napiął mięśnie nóg i dźwignąwszy króla, przerzucił go przez siodło.

— Ratujcie króla! — sam nie rozpoznawał brzmienia swojego głosu. Gotryk Huron wynurzył się z ciżby, rozdając ciosy na lewo i prawo.

Chwylił wodze wierzchowca, z pół tuzina ślaniających, się ociekających krwią rycerzy, otoczyło szalejącego konia i jego brzemię. Doprowadzeni do ostateczności, wyrąbawali sobie drogę ku wolności. Hyrkańczycy kłębili się za nimi, napotykając walący jak cep miecz Karzy asz Asmara.

Fale dzikich jeźdźców i wzniesionych szabel rozbijały się o niego, siodła pustoszały, tryskała krew. Conan podniósł się ze zbryzganej krwią ziemi, otoczony wierzgającymi kopytami. Zaczął biec pomiędzy końmi, dźgając nożem w brzuchy i zady. Cios czyjegoś miecza zerwał mu z głowy hełm, a ostrze jego oręża utkwilo między żebrami jakiegoś Hyrkańczyka.

Koń Asmara parsknął straszliwie i upadł na ziemię. Srogi jeździec powstał tryskając krwią z każdej szczeliny pancerza. Wsparłszy szeroko rozstawione stopy w przesiąkniętą krwią glebę, dzierżył wielki miecz dotąd, aż stalowa fala przewaliła się nad nim, skrywając go powiewającymi pióropuszcami i stającymi dęba końmi.

Conan podbiegł do przybranego w czaple pióra wodza i gołymi rękami chwycił go za nogę. Uwiesił się zajadle, choć grad ciosów zabębnił po czepcu kolczugi, ognistymi wybuchami, eksplodując w zamroczonej głowie. Wyszarpnął Hyrkańczyka z siodła i zwałił się wraz z nim, starając się po omacku sięgnąć mu do gardła. Kopyta uderzały wokół, tratując go i turlając w pył. Wygramolił się z bólem strząsając pot i krew zalewające mu oczy.

Wokół niego zwaleni w ohydnych stosach leżeli martwi ludzie i martwe konie.

Jego przytępiony słuch pochwycił znajomy głos. Zobaczył Zarkona, który przypatrywał mu się z grzbietu siwego konia. Broda zjeżyła mu się w uśmiechu.

— Uratowałeś Almuryka — powiedział wskazując widoczną w oddali grupę jeźdźców, zbliżającą się do cofającej się armii. Pościg Hyrkańczyków nie napierał zanadto. Żelazne zastępy Turanu cofały się nie łamiąc szyku. Zwycięzcy najwyraźniej ukontentowani, pozwalali im oddalić się w spokoju.

— Conanie Cymmeryjczyku jesteś bohaterem — powiedział Zarkon.

Conan oparł się o martwego konia i skierował wzrok na Zarkona, czując, że śmierć za chwilę zaciśnie swe ręce na jego szyi. Wstrząsnął nim stłumiony dreszcz.

— Nie jestem ani bohaterem ani królewskim synem — rzekł — skończ już z tym i zabij mnie!

— Któż mówi o śmierci? — spytał Zarkon. — W tej bitwie zdobyłem cesarstwo i chciałbym wychylić puchar z tej okazji. Uśmiercić cię? Na Cromu, nie pozwoliłbym aby włos spadł z głowy tak dzielnemu wojownikowi i tak zacnemu kompanowi. Pojedziesz i będziesz pić ze mną dla uczczenia zwycięstwa, kiedy w triumfie wjadę do stolicy. Później odjedziesz, kiedy będziesz chciał. Nikt nie będzie cię zatrzymywał.

ROZDZIAŁ IV

Na dworze Zarkona, Conan nie przebywał zbyt długo i zgodnie z obietnicą emira, opuścił go bez żadnych przeszkód. Skierował się z powrotem do Turanu. Po drodze do Aghrapur zatrzymał się w zamku Lady Saghira, która była pogrążona w żałobie i smutku po śmierci brata. Gdy dotarł do Aghrapur został dowódcą jednego z oddziałów najemników. Lecz Conan nie przewidywał, że przeznaczenie wkrótce rzuci go ponownie na ziemię Hyrkanii.

BITWA NAD MORZEM VILAYET

Crom! On jest prawdziwym bogiem. Te wydarzenia ja, Tobrak Torr, spisałem, by ludzie dzięki tej kronice mogli poznać prawdę. Widziałem bowiem szaleństwa przekraczające ludzkie wyobrażenie, jeździłem Szlakiem Karawan, który jest drogą śmierci i widziałem zbrojnych padających jak ścięte zboże. I tutaj opiszę szczegółowo prawdę o szaleństwie i losie Muratha Khana, władcy twierdzy Balkhana, Niezdobytego Miasta, które upadło niczym letnia chmura na błękitnym niebie.

Zatem zaczynam. Siedziałem spokojnie w obozie Muratha Khana, sułtana Balkhany, rozmawiając z kilkoma wojownikami o meritum wersów pewnego Korama Amanara,

wytwórcy namiotów z Balkhany i zawziętego pijaka. Nagle uświadomiłem sobie, że ktoś do mnie podszedł i w jego oczach wyczułem płonąca wściekłość. Czułem się jak człowiek, na którym spoczywają oczy głodnego tygrysa. Podniosłem wzrok i w świetle płonącego ogniska dojrzałem brodatą twarz. W moich oczach zapaliła się stara nienawiść do Yussufa Merrita, Kuigara, który stał nade mną. Między nami od dawna panowała wojna. Nie przepadam za Kuigarami, ale tego psa nienawidziłem szczególnie. Nie wiedziałem, że jest w obozie Muratha Khana, gdyż sam przybyłem o zmroku, ale gdzie lew ucztuje tam zbierają się szakale.

Nie padło żadne słowo. Yussuf Merrit trzymał rękę na swej szabli i kiedy zobaczył, że został dostrzeżony, wyciągnął ją ze zgrzytem. Był jednak powolny jak wół. Podsunąłem stopy pod siebie i błyskawicznie stanąłem. Moja zakrzywiona szabla sama wskoczyła mi do ręki, skoczyłem i ciąłem. Ostrze przecięło jego szyję. Zgiął się tryskając krwią, a ja przeskoczyłem przez ognisko i pobiegłem szybko przez labirynt namiotów. Za sobą słyszałem wrzaski pogoni. Obóz patrolowali wartownicy i przed sobą zobaczyłem jednego na rosnym gniadoszu. Siedział i gapił się na mnie. Nie marnowałem czasu, tylko podbiegłem i za nogę ściągnąłem go z siodła. Gniadosz stanął dęba, gdy na niego wskoczyłem i pomknął jak strzała. Nisko pochylałem się w siodle w obawie przed strzałami. Przemknęliśmy obok uwiązanych koni i wartowników, którzy zaczęli nawoływać się niczym psy gończe. Za nami malał blask obozowych ognisk. Lecąc jak wiatr wpadliśmy na otwartą pustynię, a moje serce przepełniała radość. Na mym ostrzu była krew mojego wroga, pod sobą miałem wspaniałego rumaka, nade mną świeciły gwiazdy, a wiatr wiał mi w twarz. Wolny Hyrkańczyk nie potrzebował prosić o nic więcej.

Gniadosz był lepszy od konia, którego zostawiłem w obozie i siodło było piękne, bogato zdobione i wykonane z pięknej skóry. Po pewnym czasie, gdy nie słyszałem już odgłosów pogoni puściłem luzem cugle. Powstrzymałem konia do stepu, gdyż kto jeździ po pustyni na zmęczonym koniu gra w kości ze śmiercią. Daleko za sobą widziałem obozowe ognie i zastanawiałem się, dlaczego stu wojowników nie podąża moim tropem. Ale wszystko tak szybko się rozegrało i tak szybko uciekłem, że mściciele zgłupieli i chociaż podążali za mną rozgrzewani nienawiścią, w ciemnościach zgubili mój ślad. Później się o tym dowiedziałem. Jechałem na zachód i ślepym trafem znalazłem się na starym szlaku karawan, który kiedyś prowadził z Shangary do Secunderam i Balkhany. Nawet wtedy był niemal nieuczyszczony za sprawą zbrojów — „Jastrzębi Pustyni”. Przyszło mi na myśl, że mogę służyć swoim mieczem kalifowi. Jechałem bez pośpiechu przez pustynię, która w tym miejscu była bardzo niegościnną krainą. Piaszczysta równina przechodziła w nierówny obszar pełen wąwozów i niskich wzgórz, a później znowu stawała się płaska. Chłodził mnie wietrzyk znad równiny i nawet, gdy nasłuchiwałem bębnienia kopyt pogoni, marzyłem o dniach wczesnego dzieciństwa, gdy jeździłem pilnując pasące się nocą kucyki, na wspaniałych równinach daleko na wschodzie, aż za górami Talkama. I wreszcie po kilku godzinach usłyszałem ludzi i konie, ale dźwięki te dochodziły z przodu. Daleko przed sobą w przyćmionym świetle gwiazd rozpoznałem szereg jeźdźców i kołyszący się kształt wozu, jakiego Kosalczyki używają do transportowania swoich bogactw i haremów. Pomyślałem, że jakaś karawana podążała do obozu Muratha, a może nawet do Balkhany. Nie chciałem, by mnie ujrzeli, gdyż później mogliby spotkać mścicieli podążających moim tropem. Tak więc wjechałem w labirynt wąwozów i siedząc na rumaku ukryłem się za wielkim głazem. Obserwowałem karawanę. Gdy zbliżyła się do mojej kryjówki, wyteżyłem wzrok i w słabym świetle dojrzałem ciężkozbrojnych Kosalczyków. Ten, który zdawał się być ich przywódcą siedział na koniu w sposób mi znany i wiedziałem, że już wcześniej go spotkałem. Doszedłem do wniosku, że wóz musp—wież jakąś księżniczkę i zastanawiała mnie mała liczba straży. Ciężkozbrojnych nie było więcej niż trzydziestu. Wystarczająco wielu, by odeprzeć atak pustynnych jeźdźców, ale oczywiście zbyt mało do walki z Hyrkańczykami, gdyby ci chcieli zaatakować bardzo zmęczonych podróżników. Zaintrygowało mnie to, ponieważ mężczyźni, konie i wóz wyglądali jakby mieli za sobą długą podróż, jakby przybyli spoza granic kalifatu. A za kalifatem leżały pustkowia należące do turańskich rozbójników. Teraz wóz był naprzeciwko mnie i jedno z kół zaskrzypiało na nierównym terenie, wóz przechylił się, bowiem koło wpadło do dołu. Muły, które go ciągnęły, tak jak to mają w zwyczaju, od razu gwałtownie ruszyły, a później przestały ciągnąć. Znajomy mi jeździec podjechał z pochodnią i zaklął. W świetle pochodni rozpoznałem go. To był Abdell Shira, hyrkański dostojnik, wielce ceniony przez Muratha Khana — wysoki, szczupły, ponury mężczyzna. Był bardziej Kuigarem niż Hyrkańczykiem.

W wozie odchyliła się częściowo skórzana zasłona i wyrzała dziewczyna. W blasku pochodni ujrzałem jej młodą twarz. Ale Abdell Shira zagniewany wepchnął ją do środka i

zaciągnął zasłonę. Krzyknął na swoich ludzi i tuzin z nich zeskoczyło z koni. Oparli się barkami o koło. Klnąc i stękając wypchnęli koło z dziury, i wkrótce wóz znowu się potoczył. I on i jeźdźcy maleli, i rozmywali się aż wszystkich pochłonął mrok pustyni.

Znowu podjąłem wędrówkę, ale zastanawiałem się, w świetle pochodni ujrzałem niezawołowaną twarz dziewczyny. Była pięknej urody i była Turanką. Co mogli oznaczać Kosalczycy na drodze do Balkhany dowodzeni przez hyrkańskiego dostojnika i eskortujący turańską dziewczynę? Doszedłem do wniosku, że Kosalczycy porwali ją podczas rajdu na Ghori lub Królestwo Khawarizm, a teraz wieźli ją do Balkhany lub Pah-Dishah, aby ją sprzedać jakiemuś emirowi. Takie rozwiązanie przyszło mi na myśl. Mój gniaDOSZ był świeży, a od armii hyrkańskiej dzieliła mnie długa droga, więc całą noc jechałem wolno, ale bez przerw. Gdy nastał brzask natknąłem się na jeźdźca jadącego z zachodu. Jego rumak był długonogim dereszem ślaniającym się ze zmęczenia. Jeździec był odziany w skóry i stal. Od stóp do głowy miał na sobie oczkowaną kolczugę i skórzany kaftan. Spiąłem ostrogami konia, by zmusić go do galopu, w końcu przede mną był Turańczyk, lub Jastrząb Pustyni, jeden i na zmęczonym koniu.

Zobaczył mnie, gdy nadjeżdżałem, rzucił swoją długą lancę na piasek i wyciągnął miecz. Wiedział, że jego rumak jest zbyt zmęczony na szarżę. Rzuciłem się jak jastrząb atakujący swoją zdobycz. Nagle krzyknąłem i opuściłem moje ostrze. Osadziłem swojego rumaka tuż obok niego.

— Na Croma — rzekłem — jakie szczęśliwe spotkanie, Conanie! Popatrzył na mnie zaskoczony. Nie był ode mnie starszy, miał szerokie ramiona, długie kończyny i czarne włosy. Teraz jego twarz była wynędzniała i zmęczona, jakby miał za sobą ostrą jazdę bez chwili snu, ale była to twarz wojownika i jego ciało też było ciałem wojownika.

— Znasz mnie — powiedział — ale ja ciebie nie pamiętam.

— Ha! — krzyknąłem — my Hyrkańczycy dla was, ludzi Zachodu wszyscy wyglądamy tak samo! Ale na Croma, ja cię pamiętam! Conanie, czy nie pamiętasz wzięcia Khawarizm i hyrkańskiego chłopca, którego ochroniłeś przed własnymi wojownikami? Aj, ja pamiętam. Byłem młodzieńcem świeżo przybyłym na pole bitwy. Prześlizgnąłem się przez oblegające armie do miasta, które padło o brzasku. Nie byłem przyzwyczajony do walk ulicznych. Hałas, krzyki i łoskot rozwalanych bram oszołomiły mnie, kurz i okropny smród obcego miasta dusiły mnie, i doprowadzały do szaleństwa. Turańczycy przedostali się przez mury i krwawy czyściec wtargnęli na ulice Khawarizm. Odziani w stal jeźdźcy przejeżdżali przez potrzaskane bramy, a ich konie aż po pęciny brodziły we krwi. Turańczycy krzyczeli „Zwycięstwo” i zabijali jak oszalałe od krwi tygrysy. W ślepych, krwawym wirze, chaosie zniszczenia, delirium, zorientowałem się, że bezskutecznie walczę przeciwko gigantom, którzy zdawali się być z litego żelaza. Gdy ciąłem na ślepo w kurz i dymie, poślizgnąłem się na brudzie spływającego krwią rynsztoku. Wtedy jeźdźcy mnie powalili i trochę poturbowali. Wstałem zakrwawiony i oszołomiony, chwiałem się na nogach. Zobaczyłem wielkiego, ryczącego potwora ludzkiego, stojącego na rozstawionych nogach i czyniącego rzeź za pomocą żelaznej maczugi. Nigdy nie walczyłem z Turańczykami i nie znałem siły ich okropnego uderzenia. Uzbrojony w młodzieńczą dumę i niedoświadczenie spróbowałem zmierzyć się z gigantem. Przecinająca ze świstem powietrze maczuga rozwalila na kawałki mój miecz, strzaskała obojczyk i rzuciła mnie półmartwego na przesiąknięty krwią kurz. Wtedy olbrzym stanął nade mną w rozroku i uniósł maczugę, by roztrzaskać mi czaszkę, a mnie gorycz śmierci chwyciła za gardło. Ponieważ byłem młody, w jednej chwili znowu ujrzałem soczystą, wyżynną trawę, błękit czystego nieba, a także namioty mego plemienia rozbite na równinie. Aj, dla młodego życie jest słodkie.

Gdy zawirował dym zewsząd nadciągający, dojrzałem czarnowłosego młodzieńca w moim wieku tyle, że ode mnie wyższego. Jego miecz był czerwony po rękojeść, a oczy błyszcząły straszliwie. Krzyknął coś do olbrzymiego wojownika i chociaż nie rozumiałem ani słowa, podświadomie zdałem sobie sprawę, że młodzieniec prosi, by darować mi życie, bowiem jego dusza jest już chora od tej rzezi. Ale olbrzymowi piana wystąpiła na usta, ryknął jak bestia, ponownie wznosząc maczugę. Młodzieniec skoczył jak pantera i wbił swój długi, prosty miecz w jego gardło. Olbrzym upadł w kurz obok mnie i skonał. Wtedy mój wybawca klęknął obok mnie i zaczął tamować krew lejącą z moich ran, jednocześnie przemawiając do mnie utykającym hyrkańskim. Ale ja wymamrotałem: — Dla Czungaja to nie jest miejsce do umierania. Wsadź mnie na konia i pozwól odjechać. Te mury zasłaniają mi słońce, a kurz ulic mnie dławi. Pozwól bym umarł na słońcu, a wiatr niech owiewa mi twarz.

Byliśmy w pobliżu zewnętrznego muru, a wszystkie bramy leżały strzaskane. Złapał konia, który bez jeźdźca błąkał się po ulicach i posadził mnie na jego grzbiecie. Puściłem cugle tak, że zawisły wzdłuż końskiej szyi i rumak wypadł z miasta jak strzała wypuszczona z łuku On

też zatęsknił za otwartymi przestrzeniami. Jechałem tak jakbym spał, kurczowo trzymałem się siodła i wiedziałem tylko, że mury miasta, kurz i krew już mnie nie duszą. Po tym wszystkim chciałem umrzeć na pustyni, która dla Czungaja jest dobrym miejscem na śmierć. I tak jechałem, aż straciłem przytomność.

Teraz, gdy patrzyłem w błękitne oczy Conana, wszystkie te wspomnienia powróciły i moje serce się radowało.

— Co! — powiedział — czy to ciebie posadziłem na konia, a następnie patrzyłem jak wyjeżdżasz przez bramę, by umrzeć na pustyni?

— Tak ja, Tobrak Torr. Nie umarłem. Nas Czungajów trudniej zabić niż koty. Dobry rumak pędził na chybił trafił i przywiózł mnie do hyrkańskiego obozu. Tam opatrzyli moje rany i miesiącami troszczyli się o mnie, gdy leżałem bezsilny. Byłem bardziej niż w połowie martwy, gdy sadzałeś mnie na wierzchowca. Krzyki i krwawe sceny rzezi w „mieście odplynęły ode mnie jak ponura, nocna mara, ale zapamiętałem twoją twarz i lwa na twojej tarczy. Kiedy znowu mogłem dosiąść konia pytałem ludzi o turańskiego młodzieńca, którego tarczę zdobił wizerunek lwa. Powiedzieli mi, że był to Conan pochodzący z tej części świata, którą nazywają Cymmerią. Świeżo przybył na wschód i był najemnikiem. Wiele lat minęło od tego krwawego dnia, Conanie. Od tamtej pory rozglądałem się za twoją tarczą lśniąca jak gwiazda we mgle. Wypatrywałem jej podczas bitew, oblężeń miast, ale aż do teraz nigdy nie stanęliśmy twarzą w twarz. Moje serce się raduje, gdyż mogę spłacić dług, który zaciągnąłem wobec ciebie.

Twarz Conana zachmurzyła się.

— Pamiętam wszystko. Masz rację, byłem młody. I byłem chory, chory, po trzykroć chory od tego rozlewu krwi. Turańczycy, gdy znaleźli się w mieście oszaleli. Kiedy zobaczyłem, że chłopiec w moim wieku ma zostać z zimną krwią zabity przez brutala i wandalę, świnię, która bezczęściła świątynię, coś w moim mózgu trzasnęło.

— I zabiłeś jednego z własnej rasy, by ocalić Hyrkańczyka. Od tamtego dnia moje ostrze opilo się turańskiej krwi, mój bracie, ale przyjaciela pamiętam równie dobrze jak wroga. Dokąd jedziesz? Szukać zemsty? Pojadę z tobą.

— Jadę przeciwko twoim pobratymcom, Tobrak Torr.

— Moim pobratymcom? Czy Hyrkańczycy to moi pobratymcy? Nie jestem również Kuigarem. Krew Yussufa Merrita, Kuigara ledwo obeschła na mej szabli.

— Tak. Pamiętam, że jesteś Czungajem.

— Właśnie. Pozwól, niech krew mojej rasy cię wspomůže. Czy jestem psem i powinienem wyszczebrać swoją wdzięczność? Nie bracie, jadę z tobą!

— Więc zawróć rumaka ze szlaku, którym podążasz, i jedźmy. — powiedział Cymmeryjczyk, jakby go zżerała dzika niecierpliwość. — Opowiem ci całą historię, a jest to historia haniebna, którą wstyd opowiadać, gdyż hańbą się okrył człowiek noszący książęce nazwisko. Wiedz zatem, że w Ghori mieszka Vilem Hydroc, seneszał króla Khawarizm, nowy dowódca tego najdalej wysuniętego na wschód miasta będącego pod kontrolą Turanu. Przybyła do niego z Aghrapur — z oddziałem najemników, w którym i ja się znajdowałem — krewniaczka, Ottairi. Teraz uważnie słuchaj, Tobrak Torr, opowieści o ohydnej ludzkiej hańbie!

— Dziewczyna zniknęła i jej wuj nie może odpowiedzieć, gdzie się podziała.

Zdesperowany próbowałem wejść do jego zamku, który leży na spornym terenie, tuż za południowo-wschodnią granicą Ghori, ale zostałem zatrzymany przez zbrojnego w pobliżu posiadłości Vilema Hydroca. Zadałem temu człowiekowi śmiertelną ranę, a on umierając strasznie przeklinał i wyjawiał całą podłą intrygę. Vilem Hydroc spiskuje, by wyrwać Ghori swemu panu i w końcu przyjął sekretnego wysłannika Muratha Khana, sułtana Balkhany. Hyrkańczycy obiecali przybyć z pomocą rebelii, gdy nadejdzie czas. Ghori stanie się częścią imperium hyrkańskiego, a Hydroc będzie władał twierdzą jako satrapa. Niewątpliwie każda strona planuje podstęp. Murath zażądał od Hydroca gestu dobrej woli. I Hydroc, ta ohydna bestia, w dowód dobrej woli, wysłał swoją krewniaczkę do sułtana!

Żelazna dłoń Conana szarpała końską grzywę, a jego oczy błyszczały jak u spłoszonego tygrysa.

— Taka była opowieść umierającego żołnierza — kontynuował.

— Ottairi już została wysłana pod eskortą Kosalczyków, z którymi spiskuje Hydroc. Od kiedy to usłyszałem jadę bez przerwy. Na wszystkich świętych, nie uwierzyłyś jak szybko pokonałem wiele mil. Dni i noce zlewały się w jedno, ledwo pamiętam, kiedy jadłem ja i koń, lub kiedy przespałem się chwilę, w jaki sposób uniknąłem walki w drodze przez wrogi kraj. Tego rumaka zabrałem błąkającemu się rozbójnikowi, kiedy mój własny koń padł z wyczerpania. Na pewno Ottairi i jej eskorta nie są daleko przede mną.

Opowiedziałem mu o karawanie, którą widziałem w nocy, a on krzyknął z wielkim zapamię. Chwyciłem cugle jego wierzchowca.

— Zaczekaj, bracie — powiedziałem — twój rumak jest wycieńczony. Poza tym teraz dziewczyna jest już z Murathem Khanem.

Conan jęknął.

— Ale jak to może być? Na pewno nie dotarli jeszcze do Balkhany.

— Dotrą do Muratha nim dotrą do Balkhany — odpowiedziałem. — Sułtan wyjechał ze swoimi jastrzębiami i rozbił obóz przy drodze do miasta. Poprzedniej nocy byłem w tym obozie.

Wzrok Cymmeryjczyka stał się zawzięty. — A więc tym bardziej należy się spieszyć. Póki żyją Ottairi nie dostanie się w szpony tych sępów.

— Zaczekaj! — powtórzyłem. — Murath Khan jej nie zrani. Może ją trzymać przy sobie w obozie lub odesłać do Balkhany. Ale do tego czasu będzie bezpieczna. Murath ma na głowie poważniejsze sprawy niż miłość. Pomyślałeś dlaczego wraz ze swoimi mordercami rozbił obóz?

Conan potrząsnął głową. — Przypuszczam, że pustynne plemiona ruszyły przeciwko niemu.

— Nie, od kiedy Murath oderwał Balkhanę od imperium, szach nie odważył się go zaatakować, gdyż ten pobił Meruwiańczyków i uzyskał protekcję kalifatu. I z tego powodu wiele szumowin garnie się do niego. On ma dwie ambicje. Widzi siebie jako tego, który zjednoczy wszystkie plemiona hyrkańskie, w tej chwili znowu skłócone. I to jest początek. Może ożywić potęgę Hyrkanii, a sam stanie na jej czele.

— Ale teraz czeka na przybycie Edera Hussbeina, który przybył do Hyrkanii z kilkoma setkami pustynnych jastrzębi, i który teraz przedsięwziął daleki rajd w granice sułtanatu. Eder jest cierniem w ciele Muratha, ale teraz jest w pułapce. Kalif wyjął go spod prawa, jeśli teraz Eder uda się na zachód, to wojownicy kalifa potną go na kawałki. Pojedynczy jeździec, jak ty, może się przedostać, ale nie kilkuset ludzi. Eder musi wrócić na północ, a po drodze jest Murath z tysiącem jeźdźców. Kuigarzy pładrują i palą wioski na pustyni, a Hyrkańczycy przetrną im drogę szybkim marszem, zanim tamci zdążą powrócić na północ.

— Teraz pozwól, że zaryzykuję i ci doradzę, mój bracie. Twój koń dał z siebie wszystko, nie pomoże nam dotrzeć do obozu Muratha. Ale mniej niż milę stąd leży wioska, w której będziemy mogli zjeść, a konie odpoczną. Gdy twój koń znowu będzie się nadawał do drogi, pojedziemy do obozu Hyrkańczyków i wykradniemy dziewczynę Murathowi sprzed nosa. Conan dojrzał mądrość w moich słowach, chociaż denerwowało go opóźnienie, ale tacy już są Cymmeryjczycy, mogą znieść każdy trud oprócz czekania. Nauczyli się wszystkiego tylko nie cierpliwości.

Pojechaliśmy do wioski — brudnej, nędznej garstki chat. Jej mieszkańcy byli gnębieni przez tyłu różnych najeźdźców, że w końcu nie wiedzieli, kto nimi włada. Widząc żołnierza turańskiego i Czungaję jadących razem, od razu sądzili, że dwa narody najeźdźców umyśliły ich obrabować. Taka jest już ludzka natura, że wydaje się jej dziwny widok wilka i żbika knujących pospołu splądrowanie króliczej nory. Kiedy się zorientowali, że nie mamy zamiaru poderznąć im gardła, niemal nie skonali z wdzięczności, i od razu przynieśli to, co mieli najlepszego do jedzenia, a także zaopiekowali się końmi, że lepiej sami byśmy tego nie zrobili. Po posiłku rozmawialiśmy. Wiele słyszałem o Conanie Cymmeryjczyku, gdyż jego imię jest znane każdemu od Turanu do Zingary, od Hyrkanii po Khitai, a imienia Tobrak Torr wiatr swym podmuchem nie doniósł do wielu ludzkich uszu. Znał moją reputację, chociaż nigdy nie łączył imienia z młodzieńcem, którego ocalił przed własnymi ludźmi podczas plądrowania Khawarizm.

Nie było nam trudno się porozumieć, gdyż po hyrkańsku mówił już jak Hyrkańczyk, a ja długo uczyłem się mowy Cymmeryjczyków, szczególnie tych, którzy mieszkają w górach. Są to najwięksi i najsilniejsi Cymmeryjczycy, najchytrzejsi, najdzikszy i najbardziej okrutni spośród swego ludu. Taki był też i Conan, chociaż pod wieloma względami różnił się od innych. Kiedy mu o tym powiedziałem, odrzekł, że to przez to, iż w połowie ma domieszkę krwi innej rasy. Ci ludzie, powiedział, rządzą kiedyś wyspą Atlantydy leżącą na zachód od obecnego Pustkowie Piktów. Ale wiele tysięcy lat temu, światem wstrząsnął kataklizm. Atlantyda pogrążyła się w falach. Opowiadał mi — aż ze zmęczenia zasnął podczas opowiadania — o wielkiej bitwie, którą Turańczycy zwali Sentalc, w której emir Yildiz pokonał króla Horgolda. Głęboko żałowałem, iż tam nie byłem i nie dane mi było zobaczyć jak Turańczycy wzajemnie sobie podrzynają gardła.

Kiedy słońce zniżyło się do zachodniego horyzontu, Conan obudził się wściekły na siebie za gnuśność; wsiedliśmy na konie i pocwałowaliśmy z powrotem drogą, którą przybyłem i, na

której ślady wozu były wciąż widoczne. Byliśmy ostrożni, ponieważ moim zdaniem, Murath Khan mógł wysłać jeźdźców, by zobaczyli, czy Eder Hussbein nie prześlizgnął się obok niego. W istocie, gdy zaczął zapadać zmierzch, zobaczyliśmy w ostatnich światłach dnia, błysk ostrzy włócznie i stalowych hełmów, zarówno na północy jak i na zachodzie. My jednak byliśmy ostrożni i umknęliśmy niepostrzeżenie. Około północy dotarliśmy do miejsca, gdzie był rozbity hyrkański obóz, ale nie było tam nic, a szlak prowadził na południowy-wschód.

— Zwiadowcy przekazali za pomocą sygnałów dymnych wiadomość, że Eder Hussbein jedzie szybko przez pustynię — powiedziałem.

— A Murath pomaszerował, by mu przeciąć drogę. Trzyma się w pobliżu swoich wrogów.

— Dlaczego Hyrkańczycy jadą w sile tylko tysiąca żołnierzy? — spytał Conan. — Dwóch na jednego to niewielka przewaga w przypadku Kuigarów.

— Ażeby złapać Kuigarów w pułapkę konieczna jest szybkość. Sułtan może przesuwać swoich tysięcy jeźdźców łatwo i szybko tak, jak szachista swoje figury. Wysłał jeźdźców, by nękali Edera i skierowali go na szlak, przy którym znajduje się Murath ze swym zaprawionym w bojach tysiącem jeźdźców. Przez cały wieczór oglądaliśmy z daleka sygnały dymne unoszące się ku niebu jak węże. Dokądkolwiek jadą Kuigarowie wysyłane są sygnały dymne, i dym ten jest widoczny z daleka przez innych zwiadowców, którzy wysyłają podobne sygnały widoczne przez zwiadowców Muratha.

Conan szukał wzdłuż szlaku śladów, korzystając z krzemienia, stali i hubki. Wreszcie stwierdził:

— Tu się znajdują ślady wozu Ottairi. Zobacz, lewe tylne koło złamało się i naprawiono je za pomocą rzemienia, ślad na szlaku wyraźnie to pokazuje. Gwiazdy dają wystarczająco dużo światła, by zobaczyć, czy wóz odłączy się od reszty. Murath może zatrzymać dziewczynę przy sobie lub odesłać ją do swojego haremu w Balkhanie.

Tak więc ruszyliśmy szybciej, uważnie przyglądając się śladom, ale żaden wóz nie skręcił ze szlaku. Od czasu do czasu Cymmeryjczyk zsiadał z konia i szukał z hubką, aż znajdował ślad związanego rzemieniem koła. Posuwaliśmy się naprzód i tuż przed świtem dotarliśmy do obozu Muratha Khana. Rozbito go na rozległym, pustynnym terenie rozciągającym się u stóp postrzępionych wzgórz, poprzecinanych wąwozami. Tysiąc ludzi to nie było jaka gromada i wiele rozrzuconych w półkole ognisk płonęło na równinie. Wojownicy w większości nie spali i mogliśmy słyszeć śpiewy, krzyki, a także ostrzenie szabli i brzęk zwolnionych cięciw. W ciemnościach, które kryły nas przed ich oczami, rozróżnialiśmy cielska rumaków stojących w gotowości. Po obozie wielu wojowników chodziło tam i z powrotem, bez widocznego powodu.

— Mają Edera Hussbeina w pułapce — mruknąłem. — Całe to widowisko ma ogłupić zwiadowców. Człowiek obserwujący obóz z tamtych wzgórz mógłby przysiąc, że obozuje tu dziesięć tysięcy wojowników. Boją się, że mógłby spróbować przedrzeć się nocą.

— Ale gdzie są Kuigarowie?

Potrząsnąłem niepewnie głową. Wzgórza zdawały się być ciemne i milczące. Żaden, nawet pojedynczy błysk nie zdradził czyjejkolwiek obecności w górach. Nikt nie mógł wyjechać z nich niezauważony.

— Może zwiadowcy przekazali wiadomość, iż Eder nocą jedzie tutaj — powiedział

Conan. — A oni czekają, by mu przeciąć drogę. Ale spójrz, tamten namiot, jedyny rozbity w obozowisku, czy to nie Muratha? Nie rozbili namiotów dla emirów, ponieważ obawiają się nocnego ataku. Wojownicy trzymają straż lub śpią między wozami. I patrz na to mniejsze ognisko, tam daleko od wzgórz, jakoś z boku od reszty. Obok niego stoi wóz. Czyżby sułtan trzymał Ottairi jak najdalej od strony, z której mogą nadejść wrogowie? Przyjrzyj się temu wozowi.

Pierwszy krok w szaleństwo został zrobiony. Od zachodniej strony równina była przecięta wieloma głębokimi wąwozami. W jednym z nich zostawiliśmy konie i w głębokich ciemnościach skradaliśmy się dalej pieszo. Wolą Croma było, że nie stratowali nas jeźdźcy ciągle patrolujący równinę. Obecnie to zagrożenie minęło. Leżeliśmy na brzuchach sto kroków od wozu, który jak się teraz zorientowałem, był istotnie tym, który minął mnie nocą. — Zostań tu — szepnąłem. — Mam plan. Ja pójdę do obozu, gdyż ciebie rozpoznają od razu. Czekaj na mnie, a jeśli usłyszysz nagły wrzask lub zobaczysz, że mnie zaatakowano, wycofaj się w góry, gdyż nic dobrego nie uczynisz pozostając w pobliżu obozu.

Przeklął mnie pod nosem, jak to Cymmeryjczycy mają w zwyczaju, kiedy zasugerowałem mu takie postępowanie, ale kiedy pospiesznie wyszeptalem mój plan, niechętnie zgodził się bym spróbował. Odpełznąłem kilka jardów, a następnie poszedłem śmiało w stronę wozu. Na straży stał jeden wojownik, trzymał tarczę i obnażoną szablę. Miałem nadzieję, że to jeden z Kosalczyków, którzy przywieźli dziewczynę, bo wtedy

nie mógłby mnie znać, w przeciwnym razie mógłbym postradać życie. Kiedy się zbliżyłem zobaczyłem, że chociaż istotnie był to Kosalczyk, był to jednak najemnik, pochodził ze straży przybocznej sułtana. Już mnie dojrzał, więc śmiało szedłem w jego stronę usiłując twarz trzymać odwróconą od ognia.

— Sułtan polecił bym przyprowadził dziewczynę do jego namiotu — powiedziałem ochryple i strażnik spojrział na mnie niepewnie.

— Co ty opowiadasz? — warknął. — Kiedy karawana przybyła do obozu, sułtan tylko przyjrzał się jej trochę, gdyż wiele czasu był na nogach i nadeszła wieść o ruchach kuigarskich psów. Wcześniej w nocy była z min, ale oddalił ją mówiąc, że jej pocałunki będą słodsze po bitewnej furii. Zdaje się, że srodze go poraziła ta zuchwała dziewczyna. Ale czy to możliwe, żeby przerwał spanie, aby ją teraz schrupać?

— Czy masz zamiar dyskutować o rozkazie sułtana? — spytałem zniecierpliwiony. — Będziesz tu tkwił jak kołek, czy mam ci współczuć, jak będziesz obdzierany ze skóry? Słuchaj i bądź posłusznym!

Ale jego podejrzania wzrosły. Właśnie kiedy myślałem, że obudzi dziewczynę, błyskawicznie chwycił mnie za ramię i obrócił tak, że blask ogniska oświetlił moją twarz.

— Ha! — szczeknął jak szakal. — Tobrak Torr...!

Jego szabla błysnęła nad moją głową. Lewą ręką chwyciłem uniesione ramię, a prawą — jego gardło zduszając krzyk. Padliśmy na ziemię i walczyliśmy szarpiąc się jak para wieśniaków. Oczy mi wyszły z orbit z bólu, gdy wbił mi kolano w pachwinę. Nagły ból spowodował, że na chwilę zwolniłem uścisk i wtedy wyrwał rękę, w której trzymał szablę. Ostrze błysnęło przy moim gardle. Ale w tej chwili rozległ się dźwięk jakby topór zagłębił się w pień. Ciało strażnika szarpnęło się konwulsyjnie, krew i mózg polały mi się na twarz, a szabla spadła na moją okrytą kolczugą pierś, nie czyniąc mi szkody. Gdy walczyliśmy podszedł do nas Conan i dojrzał, że jestem w opałach. Rozłupał czaszkę wojownika jednym uderzeniem swego długiego, prostego miecza.

Podniosłem się, wyciągając szablę rozejrzałem się dookoła. Zdaje się, że nikt nie słyszał ani nie widział zaciętej walki toczonyj w cieniu wozu.

— Szybko, dziewczyna, Conanie! — syknąłem i podbiegliśmy do wozu, odsunął zasłonę i cicho zawołał: — Ottairi!

Wcześniejsza szamotanina obudziła ją i teraz usłyszałem krzyk wyrażający radość i miłość. Dwoje białych ramion objęło szyję Conana. Ponad jego ramieniem dojrzałem twarz dziewczyny, którą minąłem na drodze do Balkhany.

Szeptali pospiesznie jedno do drugiego, a następnie wyjął ją z wozu i postawił na ziemi. W świetle ogniska ujrzałem, że była niemal dzieckiem: szczupła i wątła, z głębokimi oczami, błękitnymi jak u Conana. Były one jednak łagodne, a nie zimne i nieugięte. Wystarczająco urodziwa, przemknęło mi przez myśl. Kiedy w świetle ogniska dojrzała moją śniadą twarz i obnażoną szablę, krzyknęła przejmująco i cofnęła się do Conana, ale on ją uspokoił.

— Nie obawiaj się, dziecko — powiedział. — To nasz dobry przyjaciel, Tobrak Torr, Czungaj. Uciekajmy szybko, w każdej chwili wartownicy mogą przejechać koło ogniska. Jej pantofle były miękkie i mało użyteczne do chodzenia po pustyni. Cymmeryjczyk niósł ją jak dziecko w swych potężnych ramionach, aż dotarliśmy do wąwozu, w którym stały nasze konie. Wołał bogów było, byśmy bez przeszkód tam dotarli, ale kiedy wyjeżdżaliśmy z wąwozu — Ottairi siedziała na rumaku przed Conanem — usłyszeliśmy potężny tętent kopyt. — Jedźmy w góry — mruknął Cymmeryjczyk. — Duża grupa jeźdźców depcze nam po piętach. Jeżeli zawrócimy wpadniemy na nich. Może dotrzemy do wzgórz przed świtem, później wrócimy na drogę, którą chcemy się udać.

Pokłusowaliśmy po równinie. Mimo nadchodzącego świtu, wciąż było ciemno dzięki gęstej, zimnej mgłę. Słychać było tętent kopyt i szczęk broni. Nie sądziłem, żeby naszym tropem jechały posiłki dla Muratha, był to raczej zwiad, gdyż nie skręcili w stronę ognisk, tylko jechali prosto przez równinę w kierunku wzgórz. Pędzili nas przed sobą nawet o tym nie wiedząc. Pewnie, pomyślałem, Murath wie, że wrogie oczy go śledzą. To przemieszczanie się jeźdźców w tę i z powrotem miało sprawić wrażenie, że jest ich więcej niż w rzeczywistości. Tętent kopyt za nami ucichł, jakby zwiadowcy skręcili lub pojechali z powrotem do obozu. Równinę ożywiały małe grupy jeźdźców przejeżdżające w ciemnościach jak duchy. Z każdej strony dobiegało do nas stapanie koni i szczęk broni. Byliśmy spięci. Już pierwsze oznaki świtu pojawiły się na niebie, chociaż ciężka mgła spowijała wszystko dookoła. Jak dotąd w ciemnościach jeźdźcy brali nas za swoich towarzyszy, ale już wkrótce mogło nas zdradzić poranne słońce.

Jedna z grup jeźdźców podjechała blisko i zatrzymała nas; szybko odpowiedziałem im i odjechali dalej usatysfakcjonowani. W armii Muratha było wielu Czungajów, ale gdyby

podjechali bliżej, rozpoznaliby Conana po jego wzroście i obcych szatach. Ciemności i mgła zmieniały wszystkie obiekty w niewyraźną masę. Na szczęście gwiazdy świeciły słabo, a słońce jeszcze nie wzeszło. Z tyłu dobiegały nas hałasy. Nagle mgła stopniała w świetle, które wytrysnęło zza wzgórz białą falą. Gwiazdy zniknęły, a niewyraźne cienie wokół nas przybrały kształty wąwozów i kamieni. Nastąpił pełny brzask, ale my byliśmy już wśród wąwozów, a nie na równinie, a wąwozy wciąż spowijała mgła mimo, że gdzie indziej zniknęła.

Conan uniósł bladą twarz dziewczyny i pogłaskał ją delikatnie.

— Ottairi, jesteście okrażeni przez wrogów, ale moje serce i tak się raduje.

— I moje, mój panie — odpowiedziała, tuląc się do niego. — Wiedziałam, że przybędziesz! Och, Conanie, czy ten władca mówił prawdę twierdząc, że mój własny wuj oddał mnie w niewolę?

— Obawiam się, że tak, Ottairi — powiedział łagodnie. — Jego serce jest czarniejsze niż noc.

— Co ci powiedział Murath? — przerwałem mu.

— Kiedy pierwszy raz zabrano mnie do niego, jak już dotarłam do obozu, panowało zamieszanie i żołnierze w pośpiechu zwijali obóz i przygotowywali się do wymarszu. Sułtan popatrzył łagodnie i przemówił, nie wzbudzając we mnie strachu. Gdy błagałam go, by odesłał mnie do mojego wuja, powiedział, że jestem podarkiem od niego. Później wydał rozkazy, by się mną zaopiekowano, a sam odjechał z generałami. Wróciłam do wozu i pozostałam w nim śpiąc trochę, aż poprzedniego wieczoru znowu zabrano mnie do niego. Rozmawiał ze mną pewien czas i nie znieważał mnie, chociaż jego mowa mnie wystraszyła. Jego oczy spoglądały na mnie dziko, przysięgł, że uczyni mnie królową, a na moją cześć wybuduje piramidę z czaszek i rzuci do mych stóp turbany szachów i kalifów. Ale odesłał mnie z powrotem mówiąc, iż kiedy przyjdzie do mnie następnym razem przyniesie w prezencie ślubnym głowę Edera Hussbeina. To szaleństwo. Mówią, że piktyjski wieśniak jest bardziej cywilizowany niż hyrkański władca.

— Nie podoba mi się to — powiedziałem. — Jeśli zapałał do ciebie miłością, może poruszyć nawet piekło, byleby cię dostać.

— Nie — odezwał się Conan. — Ja...

W tym momencie, zza skał wyskoczyło mnóstwo wrzeszczących postaci i chwyciło cugle naszych koni. Ottairi krzyknęła, a ja wyciągnąłem szablę, gdyż jeszcze się nie zdarzyło, by kuigarski pies chwycił cugle mego konia. Conan jednak złapał mnie za ramię. Jego miecz tkwił w pochwie i nie uczynił żadnego ruchu, by go wyciągnąć. Zamiast tego przemówił spokojnym głosem jak człowiek, który oczekuje, że zostanie wysłuchany.

— Dobrze, żeśmy się spotkali dzieci namiotów, zaprowadźcie nas do Edera Hussbeina, którego szukamy.

Po tych słowach Kuigarowie cofnęli się nieco, spoglądając jeden na drugiego.

— Ściąć ich — warknął jeden — to szpiedzy Muratha.

— Aj — zadrwił Conan — szpiedzy zawsze wożą ze sobą kobiety swej rasy. Głupcy! Długą i ciężką drogę przebyliśmy, żeby znaleźć Edera Hussbeina. Jeśli nas powstrzymacie, odpowiecie własną skórą. Prowadźcie nas do swojego wodza.

— Ach — burknął ten, którego zwano Yakbarem. Był on jakimś pomniejszym wodzem.

— Eder Hussbein wie jak postępować ze szpiegami. Zaprowadzimy cię do niego tak, jak owcę prowadzi się do rzeźnika. Oddać miecze, diabelskie syny!

Conan przytaknął skinieniem widząc moje spojrzenie, wyciągnął powoli swój długi miecz i oddał go rękojeścią do przodu.

— Nałykałem się kurzu — powiedziałem gorzko. — Bierz za rękojeść, psie, bo ostrze mogłoby przejść między twoimi żebrami.

Yakbar uśmiechnął się szczerząc zęby jak wilk.

— Bądź spokojny, Czungaju czas, by twoja stal poczuła, że jest w ręku mężczyzny.

— Obchodź się z nią ostrożnie — warknąłem — przysięgam, że kiedy na powrót znajdzie się w moich rękach, wykąpię ją w świńskiej krwi, by oczyścić z twoich plugawych, brudnych paluchów.

Myślałem, że za chwilę z wściekłości pękną mu żyły na czole, ale z rykiem wściekłości odwrócił się do nas plecami i z konieczności udaliśmy się za nim, gdyż jego towarzysze wciąż mocno trzymali cugu naszych koni. Przejrzałem plan Conana, chociaż nie rozmawiałem z nim. Pewne było, że w górach jest pełno nomadów. Próba wyrąbania sobie wśród nich przejścia byłaby szaleństwem. Jeśli połączymy nasze siły z ich, mamy nikłą szansę przeżyć. Jeśli nie uda się połączyć sił, to te psy mało kochają Czungajów, a Cymmeryjczyków wcale.

Ze wszystkich stron patrzyli na nas zarośnięci mężczyźni w brudnych szatach. Obserwowali nas zza skał i z wąwozów dzikimi oczami jastrzębi. Wjeżdżaliśmy do naturalnego zagłębienia terenu, gdzie jakieś pięćset wspaniałych, kuigarskich rumaków skubało skąpą trawę. Ci nomadzi — to psy i psie syny, ale hodowali wspaniałe konie. Coś koło setki wojowników pilnowało koni — wysocy, smukli mężczyźni, twardzi jak pustynia, która ich wychowała. Na głowach mieli stalowe hełmy, w rękach trzymali okrągłe tarcze, a także drugie szable i lance. Każdy był odziany w kolczugę. Nie było śladu ognisk i mężczyźni wyglądali na zmęczonych, i złych. Z głodu i z powodu męczącej jazdy. Niewiele spłądrowali podczas tego rajdu. Nieco z boku, na niewielkim pagórku siedziała grupa starszych wojowników. Tam nas zaprowadzono. Edera Hussbeina poznaliśmy od razu; jak wszyscy z jego rasy był wysoki i szeroki w ramionach, wysoki jak Conan, ale brakowało mu masywności Cymmeryjczyka. Zbudowany był z okrutną oszczędnością pustynnego wilka. Jego oczy świdrowały nas i czała się w nich groźba, a twarz była szczupła i okrutna. Conan nie czekał aż Eder przemówi.

— Ederze Hussbeinie — powiedział — przynosimy ci dwa dobre miecze. Hussbein warknął jakby Cymmeryjczyk zasugerował, że poderżnie mu gardło. — Co to znaczy? — wysapał i wtedy odezwał się Yakbar:

— Tych dwoje Turańczyków i tego Hyrkańczyka znaleźliśmy na granicy wzgórz, gdy zaczęło świtać. Przybyli od strony hyrkańskiego obozu. Miej się na baczności mój panie, Turańczycy są chytry w mowie, a ten Hyrkańczyk to nie Hyrkańczyk, tylko jakiś wschodni diabeł.

— Aj — wyszczerzył okrutnie zęby Eder — są wśród nas bohaterowie! Hyrkańczyk, a właściwie Czungaj — to Tobrak Torr, którego szlakiem podążają kruki. A jeśli nie jestem szalony, to ta tarcza jest tarczą Conana Cymmeryjczyka.

— Nie ufaj im — namawiał Yakbar. — Ciśnijmy ich głowy pustynnym psom.

Conan roześmiał się, a jego oczy stały się zimne i nieprzeniknione tak jak Cymmeryjczyka, który w tej chwili patrzył w odsoniętą twarz przeznaczenia.

— Mimo, że zabrano nam broń, wielu z was by zginęło — rzekł Conan. — Władca pustyni nie ma ludzi do stracenia. Wkrótce możecie potrzebować wszystkich mieczy jakie macie, a i one mogą nie starczyć. Jesteście w pułapce.

Eder szarpał swoją brodę, a w jego oczach złość mieszała się z obawą.

— Jeśli jesteś szczery, powiedz mi, co to za gromada znajduje się na równinie.

— To armia Muratha Khana, sułtana Balkhany.

Towarzysze Edera krzyknęli szyderczo, a on sam zaklął.

— Kłamiesz! Wilki Muratha spieszyły za nami dniem i nocą. Wisieli u naszych boków jak szakale tropiące rannego jelenia. O zmierzchu wymknęliśmy się im i uciekliśmy. Kiedy wjechaliśmy między wzgórza, z drugiej strony dojrzelśmy obozujące mrowie ludzi. Jak to może być Murath?

— Gonilo was najwyżej kilkudziesięciu zwiadowców — odpowiedział Conan. — To lekka kawaleria wysłana przez Muratha, by wisiała przy waszych bokach i wpędziła was w pułapkę, jak stado bydła. Za wami jest górzysty teren i nie możecie wrócić. Nie, jedyna droga prowadzi przez hyrkańskie szeregi.

— Ach tak — powiedział Eder z gorzką ironią. — Teraz wiem, że mówisz jak przyjaciel.

Czy pięciuset ludzi wytnie sobie drogę wśród dziesięciu tysięcy?

Conan roześmiał się.

— Poranna mgła wciąż spowija równinę. Pozwól, żeby się podniosła, a zobaczysz nie więcej niż tysiąc ludzi.

— On kłamie — wtrącił się Yakbar, który od początku darzył mnie szczerą niechęcią. —

Całą noc równina dźwięczała tętentem końskich kopyt i widzieliśmy blask setek ognisk.

— Nabrano cię — powiedział Cymmeryjczyk. — Zrobili tak, byś uwierzył, że masz przed sobą wielką armię. Jeżdżono po równinie, by stworzyć iluzję wielkiej liczby jeźdźców, a także, by wasi zwiadowcy nie podeszli zbyt blisko ognisk. Masz do czynienia z mistrzem strategii. Kiedy przybyliście w te góry?

— Po zmierzchu, zeszłej nocy — odrzekł Eder.

— I Murath przybył o zmierzchu. Nie widzieliście sygnałów dymnych, gdy jechaliście?

Ogniska rozpalali zwiadowcy, by powiadomi Muratha o waszych ruchach. On doskonale zgrał w czasie swój marsz i przybył na czas, by rozpalić ogniska i złapać cię w pułapkę.

Mogłeś się przemknąć przez nich zeszłej nocy i wielu z was, by umknęło. Teraz musisz walczyć w świetle dnia i nie mam wątpliwości, że nadjeżdża więcej Hyrkańczyków. Spójrz, mgła się przerzedza. Chodź ze mną na wzgórze, a udowodnię ci, że mówię prawdę.

Mgła istotnie zaczęła rzednąć i Eder zaklął, gdy popatrzył na rozłożony na dużej

powierzchni obóz Hyrkańczyków, którzy już zaciskali popręgi i rzemienie przy zbrojach. Sądząc po hałasie jaki dobiegał, szykowali broń.

— W pułapce i przechytrzeni — warknął Hussbein. — Moi ludzie warczą za moimi plecami. W tych górach nie ma za dużo wody ani trawy. Tak blisko nas byli ci przeklęci zwiadowcy, że wzięliśmy ich za awangardę armii Muratha Khana i nie mieliśmy czasu, by zjeść lub odpocząć, ani w dzień ani w nocy. Nie rozpaliliśmy nawet ognisk z braku czegokolwiek do ugotowania. Czy z pięciuset jeźdźcami rozpędzimy ich o zmierzchu, Conanie? Uciekną przy pierwszym ataku jak przebiegłe psy?

— Bez wątpienia czają się na waszych tyłach. Najlepiej jeśli wsiądziemy na konie i uderzymy na Hyrkańczyków szybko, nim upał budzącego się dnia osłabi twoich wygłodniałych ludzi. Jeśli zwiadowcy pójda za nami złapią nas w kleszcze, musimy atakować.

Eder pokiwał głową gryząc brodę, pogrążony był w głębokiej zadumie. Nagle się odezwał. — Dlaczego mi to mówisz? Czemu chcecie dołączyć do słabszych? Jaki podstęp przynosisz do mojego obozu?

Conan wzruszył ramionami.

— Uciekliśmy Murathowi. Dziewczyna jest moją narzeczoną. Wykradł mi ją jeden z jego emirów. Jeśli nas złapią stracimy życie.

W ten sposób przemówił, nie ośmielając się wyjawić faktu, że to sam Murath pożądał dziewczyny ani, że była ona siostrzenicą Vilema Hydroca. Eder bowiem mógł kupić pokój z Hyrkańczykami wydając ich w jego ręce.

Kuigar pokiwał głową nieobecny myślami, ale zdawał się być zadowolony.

— Oddaj im ich miecze — zwrócił się do Yakbara. — Słyszałem, że Conan Cymmeryjczyk dotrzymuje słowa. Zaufamy też Czungajowi.

Yakbar niechętnie zwrócił nam broń. Miecz Conana był prawdziwym mieczem barbarzyńcy — długi, ciężki, o podwójnym ostrzu z szeroką krzyżową gardą. Ja miałem zakrzywioną, hyrkańską szablę wykutą nad Sogdią — rękojeść była wysadzana szlachetnymi kamieniami, a ostrze ze świetnej, błękitnej stali, było odpowiedniej długości, niezbyt zakrzywione, żeby dobrze było nim zadawać pchnięcia, a także ciąć. Nie była zbyt ciężka do szybkiego i zręcznego fechtunku, nie była jednak za lekka, gdyż mogłaby pęknąć.

Conan odciągnął dziewczynę na bok i odezwał się łagodnie.

— Ottairi, Crom wie co jest najlepsze. Możliwe, że ty, ja i Tobrak Torr zginiemy dzisiaj.

Musimy walczyć z Hyrkańczykami i tylko On wie co się może wydarzyć. W każdym wypadku możemy dać gardła.

— Będzie, co ma być, mój drogi panie — powiedziała — jeśli śmierć mnie spotka u twego boku będę zadowolona.

— Jakimi wojownikami są nomadzi, mój bracie? — spytał Conan.

— Dzicy wojownicy — odpowiedziałem — ale nie wytrzymają. Jeden w pojedynczej walce dorównuje Czungajowi i przewyższa Kosalczyka czy Hyrkańczyka, ale walka wręcz na ograniczonej przestrzeni to co innego. Oni szarżują jak ślepe uderzenie pustynnego wiatru, i jeśli Hyrkańczycy się załamią, a zapach zwycięstwa dotrze do nozdry Kuigarów, to będą oni nie do odparcia. Ale jeśli Murath wytrzyma i odeprze ich pierwszy atak, wtedy najlepiej będzie, gdy uciekniemy. Ci ludzie są jak jastrzębie, rezygnują, gdy nie pochwycą za pierwszym razem zdobyczy.

— Więc co będzie jak Hyrkańczycy wytrzymają? — spytał Conan.

— Mój bracie — odrzekłem — nie darzę miłością tych Hyrkańczyków. Nazywają ich czasem tchórzami, ale każdy z nich będzie walczył jak oszalały od krwi diabeł, gdy ufa swemu dowódcy. Zbyt wielu zdradliwych wodzów przyniosło hańbę Hyrkani. Kto chce umierać za władcę, który zdradza swoich ludzi? Hyrkańczycy wytrzymają jeśli ufają Murathowi Khanowi, a w jego szeregach jest wielu Kosalczyków i Czungajów. Musimy ostro na nich uderzyć i wyciąć drogę mieczem.

Kuigarowie zjeżdżali z gór na swoich rumakach i gromadzili się. Eder Hussbein podszedł w pobliże miejsca, gdzie staliśmy i stanął spoglądając na nas.

— O czym dyskutujecie między sobą?

Conan podniósł oczy napotykając wzrok Kuigara.

— Dziewczyna jest moją narzeczoną. Wykradł ją ludzie Muratha a ja wykradłem ją im, jak ci mówiłem. Teraz mam kłopot ze znalezieniem dla niej bezpiecznego miejsca. Nie możemy jej zostawić w górach i nie możemy zabrać jej ze sobą, gdy będziemy zjeżdżać na równiny.

Eder popatrzył na dziewczynę jakby widział ją po raz pierwszy i zobaczyłem jak w jego oczach rodzi się pożądanie. Ach, jej biała twarz była iskrą rozpalającą ogień w sercach

mężczyzn.

— Przebierz ją za chłopca — zasugerował. — Przydzielę wojownika, by ją strzegł i dam jej konia. Gdy my będziemy szarżować, ona będzie jechać w tylnych szeregach. Kiedy zderzymy się z Hyrkańczykami niech ona pędzi jak wiatr okrążając wrogi obóz, o ile da radę. Później niech ucieka na południe ku granicy. Jeśli będzie szybka i śmiała może wygrać wolność, a jej strażnik zetrnie wszystkich, którzy spróbują ją zatrzymać. Gdy cała gromada Hyrkańczyków będzie z nami walczyć, możliwe, że dwoje jeźdźców opuści niepostrzeżenie pole bitwy.

Ottairi pobladła, gdy to jej wyjaśniono, a Conan się wzdrygnął. To była desperacka szansa, ale jedyna. Cymmeryjczyk spytał czy ja nie mógłbym jej towarzyszyć jako strażnik, ale Eder odrzekł, że chciałby mieć mnie u swego boku. Bez wątpienia nie ufał mi, nawet jeśli ufał Conanowi, i obawiał się, że mógłbym dziewczynę wykraść dla siebie. Mógłby się zgodzić, ale to my przyjechaliśmy do niego i my musieliśmy się dostosować. Jeśli chodzi o mnie, byłem zadowolony; ja, jastrząb Czungajów miałbym być psem łańcuchowym kobiety w czasie, gdy będzie się toczyła bitwa. Młodzieńcowi imieniem Hassan podano szczegóły jego obowiązków i Eder obdarował dziewczynę świetną, czarną kłaczą. Ottairi ubrana w męski, hyrkański strój naprawdę wyglądała jak szczupły, młody Hyrkańczyk i oczy Edera płonęły, gdy patrzył na nią. Wiedziałem, że jeśli nawet pokonamy Hyrkańczyków to jeszcze będziemy musieli walczyć o dziewczynę z Kuigarom.

Kuigarowie dosiedli koni i niecierpliwili się. Conan pogłaskał Ottairi, która płakała i tuliła się do niego. Później patrzył jak wraz z Hassanem zajmuje miejsce w ostatnim szeregu. Ja i on zajęliśmy miejsca obok Edera. Pokłusowaliśmy ostro przez wąwozy i wypadliśmy na poszarpane zbocza wzgórz.

Słońce oświetlało wschodnią stronę wzgórz. Pogalopowaliśmy w dół wąwozami i rozsypaliśmy się na równinie, na której stała już w szyku hyrkańska armia. Na Croma, będę pamiętał tę szarżę nawet, gdy będę umierał! Jechaliśmy jak ludzie, którzy jadą na zabawę ze śmiercią. Z szablami w rękach i wiatrem smagającym twarze pędziliśmy z luźno zwisającymi cuglami.

I jak wiatr z piekła uderzyliśmy na hyrkańskie szeregi, które zafalowały pod uderzeniem. Nasze wyjące szatany cięły i rąbały, a Balkhańczycy padali jak żęte zboże. Cięcia szablami były zbyt szybkie, by oko mogło za nimi nadążyć, jak drgania letniego światła. Przysięgam, że stu Hyrkańczyków padło natychmiast, gdy ich szeregi zderzyły się z naszym lotnym szwadronem wcinającym się bezpośrednio w serce wrogiej ciżby. Tam szeregi się zwały i szcęk stali wzniosł się pod niebiosami. Straciliśmy z oczu Ottairi i nie było czasu, by się za nią rozglądać; jej los był w rękach bogów.

Widziałem Muratha Khana siedzącego na wspaniałym, białym rumaku pośród swoich emirów. Był spokojny, jakby obserwował paradę. Błyszczące ostrza nomadów były ledwo o rzut włócznią od niego. Wodzowie tłoczyli się wokół niego: Kai Kadar — Kosalczyk, Abdel Shira, Marat Khan, Ganar Said, Mechmet el Ghor i Erkhan Khan obrośnięty włosami olbrzym, kuigarski renegat uważany za najsilniejszego mężczyznę w Balkhanie.

Conan i ja wyrąbaliśmy sobie drogę przez szeregi, ramię przy ramieniu, i przysięgam na Croma, zostawiliśmy za sobą tylko puste siodła. Aj, kopyta naszych rumaków tratowały pozbawione głów zwłoki! Eder Hussbein przedzierał się w stronę emirów siejąc spustoszenie. Yakbar jechał tuż za nim, ale Marat Khan ściął mu głowę jednym uderzeniem. Przy Ederze znaleźli się emirowie. Kuigar ryczał jak oszalała od krwi pantera, stał w strzemionach tnąc wokół jak szalenięc.

Zabił trzech zbrojnych Hyrkańczyków i zajął się Marat Khanem uderzając tak, że go ogłuszył i zrzucił z konia, ale hełm ochronił jego głowę. Abdel Shira ściągnął cugle i ostrze jego szabli przebiło kuigarską kolczugę wchodząc głęboko w plecy Edera, który zatoczył się, ale nie przestał wymachiwać swoją długą szablą.

W tym czasie Conan i ja wycinaliśmy sobie do niego drogę. Mój towarzysz uniósł się w siodle i wydał Cymmeryjski okrzyk wojenny jednocześnie tnąc z taką siłą Abdela Shirę, że temu pękł hełm wraz z czaszką. Emir poleciał na łeb na szyję. Eder Hussbein roześmiał się dziko, i chociaż w tej chwili Ganar Said przerąbał jego kolczugę i barki, spiał konia ostrogami i rzucił się w tłum. Wspaniały rumak rżał, stawał dęba i opadał w dół. Eder przeciął gardło Ganar Saida i rzucił się, by walczyć z Murath Khanem. Ale jego uderzenie zostało wyprzedzone, śmiertelny cios zadał mu Kai Kadar.

Gromki krzyk wydali Kuigarowie i Hyrkańczycy widząc co się stało i poczułem, że cała nasza linia ustępuje. Myślałem, że to dlatego iż padł Eder, ale wtedy usłyszałem harmider na flankach i rozległ się zgiełk i tętent galopujących koni. Roual Atabeg przeciskał się do mnie i

nie miałem czasu się rozejrzeć. Poczułem, że kuigarskie linie słabną i rozsypują się. Widząc ogarniające wszystkich szaleństwo, zdesperowany zaryzykowałem rzucając moją szybkość przeciwko szybkości Rouala Atabega. Zabiłem go. Dopiero teraz zaryzykowałem szybki przegląd sytuacji. Ze wzgórz, które opuściliśmy zjeżdżała galopem wataha Kosalczyków, którzy byli stronnikami kalifatu.

Na ten widok Kuigarowie załamali się i rozpierzchli jak stado ptaków. Każdy uciekał na własną rękę i Hyrkańczycy zarzynali ich podczas ucieczki. W oka mgnieniu bitwa przemieniła się w luźny labirynt pojedynczych walk. Nasza szarża zaprowadziła Conana i mnie głęboko w serce hyrkańskiej ciżby. Teraz, kiedy pojedynczy wojownicy odrywali się ścigając wrogów, cienka linia została pomiędzy nami i otwartą pustynią na południu. Uderzyliśmy wierzchowce ostrogami i rozerwaliśmy ją. Daleko przed sobą dojrzelśmy dwoje galopujących jeźdźców, a jeden z nich jechał na wysokiej, czarnej klaczy, którą Eder podarował Ottairi. Ona i jej strażnik przedostali się, ale równina pełna była jeźdźców, którzy uciekali, a także tych, którzy ich ścigali. Uciekaliśmy w tę stronę co Ottairi, i kiedy przejeżdżaliśmy obok grupy strażników Muratha Khana, byliśmy tak blisko, że ujrzałem odwagę w jego brązowych oczach. Aj, wtedy spojrzałem w twarz urodzonemu kalifowi. Przejechaliśmy przez pole bitwy i widzieliśmy jak Ottairi ogląda się do tyłu, a Hassan usiłuje ją ponaglać. Musiała nas dojrzeć, gdyż uniosła rękę i wtedy pojawiła się przy nich banda Kosalczyków, szakali idących za Murathem tylko dla łupu. Usłyszeliśmy krzyk i dojrzałem błysk stali. Conan jęknął i spiął konia ostrogami, aż ten zarżał i skoczył przed mojego rumaka. Sunęliśmy galopem w stronę walczącej grupy.

Hassan radził sobie dobrze; jednemu Kosalczykowi odraubał lewe ramię od barku, a szablę złamał u piersi drugiego. Jadąc zobaczyliśmy jak pada pod nim rumak, ale padając Kuigar wyciął z siodła Kosalczyka, który stoczył się na ziemię. Po chwili walczyli na zakrzywione sztylety. Inny Kosalczyk przypadkowo ściągnął Ottairi z konia zamiast rozwalić jej głowę, pomyślał, że ma do czynienia z chłopcem. Rozerwali na niej szaty i brutalnie odsłoniли twarz. Gdy zobaczyli, że to dziewczyna i to na dodatek piękna, zawyli jak wilki. W tym momencie na nich uderzyliśmy.

Na Croma, szaleństwo wstąpiło w Conana; jego oczy błyszczą straszliwie podczas, gdy twarz miał śmiertelnie bladą, jego siła była nadludzka. Trzema uderzeniami zabił trzech Kosalczyków i reszta z krzykiem rozpierzchła się jakby wstąpił w nich diabeł. Podczas ucieczki jeden przejechał blisko mnie, więc ściąłem mu głowę, by go nauczyć dobrych manier. Conan zeskoczył z konia i chwycił przerażoną dziewczynę w ramiona, a ja rozglądałem się za Hassanem i Kosalczykiem. Obydwu znalazłem martwych. Odkryłem jeszcze jedną rzecz, ktoś przeszył lancą moje udo, ale jak i kiedy nie wiedziałem, nie zdawałem sobie sprawy jak ludzie są niewrażliwi na rany w ogniu walki. Zatałowałem krew i opatrzyłem ranę najlepiej jak mogłem, używając kawałków oderwanych od mojej własnej szaty.

— Śpieszmy się w imię Vaala! — krzyknąłem do Conana, zirytowany widząc, że może tulić dziewczynę i szeptać jej czułe słówka cały ranek. — Nie możemy tu pozostać ani chwili dłużej. Sadzaj kobietę na jej konia i wynośmy się. Zostaw swoje pieśczęty na bardziej stosowny czas.

— Tobrak Torr — rzekł Conan — jesteś dobrym przyjacielem i świetnym wojownikiem, ale czy byłeś kiedyś zakochany?

— Tysiąc razy. Jestem wierny połowie kobiet w kalifacie. Na koń, w imię boga i jedźmy!

I tak jechaliśmy, a właściwie wlekliśmy się unikając zbłąkanych band rabusiów. Ci bowiem zbierali się we wszystkich stronach kraju, gdy usłyszeli, że stoczono bitwę. Rabowali kogo popadło. Jechaliśmy na południe lekko odbijając na wschód. Zamierzaliśmy jednak zawrócić na zachód, kiedy będzie nas dzieliło wiele mil od zwycięskich Hyrkańczyków. Jechaliśmy aż do południa i wtedy znaleźliśmy źródło. Zatrzymaliśmy się, by napić się wody i żeby odpoczęły konie. Rosła tam skąpa trawa, ale dla nas nie było żadnego jedzenia, a ani ja ani Conan nie jedliśmy od poprzedniego dnia, a nie spaliśmy przez dwie noce. Nie zamierzaliśmy spać, gdyż jastrzębie wojny nie były zbyt daleko, ale Cymmeryjczyk ułożył dziewczynę w cieniu rozłożystego tamaryszku, by się zdrzemnęła.

Po godzinny odpoczynku znowu ruszyliśmy. Jechaliśmy wolno, by oszczędzać konie. Gdy słońce zbliżało się do zachodniego horyzontu ponownie zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek w cieniu potężnych skał i tym razem wszyscy się przespaliśmy. Chociaż ani ja, ani mój towarzysz nie spaliśmy więcej niż pół godziny, cudownie nas to odświeżyło. Znowu znaleźliśmy się na szlaku zataczając szeroki łuk na zachód.

Była już noc, kiedy zacząłem sobie zdawać sprawę, że na Muratha Khana padło

szaleństwo. Ogarnęło mnie uczucie dziwnego niepokoju, które znają wszyscy mężczyźni urodzeni na pustyni. Uczucie, że jestem ścigany. Zsiadłem z konia i przyłożyłem ucho do ziemi. Wielu jeźdźców galopowało chociaż byli jeszcze daleko. Powiedziałem to Conanowi i ponaglił konie myśląc, że to może być banda Hyrkańczyków.

Znowu skręciliśmy na wschód, by uniknąć z nimi spotkania i kiedy zapadł zmrok kilkakrotnie przykładam ucho do ziemi. Wyłapywałem słabą wibrację wielu kopyt.

— Wielu jeźdźców — mruknąłem. — Na Croma, Conanie, jesteście zwierzyną łowną.

— Czy to na pewno nas ścigają? — spytał.

— A kogo jeszcze by mogli? — odpowiedziałem pytaniem. — Podążają naszym tropem jak psy gończe podążające za rannym wilkiem. Murath jest szalony. Pragnie dziewczyny. Głupie i ryzykowne jest opuszczenie imperium dla piszczącej dziewczyny. Conanie, kobiety są liczniejsze niż jaskółki, ale wojowników takich jak ty jest kilku. Niech Murath ma sobie dziewczynę. To nie hańba, cała armia na nas poluje.

Jego szczęki zacisnęły się jakby były z żelaza i powiedział tylko:

— Odjeżdżaj i troszcz się o siebie.

— Na krew Croma — powiedziałem łagodnie. — Nikt, i ty także, nie możesz mówić do mnie w ten sposób i żyć.

Potrząsnął głową.

— Nie chciałem ci ubliżyć, mój bracie. Nie szukam także śmierci z twojej ręki.

— Wsiadajmy na konie i jedźmy — rzekłem zmęczony. — Wszyscy Cymmeryjczycy są szaleni. i ruszyliśmy w półmroku, przez który przebijało się światło gwiazd, a za nami słychać było cichy, ale ustawiczny tętent wielu końskich kopyt. Murath poruszał się szybko, wierzyłem w to i wiedziałem, że może jechać szybciej, gdyż jego rumaki są mniej zmęczone. Jak dowiedział się o naszej ucieczce nigdy się nie dowiedziałem. Może Kosalczyk, który umknął przed furią Conana przekazał informację o nas, a może powiedział mu jakiś torturowany Kuigar.

Myśląc nad tym, wymykaliśmy się mu. Skręciliśmy daleko na zachód i przed świtem nie słyszałem już wibracji, jaką powodują uderzające o ziemię końskie kopyta. Ale wiedziałem, że odroczenie dla nas jest krótkie; zgubił nasz trop, ale w swoich szeregach miał Kosalczyków, którzy mogą tropić wilka wśród skał. Murath mógł nas mieć przed następnym zachodem słońca.

O świcie wspięliśmy się na wzniesienie i zobaczyliśmy przed sobą rozciągające się do linii horyzontu spokojne wody Morza Vilayet. Nasze rumaki były wykończone; staniały się i podrzucały głowy, szeroko stawiając nogi. W świetle poranka zobaczyłem zmęczone i wymizerowane twarze Conana i dziewczyny. Jej oczy były zamglone i chwiały się ze zmęczenia, ale z jej ust nie wyrwało się słowo skargi. Mnie po półgodzinnym śnie w ciągu trzech nocy wszystko zdawało się niewyraźne. Cymmeryjczyk był z żelaza; jego umysł, ciało i dusza. Rozpalał i ponaglał go wewnętrzny ogień, jego dusza płonęła tak jasno, że przewyciężał słabość i zmęczenie ciała. Ale czekała nas ciężka droga, Szlak Karawan! Podeszliśmy nad morski brzeg prowadząc nasze utykające konie. Po turańskiej stronie brzegi Morza Vilayet były płaskie i piaszczyste, ale po hyrkańskiej były strome i skaliste. Wiele głazów leżało przy urwistych brzegach tak, że rumaki miały trudności z wybraniem wśród nich drogi.

Conan znalazł miejsce wśród dwóch głazów i kazał dziewczynie się przespać. Ja pozostałem i jej pilnowałem. On tymczasem poszedł wzdłuż wybrzeża rozglądając się za jakąś łodzią rybacką, gdyż jego zamiarem była próba ucieczki przed Hyrkańczykami drogą morską. Wspiął się na skały — wyprostowany, wysoki i wspaniale wyglądający w porannych promieniach słonecznych.

Dziewczyna spała snem osoby całkowicie wyczerpanej, a ja siedziałem w pobliżu z szabłą na kolanach i myślałem nad szaleństwem Cymmeryjczyków, i sułtanów. Bolała od pchnięcia lancą noga zdrętwiała mi. Byłem spragniony i kręciło mi się w głowie z głodu, i braku snu. Nic nie widziałem, tylko śmierć jawiła mi się przed oczami. W końcu przyłapałem się na tym, że zapadam w drzemkę i żeby nie zasnąć jak dziewczyna podniosłem się, i ruszyłem utykając. Przeszedłem kawałek i oparłem się ramieniem o skałę. Ból promieniujący od rany chronił mnie przed zaśnięciem. Nagle pojawił się tajemniczy przybysz. W jednej chwili byłem sam wśród skał, a w następnej wyskoczył zza nich potężny wojownik. Błyskawicznie zorientowałem się, że to jakiś diabeł z zachodu, gdyż miał jasne oczy błyszczące jak u tygrysa, bardzo białą skórę, a spod hełmu wypływały długie włosy. Podobnie długa była jego gęsta broda, jego hełm zdobiły rogi byka lub innego zwierza tak, że z początku pomyślałem, że mam do czynienia z jakimś fantastycznym demonem tego odludzia.

W następnej chwili zorientowałem się tylko, że gigant z ogłuszającym rykiem ruszył na

mnie. W prawej ręce trzymał ciężki topór o błyszczącym ostrzu. Mogłem odskoczyć w bok, żeby jego cios trafił w próżnię, wcześniej taki unik wykonywałem setki razy, ale mgła zamroczenia na mnie opadła, a moja noga była zupełnie drętwa. Wyłapałem jego topór na tarczę i ręka opadła mi jak gałązka. Siła tego straszliwego uderzenia cisnęła mną o ziemię, ale opadłem na jedno kolano i gdy olbrzym pojawił się nade mną, pchnąłem do góry szablą. Moja stal wbiła się pod jego brodę i rozerwała szyję. Zatoczył się jak pijany i bluznął krwią, ale nadal oburącz ścisnął topór. Stał na szeroko rozstawionych nogach i unosił go nad głowę. Na szczęście uszło z niego życie zanim uderzył. Podniosłem się całkowicie rozbudzony przez ból mojego złamanego ramienia. Zza skał ze wszystkich stron wyszli mężczyźni i utworzyli wokół mnie błyszczący krąg stali. Takich mężów nigdy nie widziałem. Tak jak ten, którego zabiłem, byli wysocy, potężni, mieli rude lub płowe włosy i brody, a także dzikie, jasne oczy. Nie byli odziani w stal od stóp do głów tak jak Turańczycy. Nosili rogate hełmy i płaszcze z łuskowej kolczugi, które sięgały im niemal do kolan, ale gardła i ramiona mieli odkryte. Większość z nich nie nosiła więcej żadnych pancerzy. W lewym ręku trzymali ciężkie tarcze, a w prawym topory o szerokich ostrzach. Wielu nosiło złote naramienniki i łańcuchy na gołych szyjach. Tacy mężowie na pewno nigdy wcześniej nie deptali piasków Wschodu. Przed nich wysunął się ich wódz. Bardzo wysoki wojownik, którego kolczuga zrobiona była z posrebrzanych łusek. Jego hełm wykuto z rzadką wprawą, a zamiast topora nosił, w ozdobnej pochwie, długi, ciężki miecz. Jego twarz była twarzą marzyciela, ale dziwnie jasne oczy były kapryśne jak migotanie morza.

Obok niego stał inny, jeszcze dziwniejszy od niego. Był bardzo stary, miał gęstą, białą brodę i białe loki elfa. Jego potężne ciało było nieugięte, a mięśnie jak z dębu i żelaza. Miał tylko jedno oko, które nieludzko błyszczało. Zdawał się mało zważać na to, co się dzieje wokół niego. Jego duża głowa była uniesiona, a dziwne oko patrzyło ponad wszystkimi sięgając w głąb horyzontu świata. Zorientowałem się, że nadszedł kres mej wędrówki. Odrzuciłem szablę i złożyłem ręce.

— Wola Croma — powiedziałem i czekałem na uderzenie.

I wtedy rozległ się szcęk broni, wojownicy obrócili się, gdy Conan szorstko rozerwał ich krąg i stanął przed nimi. Rozległ się posępny ryk i ruszyli naprzód. Chwyciłem szablę i stanąłem do Conana plecami, ale wysoki wojownik w posrebrzanej kolczudze uniósł rękę i przemówił w obcym języku. Zapadła cisza. Conan odpowiedział we własnym języku.

— Nie rozumiem waszego języka. Może, któryś z was mówi po aquilońsku lub turańsku?

— Tak — odrzekł olbrzymi wojownik o pól głowy wyższy od mego towarzysza. — Jestem synem Skala Notroka, Zamorańczyka, a to są moje wilki. Ten człowiek zabił jednego z moich śmiałków. To twój przyjaciel?

— Przyjaciel i towarzysz broni. Jeśli zabił, miał powód.

— Skoczył na mnie jak tygrys z zasadzki — powiedziałem słabo.

— Oni należą do twojej rasy, bracie. Niech wezmą moją głowę, jeśli chcą; krwią należy płacić za krew. Później niech chronią ciebie i dziewczynę przed Murathem.

— Czy jestem psem? — warknął Conan i rzekł do wojowników.

— Spójrzcie na swojego wilka, myślicie, że zadał cios po tym jak mu poderżnięto gardło?

Ten tutaj Tobrak Torr ma złamane ramię. Wasz wilk uderzył pierwszy; człowiek może bronić własnego życia.

— Więc zabieraj go i idźcie swoją drogą — powiedział wolno syn Skala Notroka. — Nie chcemy wykorzystywać naszej przewagi, ale nie lubię twojego przyjaciela.

— Zaczekaj! — zawołał Conan. — Proszę was o pomoc! Jesteśmy ścigani przez hyrkańskiego władcę niczym jeleń przez wilka. Próbuje zaciągnąć turańską dziewczynę do swego haremu.

— Turanka! — zagrzmiał syn Skala Notroka. — Dziesięć dni temu zabiłem konia w ofierze bogom.

Zobaczyłem jak z wolna pojawia się na pobrużdżonej twarzy Conana depresja.

— Myślałem, że wy, Zamorańczycy, dawno już porzuciliście swych krwawych bogów.

Ale mniejsza z tym, jeśli są wśród was ludzie mężni, pomóżcie nam. Nie mnie, czy mojemu przyjacielowi, ale dziewczynie, która śpi tam wśród skał.

Spośród nich wysunął się wojownik mojego wzrostu i potężnej postury. Miał przeszło pięćdziesiąt wiosen, jego brody jeszcze nie dotknęła siwizna, a niebieskie oczy błyszczały wściekłością, która rozpałała jego duszę.

— Ach — parsknął — prosisz o pomoc ty Cymmaryjski psie? Ty, którego plemię pomagało w najeździe na dziedzictwo mojego ludu, teraz jęczysz o pomoc niczym złapany w pułapkę szakal. Prędzej zobaczę cię w piekle, niż podniosę topór w waszej obronie.

— Nie, Trothgarze — wielki, białobrody starzec przemówił po raz pierwszy, a jego głos

był jak dźwięk gardłowej trąby. — Ten wojownik jest sam, a nas jest wielu. Nie traktujmy go szorstko.

Trothgar zdawał się być speszony, zły, jeszcze pragnący prosić starca.

— Tak, mój królu — mruknął na w pół posępny, na w pół pokorny.

Conan wzdrygnął się.

— Królu?

— Tak! — oczy Trothgara na nowo błysnęły; naprawdę był ponurym człowiekiem. —

Tak, monarcha, którego twój przeklęty Yildiz pułapką i podstępem zrzucił z tronu. Tu stoi Horgold, syn Gormana, prawowity król Turanu!

Conan zdjął hełm i popatrzył jak na ducha.

— Nie rozumiem — wyjąkał. — Horgold padł pod Sentalc. Księżna Elmira znalazła go wśród zabitych.

Trothgar zawarczał jak zraniony wilk, a jego oczy płonęły i migotały niebieskim światłem nienawiści.

— Sztuczka, by okpić wrogów. To był jakiś nieznaną wódz z zachodu, ten, którego pokazała kapłanom. Dowodziłem dziesięcioma, najemnikami, którzy nocą wynieśli z pola króla Horgolda, jednookiego i oślepionego.

Jego dzikie oczy złagodniały, a szorstki głos zmiękł.

— Wynieśliśmy go poza zasięg psów Yildiza i miesiącami leżał ocierając się o śmierć. Ale przeżył chociaż zdradziecka strzała wykuła mu oko, a cięcie mieczem przez głowę uczyniło go dziwnym i niespełna rozumu.

Znowu płomienie wściekłości błysnęły w oczach Trothgara.

— Wiele lat tułaczki i udręki na ścieżkach wygnania! — wysapał. — Yildiz zrabował królowi jego królestwo, ale nie ludzi, którzy szli za nim i ginęli dla niego! Popatrz na wojowników syna Skala Notroka! Zamorańczycy, Brythuńczycy i inni, którzy nie mogli znieść ucisku swych króli, my jesteśmy królestwem Horgolda! I ty, Cymmeryczyku błagasz nas o pomoc! Ha!

— Urodziłem się w Cymmerii... — zaczął Conan.

— Aj — sztychł Trothgar — na ziemi wyrwanej jakiemuś dobremu szlachcicowi i danej jakiemuś złodziejowi!

— Mój ród walczył pod Sentalc, pod Złotym Lwem po stronie Yildiza i nie muszę tego ukrywać.

— Tym większa hańba tobie, renegacie — wściekł się Trothgar — Ja...

Wśród skał rozległ się szybki tupot małych stóp. Dziewczyna się przebudziła i wystraszyła ją szorstkie głosy, przyszła szukać Conana. Prześlizgnęła się pomiędzy zbrojnymi i wpadła w ramiona Conana, dysząc i rozglądając się przerażonym wzrokiem po ponurych zbójcach, wojownicy zamilkli.

Conan obrócił ją twarzą do nich.

— Chyba nie pozwolicie, by dziecko waszej rasy wpadło w ręce tych psów? Murath Khan, sułtan Balkhany depcze nam po piętach, jest niespełna godzinę drogi stąd. Pozwólcie nam wsiąść na waszą galeryę i odpłynąć z wami.

— Nie mamy galery — odparł syn Skala Notroka. — W nocy odważyliśmy się podpłynąć zbyt blisko brzegu i ukryta rafa rozerwała poszycie łodzi. Ostrzegałem Charonna Ravena, że niebezpiecznie jest z otwartego oceanu wpływać w wąskie morze, na którym nocą czarownice palą zielone ognie.

— A co my, niespełna setka, możemy zdziałać przeciwko całej gromadzie? — wtrącił się Trothgar. — Nie możemy wam pomóc nawet gdybyśmy chcieli.

— Ale wy także jesteście w niebezpieczeństwie — powiedział Conan — Murath was strątuje. Nienawidzi ludzi z zachodu.

— Zwiążemy wam ręce, nogi i wydamy was jemu, w ten sposób kupimy pokój — odparł Trothgar. — Charonn Raven nie może być daleko. Zgubiliśmy go w nocy, ale on przeszuka wybrzeże, by nas znaleźć. Nie ośmielaliśmy się rozpalać ognisk sygnałnych, żeby nas nikt nie zobaczył. Ale teraz kupimy sobie pokój u tego wschodniego pana.

— Pokój! — głos Horgolda był jak głęboki, łagodny dźwięk złotego dzwonu. — Skończ Trothgarze. Nie mówisz dobrze.

Zbliżył się do Conana i dziewczyny. Dziewczyna chciała klęknąć przed nim, ale nie dopuścił do tego. Położył delikatnie starczą dłoń na głowie Ottairi, odchylił łagodnie jej twarz tak, że jej wielkie oczy spojrzały na niego błagalnie. W duchu wzywał Croma, gdyż wysoki starzec wyglądał niezmiernie ze swym błyszczącym mistycznie okiem i białymi lokami opadającymi niczym chmura na jego ramiona okryte kolczugą.

— Takie oczy miała Elmira — powiedział łagodnie. — Oj, dziecko, twoja twarz przeniosła mnie o pół wieku w przeszłość. Nie wpadniesz w ręce tych psów, póki ostatni prawdziwy król może dźwignąć miecz. Na drodze, którą kroczyłem wielokrotnie wyciągałem miecz z bardziej błahych powodów. Wyciągnę go raz jeszcze, maleńka.

— To szaleństwo — krzyknął Trothgar. — Czy sępy mają rozwlec kości Gormana z powodu zwykłej dziewczyny?

— Jestem królem czy psem? — zagrzmiał starzec.

— Jesteś królem, mój panie — posępnie burknął Trothgar i spuścił oczy. — Ty wydajesz rozkazy, my pójdziemy z tobą nawet do piekła.

Takie jest oddanie barbarzyńców.

— Rozpał ognisko sygnalizacyjne, synu Skala Notroka — rozkazał Horgold. —

Powstrzymamy Hyrkańczyków dopóki nie nadpłynie Charonn Raven, jeśli taka będzie wola bogów. Jak się nazywacie, ty i ten wschodni wojownik?

Conan powiedział mu, a Horgold wydał rozkazy. Byłem zdumiony widząc jak wojownicy go słuchają, nie zadając zbędnych pytań. Syn Skala Notroka dowodził tymi ludźmi, ale zdawał się przyznawać starcowi honory należne prawdziwemu monarsze, mimo, że ten stracił królestwo, którym władał teraz kto inny.

Conan i Horgold przywiązali mi rękę do ciała. Później wojownicy przynieśli jedzenie i beczkę czegoś, co nazywali piwem. Po katastrofie statku beczka pływała po powierzchni. Jedliśmy i piliśmy łąpczywie, a jednocześnie patrzyliśmy jak dym z ogniska unosi się ku górze. Nowy wigor wstąpił w mego Cymmeryjczyka. Jego twarz była zapadnięta i mizerna z powodu zmęczenia, i napięcia ale oczy błyszczały mu nieposkromionym światłem.

— Mamy niewiele czasu, by sformować szyk bojowy, wasza wysokość — odezwał się, a stary król pokiwał głową.

— Nie możemy się z nimi spotkać na otwartej przestrzeni. Mogliby nas otoczyć ze wszystkich stron i stratować. Ale zauważyłem bardzo nierówny teren niedaleko stąd.

Poszliśmy w to miejsce. Znaleźliśmy wydrążenie wśród skał, w którym zbierała się woda. Pozwoliliśmy naszym zmęczonym koniom zaspokoić pragnienie i zostawiliśmy je tam pijące w cieniu skał. Conan pomógł dziewczynie i wyciągnął do mnie rękę, ale pokręciłem głową i pokuśtykałem naprzód. Podeszedł Trothgar, wsunął swoje mocarne ręce pod moje pachy i w ten sposób mi pomógł. Moja ranna noga była zdrętwiała i sztywna.

— Szalona gra, Czungaju — odezwał się do mnie.

— Tak — przyznałem będąc jak we śnie. — Wszyscy jesteśmy szaleńcami i duchami na Szlaku Karawan. Wielu zginęło dla jasnowłosej dziewczyny. Jeszcze więcej zginie zanim droga dobiegnie końca. Wiele szaleństw widziałem podczas mego życia, ale nigdy czegoś dorównującego temu.

Już w naszych uszach dźwięczał tętent wielu kopyt. Zajęliśmy pozycję w szerokiej rozpadlinie, za naszymi plecami znajdowała się plaża upstrzona głazami. Teren przed nami był poprzecinany wąwozami, co uniemożliwiało konną szarżę. Wojownicy króla Horgolda zbili się w gromadę, stali ramie przy ramieniu, a szerokie tarcze zachodziły jedna na drugą. Na przodzie stał król Horgold z synem Notroka po jednej stronie i Trothgarem po drugiej. Conan znalazł występ skalny za szeregiem wojowników i umieścił na nim dziewczynę.

— Musisz pozostać z nią, Tobrak Torr — powiedział. — Twoja ręka jest złamana, a noga sztywna, nie dasz rady stanąć w tym murze tarcz.

— Mitra tak chce — odrzekłem — ale ciężko mi na sercu i posmak goryczy czuję w ustach. Myślałem, że padnę obok ciebie, mój bracie.

— Powierzam ją twojej opiece — powiedział i przytulił dziewczynę. Trzymał ją przez moment w objęciach, a następnie zszedł z występu i odszedł, a ona płakała i wyciągała za nim swoje białe ręce.

Wyciągnąłem szablę i położyłem na kolanach. Murath mógł wygrać walkę, ale kiedy przyjdzie wziąć dziewczynę znajdzie tylko pozbawione głowy zwłoki. Nie powinna wpaść żywa w jego ręce.

Przyglądałem się szczupłemu, drobnemu kawałkowi ciała i kląłem zdumiony, że wąża kobieta może ściągnąć śmierć na tak wielu silnych mężczyzn. Doprawdy Gwiazda Królów przyświeca narodzinom pięknej kobiety, Król Śmierci śmieje się w głos, a kruki ostrzą swoje czarne dzioby.

Była odważna. Wkrótce skończyła płakać, oczyściła i obandażowała moją ranną nogę za co byłem jej wdzięczny. Gdy byliśmy zajęci, dotarł do nas grzmot końskich kopyt i dojrzelśmy Muratha Khana. Jeźdźców było przynajmniej pięciuset, a może i więcej, a ich konie staniały się ze zmęczenia. Ściągnęli cugle, gdy zaczął się skalisty teren i patrzyli

zaciekawieni na wilczą bandę w wąwozie. Widziałem Muratha Khana — szczupłego, wysokiego, w połacanym hełmie przyozdobionym piórami czapli. Byli tam również; Kai Kadar, Marat Khan, Erkhan Khan, Mechmet el Ghor oraz Sangar Khan, wielki emir Kosalczyków. Murath stanął w swoich złotych strzemionach i osłonił dłonią oczy, następnie odwrócił się i powiedział coś do emirów. Widziałem, że rozpoznał Conana stojącego przy królu Horgoldzie. Kai Kadar pojechał kamienistym wąwozem dokąd mógł, złożył dłonie w trąbkę i zawołał głośno.

— Stuchajcie Zamorańczycy, Murath Khan, sułtan Balkhany, nie szuka z wami zwady, ale tam stoi jeden, który wykradł kobietę sułtanowi, zatem oddajcie ją nam i możecie odejść w pokoju.

— Powiedz Murathowi — odparł Conan — że póki będzie żył chociaż jeden z tych wojowników, nie będzie miał Ottairi Hydroc.

Tak więc Kai Kadar zawrócił do Muratha, który siedział na koniu niczym posąg.

Hyrkańczycy zaczęli dyskutować. A ja znowu byłem zdziwiony. Przecież wczoraj sułtan stoczył dziką bitwę i zniszczył swoich wrogów; teraz powinien w triumfalnym pochodzie tratować szerokie ulice Balkhany. Powinny powiewać karmazynowe sztandary i trąbić złote trąby, białorękie kobiety rzucałyby róże pod kopyta jego konia. A on był tu, daleko od miasta, daleko od pola bitwy, zmęczony i pokryty kurzem po ciężkiej jeździe, a wszystko z powodu szczupłej dziewczyny. Żądza Muratha i miłość Conana wciągnęły wszystkich w ten wir.

Wojownicy sułtana podążali za nim, ponieważ taka była jego wola; król Horgold przeciwstawił się mu, ponieważ w jego osobliwym mózgu zrodziło się coś, co szlachetnie urodzeni nazywali honorem; Trothgar, który nienawidził Conana walczył przeciwko sułtanowi, ponieważ kochał Horgolda, tym samym kierował się syn Skala Notroka i jego wojownicy. Ja, ponieważ Conan był moim towarzyszem broni.

Zobaczyliśmy, że Hyrkańczycy zsiadają z koni. Zorientowali się, że nie mogą szarżować na swoich zmęczonych koniach w tym terenie. Wspinali się na ściany wąwozów i głązy w swoich połacanych zbrojach, i ze zdobionymi srebrem szablami w dłoniach. Nienawidzili walczyć pieszo, nadchodzili, a wraz z nimi Murath i emirowie. Gdy zobaczyłem sułtana kroczącego ze swoimi ludźmi moje serce zapłonęło i znowu chciałem walczyć po jego stronie, a nie przeciwko niemu.

Pomyślałem, że Zamorańczycy zaatakują, gdy Hyrkańczycy będą przedzierali się z krzykiem przez wąwozy, ale wojownicy nie ruszyli się ze swoich miejsc. Chcieli, by wrogowie przyszli do nich. I przyszli.

Atak załamał się na ścianie tarcz jak woda, która załamuje się na mieliźnie. Poprzez wrzaski Hyrkańczyków przebijały się głębokie, rytmiczne okrzyki Zamorańczyków, trzask wbijających się w ciało toporów i świst szabel.

Zamorańczycy stali nieruchomo jak skała. Po pierwszym uderzeniu Hyrkańczycy zostali odrzuceni zostawiając półksiężyc porąbanych zwłok u stóp jasnowłosych olbrzymów. Hyrkańczycy napięli łuki i z bliskiej odległości wypuścili strzały, ale wojownicy króla ledwo pochylili głowy i groty odbiły się od ich rogatych hełmów lub rozbiły o wielkie tarcze. Hyrkańczycy znowu nadeszli. Patrząc z góry, z drżącą dziewczyną u boku, płońałem i zamarzałem naprzemian na widok rozpaczliwej bitwy. Ścisnąłem rękojeść szabli, aż krew zaczęła mi się sączyć spod paznokci. Znowu i jeszcze raz wojownicy Muratha, mimo szalonej waleczności, zostali odrzuceni od niewzruszonej, żelaznej ściany. Martwi mężowie tworzyli wysoką stertę, a nad ich okaleczonymi ciałami żywi cięli i dźgali. Zamorańczycy także padali, ale ich towarzysze deptali po nich i na powrót zwierali szeregi. Nie było wytchnienia, wciąż Murath ponaglał swoich wojowników i wciąż walczył pieszo wraz z nimi, a przy nim jego emirowie.

Wiedziałem, że Zamorańczycy to mocarni wojownicy, ale nigdy nie widziałem takich wojowników jak ci, którzy pochodzili ze wszystkich stron świata i teraz walczyli u boku króla Horgolda. Oni się nie męczyli, ich jasne oczy błyszczały dziwnym szaleństwem, a podczas walki śpiewali dzikie pieśni. Aj, rozdawali wspaniałe razy! Widziałem jak, syn Skala Notroka ciął Kosalczyka przez biodra tak, że nogi poleciały w jedną stronę, a korpus w drugą. Widziałem jak król Horgold zadał innemu Kosalczykowi taki cios, że głowa odleciała na dziesięć kroków od ciała. Widziałem jak Trothgar odciął Hyrkańczykowi nogę na poziomie uda chociaż kończyła była zakryta ciężką kolczugą.

Ale nie było nikogo straszniejszego w tej bitwie od mojego towarzysza broni, Conana.

Przysięgam, jego miecz był niczym powiew śmierci i nikt nie mógł stawić mu czoła. Jego twarz jaśniała dziwnie i mistycznie; jego, ramię sprawiało wrażenie jakby miało nadludzka moc i chociaż wyczułem oczywiste pokrewieństwo między nim, a dzikimi barbarzyńcami, którzy walczyli obok niego, to coś na kształt duszy oddzielało go od reszty.

Bitwa szalała bez przerwy. Wielu Hyrkańczyków padło, ale także wielu Zamorańczyków. Reszta odrzucana była już wolniej i powtarzała ataki aż w końcu walczone na plaży niemal pod występem, na którym znajdowałem się z dziewczyną. Tam wśród głazów formacja się załamała i bitwa zmieniła w pojedyncze walki. Król Horgold zebrał straszliwe żniwo. Na Croma, nie więcej niż stu Hyrkańczyków pozostało zdolnych do uniesienia miecza! Zamorańczyków zostało mniej niż dwudziestu.

Syn Skala Notroka i Erkhan Khan spotkali się twarzą w twarz właśnie, gdy miecz olbrzyma zaklinował się w hyrkańskiej czaszce. Erkhan Khan krzyknął i uniósł szablę, ale zanim zdołał uderzyć, olbrzym krzyknął i skoczył jak wielki lew. Jego stalowe ramiona objęły ogromne ciało Kuigara, i przysięgam, słyszałem wśród bitewnego zgiełku trzask kości Erkhana. Wtedy syn Skala Notroka cisnął nim o ziemię, zdruzgotał i zabił. Sam wyrwał topór z ręki umierającego towarzysza i podbiegł do Muratha Khana. Wyrósł jednak przed nim Kai Kadar. Mimo, że Zamorańczyk uderzył, Hyrkańczyk przebił szablą jego kolczugę i wpakował mu ostrze między żebra. Padli obydwaj.

Zobaczyłem, że Conan jest otoczony i krwawi. Wstałem i odezwałem się do dziewczyny: — Crom cię ochroni, a Conan walczy i umiera samotnie, więc muszę iść, by paść obok niego.

Jak marmurowa statua oglądała przez chwilę walkę.

— Idź, w imię Croma — powiedziała — niech Jego moc doda siły twemu ramieniu, ale zostaw mi sztylet.

Tak więc zawiodłem zaufanie przyjaciela, pospiesznie zsunąłem się z występu i udałem na plażę, która była wydeptanym polem bitwy. Szablę niosłem w prawej ręce. Kiedy dotarłem na miejsce, ujrzałem jak Sangar Khan walczy na miecze z królem Horgoldem podczas, gdy Trothgar ze zjeżoną brodą rozdzielał na wszystkie strony potężne uderzenia swym okrwawionym toporem. Do króla Horgolda podbiegł z boku Mechmet el Ghor i ciął go w kolczugę tak, że krew bluznęła królowi na pas. Trothgar krzyknął jak dzika bestia i pchnął Mechmeta, który zachwiał się na nogach. Trothgar zadał mu uderzenie, które rozcięło kolczugę jak materiał, odcięło ramię i rozłupało kości klatki piersiowej. Aż drzewce rozłupało się w dłoniach Zamorańczyka. Niemal w tej samej chwili Sangar Khan ciął króla Horgolda w lewe przedramię. Ostrze przecięło ciężki, złoty naramiennik i naruszyło kość, ale sędziwy król rozłupał czaszkę Kosalczyka jednym uderzeniem. Conan i Marat Khan walczyli, a Hyrkańczycy zewsząd napływali próbując zadać Cymmeryjczykowi uderzenie, które by go powaliło i ochroniło ich emira. Nietknięty szedłem przez złane krwią bitewne pole, przechodziłem nad martwymi i konającymi mężczyznami i nagle stanąłem twarzą w twarz z Murathem Khanem.

Jego szczupła twarz była wymizerowana, a oczy zamglone. Szablę miał czerwoną aż po rękojęść, nie miał tarczy, a jego kolczuga była pocięta i rozerwana w wielu miejscach. Dojrzał mnie i ciął, nasze ostrza szczepiły się rękojęść przy rękojęści. Naparłem z całych sił i przemówiłem:

— Murath Khanie, dlaczego jesteś głupcem? Co dla ciebie znaczy turańska dziewczyna, dla ciebie, który możesz być władcą połowy świata? Bez ciebie Balkhana padnie, rozsypie się w pył. Idź swoją drogą i zostaw dziewczynę Cymmeryjczykowi.

Ale on tylko zaśmiał się śmiechem szaleńca i uwolnił szablę. Ponownie doskoczył uderzając, napiąłem nogi i sparowałem jego uderzenie, a następnie od dołu wbiłem swoją szablę w miejsce gdzie miał rozerwaną kolczugę. Weszła mu pod serce. Przez chwilę stał sztywno z otwartymi ustami, a gdy wyciągnąłem ostrze, osunął się na przesiąkniętą krwią ziemię i skonał.

— I tak zgasła kolejna nadzieja Hyrkanii i chwała Balkhany — powiedziałem z goryczą.

Gromki krzyk wydali pozostali przy życiu Hyrkańczycy. Znieruchomieli, zmęczeni i poplamieni krwią. Poszukałem wzrokiem Conana; stał chwiejąc się nad nieruchomą postacią Marat Khana i gdy spojrzałem, uniósł swój miecz i wskazał falujące morze. Wszyscy żyjący spojrzeli w tamtą stronę. Długi obcy statek sunął przy brzegu. Miał niskie śródokręcie, wysoką rufę i dziób rzeźbiony w głowę smoka. Długie wiosła wbijały w spokojną wodę olbrzymi, jasnowłosi wiosłarze, pomagając sobie przy tym rytmicznymi okrzykami. W tym czasie, gdy my na nich patrzyliśmy, Conan zgiął się w pół i padł obok Marat Khana. Hyrkańczyki też mieli dosyć walki. Ci, którzy mogli uciekać, zabrali ze sobą nieprzytomnego Kai Kadara. Podeszedłem do Conana i poluzowałem mu kolczugę, gdy to robiłem, zostałem odsunięty przez Ottairi, która zaczęła szlochać nad ciałem Cymmeryjczyka. Pomogłem jej zdjąć z niego kolczugę i na Croma, kolczuga składała się z pokrwawionych strzępów. Miał głęboką ranę kłutą uda, a w ramieniu drugą. Większość kolczugi była pocięta i odstaniała jego pokaleczone ramiona. Ostrze przecięło stalowy hełm i czepiec, powodując szeroką ranę

głowy. Ale żadna z tych ran nie była śmiertelna. Był nieprzytomny z wyczerpania, stracił dużo krwi i okropnie go zmęczyły minione dni! Król Horgold miał wiele lekkich ran, a jedną głęboką w okolicy żeber. Trothgar krwawił z rozcięć na twarzy i rozciętych mięśni klatki piersiowej, utykał również na jedną nogę. Z pół tuzina wojowników, którzy pozostali przy życiu, żaden nie był bez rany, czy stłuczeń. Dziwną i przerażającą bandę tworzyli w swoich postrzępionych i karmazynowych od krwi kolczugach, i orężem w rękach.

Teraz król Horgold próbował pomóc dziewczynie i mnie zatamować krew wypływającą z Conana, a Trothgar kłął, ponieważ król nie pozwolił wpiąć obojczyk swoich ran. Galera dobiła do brzegu i wojownicy wylegli na plażę. Ich wódz, wysoki, potężny mężczyzna z długimi, czarnymi włosami, popatrzył na zwłoki syna Skala Notroka i wzruszył ramionami.
— Crom kocha dzielnych wojowników — tylko tyle powiedział.

— Będzie ucztował tej nocy za jego stołem.

Później Zamorańczycy podnieśli Conana i pozostałych rannych, i zabrali ich na pokład statku. Dziewczyna uczepliła się zakrwawionej ręce Cymmerjczyka i nie patrzyła na nikogo, ani nie myślała o nikim, tylko o nim. To charakterystyczne dla kobiet.

Król Horgold usiadł na kamieniu i gdy jego bandażowano, mnie ogarnęła groza, gdy patrzyłem jak siedzi z mieczem na kolanach, a białe loki rozwiewa mu wiatr. Jego wygląd przywołał na myśl sędziwego króla z jakiejś starej legendy.

— Czungaju — powiedział do mnie — nie wytrzymasz w tym nagim kraju. Chodź z nami.

Ale ja potrząsnąłem głową.

— Nie, mój panie, może wytrzymam. Ale o jedno proszę; niech jeden z twoich wojowników przyprowadzi tutaj rumaki, które zostawiliśmy poniżej plaży. Nie mogę już więcej chodzić z tą ranną nogą.

Konie przyprowadzono i byłem tak ożywiony, iż pomyślałem, że jadąc wolno i często zmieniając konie, mogę wydostać się z tego pustkowia.

Król Horgold zawahał się, gdy wszyscy znaleźli się na pokładzie, zwrócił się do mnie jeszcze raz.

— Chodź z nami wojowniku! Droga morska jest dobra dla wędrowców i bezdomnych mężów. Chodź!

— Nie — odrzekłem — tutaj kończy się Szlak Krawan. Walczyłem obok królów i widziałem jak giną sułtani, kręci mi się w głowie ze zdumienia. Zabierzcie Conana i dziewczynę, i kiedy będą opowiadać swoim synom opowieść o dalekim lądzie, niech wspomną czasem Tobrak Torra. Ale ja nie mogę płynąć z wami! Na tym lądzie padła Balkhana, ale są inni hyrkańscy władcy, którzy potrzebują mojego miecza.

I tak, siedząc na moim rumaku, patrzyłem jak statek niknie na zachodzie. Moje oczy rozróżniały sędziwego króla stojącego jak szara statua na rufie, z mieczem uniesionym w geście pozdrowienia. W końcu galera zniknęła w błękitnej mgiełce, która wynurzyła się ze spokojnych morskich fal.

ROZDZIAŁ V

Bitwa nad Morzem Vilayet tak wyczerpała Conana, że wiele miesięcy musiał się leczyć. Gdy odzyskał siły postanowił zabić Vilema Hydroca za zdradę jakiej się dopuścił i za cierpienia jakich doznała Ottairi, lecz okazało się, że zbiegł on z Ghori. Dopiero po dwóch latach udało się Conanowi wpaść na jego trop. Ślad prowadził do Yota-Pong w Kosłi.

SMAK ZEMSTY

Wysoka postać w białym płaszczu odwróciła się płynnym ruchem, chwytając dłonią rękojeść scimitara.

Człowiek nie pojawiał się nocą na ulicach Yota-Pong bez ważnego powodu w tych niespokojnych dniach. W ciemnym, krętym zaułku obskurnej nadrzecznej dzielnicy Manga wszystko mogło się zdarzyć.

— Czego łazisz za mną, psie? — głos był chrapliwy, z ostrym, akcentem cechującym mieszkańców okolic Kara-Shehr. Z cieni wyłoniła się druga, wysoka postać. Odziana była, podobnie jak pierwsza, w biały jedwabny płaszcz, lecz w przeciwieństwie do tamtej nie nosiła spiczastego hełmu.

— Nie chodzę za tobą — głos nie był tak gardłowy jak Kosalczyka, akcent też był odmienny — nie nazywaj mnie psem bo twoja głowa potoczy się po bruku. Czyż cudzoziemiec nie może przejść się ulicą nie będąc narażonym na zniewagi byle zataczającego się pijaczyny, co wylazł z rynsztoka?

Gniewne wzburzenie w głosie mówiącego nie było udawane, tak jak i podejrzliwość w głosie tamtego. Patrzyli na siebie wyzywająco, ściskając naprężonymi z gniewu dłońmi rękojeść broni.

— Śledzą mnie od zmroku — rzekł przepaszając Kosalczyk. — Słyszałem ukradkowe kroki w ciemnych ulicach. Teraz ty pojawiaasz się niespodzianie, w miejscu jak najbardziej stosownym dla dokonania mordy

— Crom pomieszał ci w głowie — zaklął gniewnie drugi. — Po cóż miałbym cię śledzić?

— Zbłądziłem w tych zaułkach. Nie widziałem cię nigdy przedtem i mam nadzieję, że nigdy cię znów nie ujrzę. Jestem Volter Urpaso z Shadizaru, ty psie, i dopiero co przybyłem do Kosali — dodał, jakby chciał się wyładować z przepętniającej go złości.

— Wydawało mi się, że twój akcent wskazuje na Turańczyka — rzekł Kosalczyk. — To nieistotne. Zamorański miecz można wynająć również łatwo jak i turański, a...

— Na brodę Cromy — wykrzyknął Zamorańczyk, w porwywie nieopanowanej wściekłości wyszarpując miecz; to ukradkowe stąpienie spowodowało, że odskoczył w tył, obracając się tak, by miecz na oku zarówno Kosalczyka jak i przybyłych, których niespodziewanie wyczuł za plecami. Ale Kosalczyk wyciągnął swoją szablę, patrząc wściekle poza niego. Trzy ogromne postacie wynurzyły się groźnie z cienia, mdłe światło gwiazd zamigotało na szerokich, zakrzywionych klingach. Przez chwilę trwali sprężeni, potem jeden z nich mruknął ochryplym, stłumionym, gardłowym głosem.

— Który z nich jest tym psem? Obaj są jednak odziani, a mrok czyni z nich bliźniaków.

— Usieczmy ich obu — odparł drugi, o pół głowy górujący nad wysokimi kompanami. — Nie wolno nam się omylić ani zostawić świadka.

To powiedziawszy, trzech przybyszy zbliżyło się w śmiertelnej ciszy, olbrzym nacierając na Zamorańczyka, dwóch pozostałych na Kosalczyka.

Volter Urpaso nie czekał na atak. Warknąwszy przekleństwo ruszył na zbliżającego się kolosa i wściekle ciął go przez głowę. Olbrzym złapał cios na wzniesioną klingę i stęknął pod uderzeniem. Ale w następnej chwili, z mylącym zwodem, nagłym ruchem zahaczył o ostrze Zamorańczyka pod gardą i wytracona z ręki przeciwnika broń zadźwięczała na bruku.

Okropne przekleństwo wyrwało się z ust Voltera. Nie oczekiwał, że natknie się na taką kombinację zręczności i brutalnej siły. Ale rozplomieniony szalem walki nie wahał się. W chwili gdy olbrzym wzniosł wysoko szeroki scimitar, Zamorańczyk z dzikim wojennym okrzykiem skoczył pod jego uniesionym ramieniem i zatopił sztylet aż po rękojeść w szerokiej piersi. Na przegub Voltera trysnęła krew, scimitar opadł chwiejnie, przecinając jedwabną kefię i ześlizgując się po ukrytym pod nią stalowym czepcu. Konający olbrzym osunął się na ziemię.

Volter Urpaso podniósł swój miecz i rozejrzał się za swym poprzednim przeciwnikiem.

Kosalczyk przyjął atak dwóch czarnych z zimną krwią, cofając się powoli tak, by miecz ich przed sobą i nagle ciął jednego przez pierś i barki tak, że człowiek ów upuścił oręż i z jękiem padł na kolana. Lecz padając, uchwycił kolana swego zabójcy w kurczowy uścisk, trzymając się go jak bezmózga pijawka. Kosalczyk nadaremnie kopał i wrywał się; wzdęte stalowymi muskułami, czarne ramiona unieruchomiły go, tymczasem drugi czarny podwoił furię swych ciosów. Kosalczyk nie mógł ani cofnąć się, ani postąpić naprzód, nie mógł też pozwolić sobie nawet na jedno błyskawiczne śmignięcie klingą, które uwolniłoby go od zmory. W chwili gdy czarny szermierz zaczął wreszcie tchu do ciosu, którego skrępowany Kosalczyk nie mógłby odparować, posłyszał za sobą szybkie, nagłe stąpienia i rzuciwszy dzikie spojrzenie przez ramię ujrzał tuż obok siebie Zamorańczyka, z płonącymi oczyma, lśnącymi w gwiazdnej poświacie. Nim murzyn zdołał zwrócić się ku niemu, miecz Voltera przeszył go z taką furją, że klinga weszła na całą długość i wyszła przodem z piersi, a rękojeść uderzyła gwałtownie pomiędzy łopatkami. Z nieartykułowanym okrzykiem czarny wyzionął ducha. Kosalczyk walnął rękojeścią scimitara wygoloną czaszkę drugiego, otrząsnął się, uwalniając od zwłok i zwrócił do Zamorańczyka, wydobywającego swój miecz z przebitego nim, skurzonego ciała.

— Czemu przyszedłeś mi z pomocą? — zapytał Kosalczyk. Volter Urpaso zbył pytanie wzruszeniem szerokich ramion.

— Napastowali nas obu — rzekł. — Los uczynił z nas sprzymierzeńców. Teraz, jeśli sobie życzysz, możemy podjąć na nowo naszą sprzeczkę. Rzekłeś, iż cię szpiegowałem.

— Ale pojąłem swą omyłkę i usilnie proszę o wybaczenie — niezwłocznie odparł tamten.

— Teraz już wiem, kto skradał się za mną ciemnymi ulicami.

Włożywszy do pochwy swój scimitar, przechylał i odwracał każde z ciał, przyglądając się badawczo okrwawionym twarzom. Zatrzymał się dłużej przy zwłokach wielkoluda zabitego sztyletem przez Zamorańczyka i niebawem mruknął cicho, jakby do siebie: — Oho, Oceles

Zabijaka, pierwszy łucznik Sokira, łucznik, którego kołczan wysadzany jest perłami.

I ściągnąwszy z bezwładnego, czarnego palca ciężki, dziwacznie szlifowany pierścień, wsunął go za pas a następnie chwycił trupa za odzienie.

— Pomóż mi, bracie — powiedział. — Pozbądźmy się tej padliny, by nikt o nic nie pytał.

Bez słowa Volter Urpaso uchwycił w każdą rękę zbroczony krwią kaftan i podążając za Kosalczykiem powlókł ciała ciemnym smrodliwym zaułkiem, w środku którego wznosiła się popękana cembrowina zrujnowanej, zapomnianej studni. Ciała pograżyły się w otchłań głowami naprzód i głęboko poniżej uderzyły z ponurym pluskiem o taflę wody; z cichym śmiechem Kosalczyk obrócił się do Zamorańczyka.

— Crom uczynił z nas sprzymierzeńców. Jestem twym dłużnikiem.

— Niczego nie jesteś mi dłużny — raczej opryskliwie odpowiedział Zamorańczyk

— Słowami nie wyrównasz góry — ciągnął Kosalczyk spokojnie — jestem Retrang Mood.

Wyjdźmy razem z tego gniazda rozbójników i porozmawiajmy.

Volter Urpaso raczej niechętnie schował swój szeroki miecz do pochwy, jakby odrzucał pokojową propozycję Kosalczyka; poszedł jednak za tamtym, nie czyniąc uwag. Droga wiodła przez mroczne, zaszczurzone, śmierdzące zaułki, przecinała wąskie, kręte ulice cuchnące od odpadków. Yota-Pong było wówczas, tak jak i później, miastem niebываłych kontrastów między wspaniałością, a rozkładem pociemniałych od dymu ruin zapomnianych osad; rojowisko prostych przedmieść skupiało się wokół murów Ndele, zakazanego, wewnętrznego miasta gdzie mieszkał król i jego dostojnicy.

Niebawem weszli do nowszej i bardziej szacownej dzielnicy, gdzie wiszące balkony o bogatych, witrażowych oknach, wykładanych cedrem i masą perłową niemal stykały się ze sobą ponad wąską ulicą.

— Wszystkie kramy są ciemne — mruknął Volter. — Kilka dni temu od zmierzchu do brzasku w mieście było jasno jak w dzień.

— To był jeden z kaprysów Tebinadora — powiedział Kosalczyk.

— Teraz ma inny, więc ani jedno światło nie pali się na ulicach. Mitra jeden wie, w jakim humorze będzie jutro.

— Mitra wie wszystko — zgodził się Zamorańczyk i spochmurniał.

Kosalczyk przygrzył cienki, zwisający wąs jakby skrywając uśmiech. Zatrzymali się przed osadzonymi, w ciężkim kamiennym sklepieniu okutymi żelazem drzwiami i Retrang ostrożnie zapukał. Z wewnątrz dobiegło wezwanie, odpowiedzi w gardłowym kosalskim szwargocie Volter Urpaso nie zrozumiał. Drzwi otwały się i Retrang Mood przecisnął się przez nie w gęsty mrok, pociągając za sobą Zamorańczyka. Usłyszeli jak drzwi zamykają się za nimi, ciężka skórzana zasłona uniosła się, odsłaniając oświetlony kagankiem korytarz i pokrytą bliznami twarz starca, którego srogie wąsiska zdradzały rodowitego Kosalczyka.

— To stary żołnierz, który został szynkarzem — powiedział Retrang do Zamorańczyka. — Noremonie, wskaż nam izbę, w której będziemy sami.

— Wszystkie izby są puste — sarknął stary człowiek, kuśtykając przed nimi. — Jestem zrujnowany odkąd król zakazał wina, oby Crom pokarał go podagrą, ludzie boją się tknąć kubka.

Kłaniając się uniżenie wprowadził ich do małej izdebki, rozpostarł maty, postawił duży półmisek z cytrusami, orzechami pistacjowymi i rodzynkami z Peschkauri, nalał im wina z wydmętego, skózanego bukłaka i utykając wycofał się, mamrocząc coś bezdźwięcznego.

— Na Kosalę spadła kara bogów — wycedził Kosalczyk leniwie, pijąc łapczywie trunku.

Wysoki, szczupły lecz silnie zbudowany, miał przenikliwe ciemne oczy, biegające niespokojnie bez chwili przerwy. Jego płaszcz choć prosty, uszyty był z kosztownej materii, spiczasty hełm cyzelowany był srebrem, a na rękojeści scimitara połyskiwały klejnoty. Siedzący na przeciw Volter Urpaso miał też jakieś jastrzębie cechy powierzchowności, właściwe mężom żyjącym z wojny. Zamorańczyk był równie wysoki jak Kosalczyk, jednak członki miał bardziej umięśnione, a klatkę piersiową szerszą. Gładko ogolona twarz, widoczna spod białej kefi była jaśniejsza niż cera Kosalczyka — ciemny kolor skóry zawdzięczał bardziej słońcu niż karnacji. Jego spokojne błękitne oczy były zimne jak hartowana stal, choć tliło się w nich zarzewie burzliwych ogni. Łyknął wino mlaskając aprobującą wargami, a Kosalczyk wyszczerzając zęby w uśmiechu ponownie napełnił mu kielich.

— Jak wiedzie się ludziom w Zamorze, bracie?

— Odkąd zmarł król Afatum Alamanazor, kiepsko — odparł Zamorańczyk — książę Ruamon to słabeusz. Nie potrafi utrzymać w karchach możnych panów, z których każdy pragnąłby utworzyć niezależne państwo. Kraj jęczy pod ciężarem wojny domowej, a turańskie królestwo z roku na rok staje się potężniejsze. Tylko silna ręka mogłaby jeszcze

ocalić Zamorę. Lecz takiej nie masz w całym kraju.

— Możliwy ją odnaleźć w Kosali — zauważył Retrang. — Mamy tu wielu potężnych emirów, którzy kochają się w dzielnych mężach. Dla takiego miecza jak twój zawsze znalazłoby się miejsce w szeregach Kosalczyków.

— Nie jestem Kosalczykiem, ani niewolnikiem — burknął Volter.

— Zaiste nie jesteś — głos Retranga brzmiał miękko; cień uśmiechu przewinął się przez wąskie wargi. — Nie lękaj się. Jestem twym dłużnikiem i potrafię dochować tajemnicy.

— Co to znaczy? — Zamorańczyk gwałtownie poderwał jastrzębią głowę, błękitne oczy poczęły się żarzyć, żylasta ręka poszukała rękojeści miecza.

— Słyszałem twój okrzyk w wirze walki, kiedyś uderzał na czarnego wojownika — rzekł Retrang. Tak krzyczą podczas bitwy barbarzyńcy z północy. Jesteś Cymmeryjczykiem. W jednej chwili Zamorańczyk zerwał się na równe nogi z obnażoną bronią. Lecz Retrang ani drgnął; sączył swoje wino, półleżąc wygodnie na poduszkach.

— Nie lękaj się — powtórzył — Powiedziałem, że zachowam twój sekret. Zawdzięczam ci życie, a człowiek taki jak ty nigdy nie mógłby być szpiegiem. Zbyt łatwo wpadasz w złość, zbyt jesteś szczerzy w gniewie. Mogłeś wejść między Kosalczyków z jednego tylko powodu — by szukać zemsty na wrogu.

Zamorańczyk stał przez chwilę nieruchomo, stopami sprężonymi jak do ataku, z płaszczem odrzuconym i odsłaniającym napięte mięśnie potężnego, umięśnionego ramienia. Patrzył groźnie, lecz niezdecydowanie, stojąc tak, znacznie mniej niż uprzednio przypominał Zamorańczyka. Dławiące napięcie trwało przez chwilę, po czym wzruszywszy krzepkimi ramionami fałszywy Zamorańczyk usiadł z powrotem, kładąc jednak miecz na kolanach.

— Dobrze więc — rzekł otwarcie, odrywając brązową dłońią wielkie grono winogron i wpychając je do ust. Żując ciągnął — jestem Conan z Cymmerii. W Kosali szukam swego wroga.

— Kto nim jest? — zapytał z zainteresowaniem Retrang.

— Turańczyk, renegat, którego zwą Vilem Hydroc, oby psy ogryzły jego kości.

Kosalczyk drgnął. — Na Croma, wysoko mierzysz. Czy wiesz, że człek ten jest teraz księciem i dowodzi oddziałami królewskimi?

— Na świętego Vaala — odrzekł Cymmeryjczyk — to rzecz bez znaczenia, równie dobrze może być sobie zamiataczem ulic.

— Twoja krwawa wendeta może cię daleko zaprowadzić — skomentował Retrang. — Jak do tego doszło?

— Otóż, trzy lata temu dowodziłem oddziałem najemników, eskortujących księżniczkę Ottairi z Aghrapur w drodze do twierdzy Ghori. A, że dziewczyna była piękna, zakochałem się w niej. Ja też nie byłem jej obojętny. Po kilku dniach od przybycia do Ghori, zapragnąłem ją zobaczyć, lecz cóż się okazało, Ottairi nie było w Ghori ani w zamku jej wuja Vilema Hydroca, do którego przybyła. Dziewczyna po prostu zniknęła. Nawet jej wuj, nie mógł wytłumaczyć, gdzie się podziała. Podejrzewając jakiś podstęp, próbowałem dostać się do jego zamku, by go przeszukać, ale zostałem zatrzymany przez wartownika.

Wywiązała się między nami walka, w której okazałem się lepszy. Umierający żołnierz opowiedział mi o zdradzie Hydroca, który zamierzał oderwać Ghori od królestwa Khawarizm. Hyrkański sułtan, władca Balkhany, obiecał mu pomoc w odpowiednim momencie. Hydroc w dowód dobrej woli wysłał Ottairi do niego pod eskortą Kosalczyków.

Nie namyślając się długo ruszyłem w pościg. Dni i noce zlewały się w jedno, nie jadłem, nie piłem, nie spałem. Po drodze spotkałem Tobrak Torra, Czungaja, któremu ocalałem kilka lat temu życie. Wspólnie ruszyliśmy w pościg. Gdy dotarliśmy do obozu, w którym była przetrzymywana Ottairi po krótkiej walce wykradliśmy ją, lecz Hyrkańczycy nie zrezygnowali z niej. Jeszcze dwukrotnie musieliśmy z nimi walczyć. Za pierwszym razem pomogli nam kuigarscy rabusie walczący z Murathem, lecz przegraliśmy bitwę i nadal musieliśmy uciekać. Powtórnie starliśmy się nad Morzem Vilayet. Tym razem pomógł nam stary król Horgold, będący od wielu lat na wygnaniu ze swoimi ludźmi. Od momentu gdy przegrał walkę o tron z Yildizem, tuła się po świecie. Tym razem bitwę wygraliśmy, to była mordercza walka, zginęło wtedy wielu wspaniałych i dzielnych wojowników. Zginął również Murath Khan. Na jedynej ocalałej galerze dopłynęliśmy do Khawarizm, gdzie Ottairi i ja zostaliśmy, natomiast Horgold odpłynął na swą tułaczkę. Blisko rok leczyłem rany na dworze króla Almuryka, gdyż dopiero na miejscu okazało się ile kosztowała mnie ta wyprawa. Odzyskawszy siły dowiedziałem się, że tymczasem Vilem zbiegł z Ghori, lękając się zemsty króla. Lecz król potrzebował mego miecza i minął rok nim mogłem wstąpić na ścieżkę zemsty. I znów rok szukałem go po różnych krajach przebrany za Zamorańczyka, których mowę i obyczaje poznałem przebywając w tym kraju. Dopiero niedawno

dowiedziałem się, że człowiek, którego szukam jest w Kosali.

Retrang zrazu nie odpowiedział, siedząc i przyglądając się badawczo rysom siedzącego przed nim męża, na których odcisnęła swe piętno nieujarzmiona przyroda dzikich, górskich krain, gdzie od wieków garstka wojowników przeciwstawiała się najazdom z północy i południa.

— Od jak dawna jesteś w mieście — spytał.

— Zaledwie kilka dni — mruknął Conan — wystarczająco długo, by dowiedzieć się, że król jest szalony.

— Powinieneś dowiedzieć się więcej — odwzajemnił Retrang.

— Zaiste Tebinador jest szalony — mówię cudzoziemcowi to, czego nie ważyłbym się rzec do Kosalczyka — lecz o tym wiedzą wszyscy, a ci którzy są jego poddanymi szemrają pod jego uciskiem. Trzy główne siły podtrzymują jego władzę. Po pierwsze renegaci z Ghori, na czele, których stoi Vilem Hydroc; po drugie czarni najemnicy, którzy pod wodzą Sokira z roku na rok rosną w siłę; i po trzecie rodowici Kosalczycy, wywodzący się z książęcych rodów i tworzący gwardię przyboczną króla, ich emirem jest Namrok es Amag. Pomiedzy nim, Vilemem Hydrocem i Sokirem zawiści i niechęci dość jest, by spowodować tuzin wojen. Vilem Hydroc trzy lata temu przybył do Kosali jako uciekinier i ubogi awanturnik. To, że otrzymał tytuł księżęcy zawdzięcza po części niewolnicy imieniem Berusa. Za plecami króla też kryje się kobieta: Hyrkanka Yarissa. Tylko, że z Tebinadorem żadna kobieta nie może igrać.

Conan odstawił pusty kielich i spojrzał wprost na Retranga. Cymmeryjczyk nie przyswoił sobie jeszcze wytwornych manier, które cechowały Kosalczyka. Cymmeryjczycy byli wciąż jeszcze barbarzyńcami. Conan wykazywał otwartą szczerą swych rodaków.

— Dobrze, co teraz? — zapytał — czy zamierzasz wydać mnie, czy też mówiłeś prawdę kiedyś rzekł, że zachowasz moją tajemnicę?

— Nie miłuję Yilema Hydroca — rzekł z zadumą Retrang, jakby do siebie, obracając w palcach pierścienie, zabrany czarnemu wielkoludowi.

— Oceles był psem Sokira, ale miecze najemników można kupić za złoto.

Podnosząc głowę odwzajemnił otwarte, prowokujące spojrzenie Conana.

— Ja też mam Hydrocowi dług do spłacenia — powiedział. — Uczynię więcej, niż tylko tając twój sekret. Pomogę ci w zemście.

Conan poderwał się i żelaznymi palcami ścisnął jak w imadle okryte jedwabiem ramiona Kosalczyka.

— Prawdę mówisz?

— Niech mnie Mitra skarże, jeśli mi zełgał — zaklął się Retrang. — Słuchaj, a ja wyłożę ci mój plan...

* * *

Podczas gdy w nielegalnym szynku Noremona Kosalczyk i Cymeryjczyk zbliżyli pochylone głowy, radząc nad ponurym spiskiem, wewnątrz solidnych murów Ndele doszło do zdumiewającego zdarzenia. Wśród rzucanych przez balkony cieni, skradała się zawołowana i zakapturzona postać. Po raz pierwszy od siedmiu lat ulicami Yota-Pong szła kobieta. Zdając sobie sprawę z potworności swego występu dygotała ze strachu, wywołanego nie tylko zaczajone cienie, które mogły ukrywać czyhających łotrzyków. Stopy w postrzępionych aksamitnych pantofelkach krwawiły na kamieniach. Od siedmiu lat szewcom w Yota-Pong zabroniono robienia dla kobiet obuwia, w którym mogłyby chodzić po ulicy. Tebinador zarządził, by zamknąć wszystkie kobiety w Kosali, bynajmniej nie jako klejnoty w skarbcach a raczej jak gadziny w klatkach. Chociaż odziana w byle jakie łachmany nie była prostą kobietą z gminu, przekradającą się z drzeniem po nocy. Wieść o niej pobiegnie już nazajutrz z zamku do zamku tajemnymi kanałami i rozparte na jedwabnych poduszkach mściwe, złośliwe kobiety będą śmiać się, rozradowane, z hańby swej siostry, tak niedawno będącej przedmiotem zazdrości i nienawiści. Rudowłosa Vendhyanka Berusa, faworyta Vilema Hydroca, dzierżyła w dłoniach większą władzę niż jakakolwiek inna kobieta w Kosali. A teraz, wyrzucona skradała się nocą i jak rozżarzone do białości żelazo paliła ją myśl, że pomagała swemu kochankowi i panu wspierać się na szczyty po to tylko, by inna kobieta korzystała z owoców tego trudu. Berusa pochodziła z rasy kobiet przywykłych, że przez swą piękność i rozum można rządzić tronami. Ona sama prawie nie pamiętała Vendhyi, z której dzieckiem porwali ją piraci z Iranistanu. Korsarz, który ją porwał i wychowywał w swoim zamku w Anschan, padł w bitwie z Kosalczykami. Jako czternastoletnia, uległa dziewczeczka, Berusa przeszła w ręce księcia z Kara-Shehr, marzycielskiego i zniewieściałego młodzieńca,

którego rychło owinęła sobie wokół różowego paluszka. Wówczas, po paru latach w Kosali wybuchła wojna domowa — grabież, rzeź, płomienie, walące się mury, śmiertelne wrzaski i rudowłosa dziewczyna, krzycząca w żelaznych ramionach roześmianego olbrzyma. Lecz należąc do kobiet, które władały mężczyznami Berusa ani nie straciła życia, ani nie zeszła do roli skamlącej zabawki. Miała naturę giętką jak młode drzewko, które ugnie się pod naporem wiatru, lecz nie da się wyrwać z korzeniami. Upłynęło niewiele czasu, choć nigdy nie udało jej się kręcić Vilemem Hydrocem tak jak chciała, stanęła ostatecznie na równej z nim stopie. A pochodząc z rasy kobiet „tworzących królów”, zapagnęła uczynić Vilema Hydroca władcą. Mąż ten miał rozum i niezwykłą żywotność, był silny umysłem i ciałem, potrzebował jedynie podniety dla swoich ambicji. Tą podniętą stała się Berusa. A teraz Vilem uznał, że jest całkowicie zdolny wspiąć się na błyszczące szczeble drabiny bez niej i wygnał ją precz. Bogowie obdarzyli go żądzami, których jedna kobieta, choćby najbardziej pociągająca, nie mogła w pełni zaspokoić, a ponieważ Berusa nie zniosłaby żadnej rywalki — kiedy do Hydroca uśmiechnęła się uległa Stygijka, świat rudowłosej Vendhyanki zawałił się. Vilem zdarł z niej szaty i wygonił na ulicę jak zwykłą dziwkę i tylko litości współczującej niewolnicy zawdzięczała okrycie nagości. Pochłonięta bolesnymi myślami wzdrygnęła się, ujrzawszy wysoką, zakapturzona postać, która wyszła z cienia balkonu i stanęła z nią twarzą w twarz. Szeroki płaszcz owijał ją ciasno, dół twarzy skrywał kaptur. Widziała przed sobą tylko błyszczące w świetle gwiazd, gorejące oczy. Z cichym okrzykiem cofnęła się, kuląc ze strachu.

— Niewiasta na ulicach zakazanego, wewnętrznego miasta — głos brzmiał osobliwie, głucho, niemal upiornie. — Czyż nie jest to wbrew rozkazom króla, oby żył w pokoju?

— Nie z własnej woli wybrałam ulicę — odparła. — Mój pan wygnał mnie precz i nie mam gdzie złożyć głowy.

Stał jakby wyrzeźbiony w pustce, jak zadumany wizerunek nocy i ciszy. Berusa przyglądała mu się z niepokojem. Było w nim coś posępnego i złowrogiego. Nie wyglądał jak człowiek rozważający słowa szukającej szansy niewolnej dziewczyny, raczej jak mroczny prorok obciążający zgubą grzeszników. W końcu podniósł głowę.

— Chodź — rzekł tonem raczej rozkazującym niż zapraszającym — znajdę dla ciebie miejsce.

I nie zatrzymawszy się, by sprawdzić czy go usłuchała, odszedł dostojnym krokiem ulicą. Pośpieszyła za nim, przytrzymując kurczowo zaszarganą suknię. Nie mogła całą noc włóczyć się ulicami; każdy oficer króla ściąłby jej głowę za pogwałcenie edyktu Tebinadora.

Nieznajomy mógł prowadzić ją do więzienia, ale nie miała wyboru. Milczenie towarzysza niepokoiło ją. Kilka razy spróbowała nawiązać rozmowę, ale jego ponura obojętność zmusiła ją do milczenia. Była zaciekawiona i dotknięta w swej próżności. Nigdy dotąd tak druzgocąco nie zawiodła się, usiłując wzbudzić zainteresowanie mężczyzny. Niejasno wyczuwała coś nieuchwytnego, czego nie mogła przewyciężyć — przerażającą, a normalną powściągliwość, której nie mogła dotknąć. Jej obawa rosła, ale szła za nim nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić.

Przemówił tylko raz, gdy, spojrzawszy za siebie przeraziła się ujrzawszy kilka ciemnych kształtów, skradających się za nimi.

— Idą za nami — zawołała.

— Nie zważaj na nich — odparł swym niesamowitym głosem — są tylko sługami Croma, którzy służą mu na swój sposób.

Tajemnicza odpowiedź przyprawiła ją o dreszcze. Nie padło już ani słowo, aż do chwili, gdy dotarli do małej, łukowato sklepionej furty, osadzonej w wysokim murze. Tam nieznajomy zatrzymał się i głośno zawołał. Odpowiedziano mu z wewnątrz i furta otworzyła się, ukazując czarnego sługę, trzymającego wysoko pochodnię. Jej blade lśnienie nadludzko wyolbrzymiało owiniętego w szatę nieznajomego.

— Ale to... to jest brama królewskiego pałacu — wyjąkała Berusa. W odpowiedzi mężczyzna ściągnął kaptur, odsłaniając długą, bladą, pociągłą twarz, w której gorzały te niesamowicie świecące oczy. Berusa z krzykiem padła na kolana.

— Tebinador!

— Tak, Tebinador, o grzeszne i zdradzieckie stworzenie — głuchy głos brzmiał jak dzwon pogrzebowy. Donośny i nieubłagany jak dźwięk spiżowych trąb sądu ostatecznego toczył się w noc. — O płocha i głupia niewiasto, która ośmieliłaś się zlekceważyć rozkaz króla będący rozkazem Boga. Która w grzechu depczesz ulice, odrzucając mandaty Wielkiego Władcy. Nie masz potęgi ni majestatu prócz Croma, wielkiego, wspaniałego. O Panie Świata czemuś wstrzymał swój boski ogień i nie spalił ją na popiół, by wszyscy ujrzeli i zadrżeli? Po czym, nagle zmieniając ton krzyknął ostro:

— Brać ją.

Tropiące ich cienie zbliżyły się. Byli to murzyni o ściągniętych niemych rysach. Kiedy ich palce zamknęły się na jej ciele Berusa zemdląła pierwszy i ostatni raz w życiu. Nie czuła jak dźwigają ją i niosą przez falujące kwiatami, pełne korzennych woni ogrody, przez korytarze z rzędami spiralnych kolumn ze złota i alabastru, i wnoszą do bezokiennej komnaty z łukowatymi drzwiami, wzmocnionymi złotymi sztabami i wysadzanych ametystami.

Vendhyanka odzyskała przytomność na pokrytej dywanami i zarzuconej poduszkami podłodze tej właśnie komnaty. Rozejrzała się wokół oszołomiona, po czym nagle wróciła jej pamięć przeżytej przygody. Z cichym okrzykiem jęła przerażonym wzrokiem szukać swego zdobywcy. Skuliła się znów ujrawszy go stojącego nad nią, z założonymi rękoma i pochyloną głową. Jego straszliwe oczy przepalały jej duszę.

— O panie — z wysiłkiem uniosła się na kolana, tchu jej zabrakło.

— Litości, litości.

Lecz mówiąc to, ze ściśniętym sercem uświadomiła sobie daremność błagania o litość kogoś, kto nie znał litości. Ten, przed którym płaszczyła się, był budzącym największą grozę monarchą na świecie; człowiekiem, którego imię przeklinały wargi Turańczyków tak samo jak Hyrkańczyków czy Kosalczyków; człowiekiem, który rozkazał zabić wszystkie psy, wyciąć wszystkie winnice, a całe wino i miód wylać; który wyklął gry hazardowe, skonfiskował mienie cudzoziemców, a ich samych wydał na ohydne tortury; który wierzył, że sprzeciwienie się jego rozkazowi, choćby najbliższemu, jest najczarniejszym z możliwych do wyobrażenia grzechów. Włączył się nocą ulicami, jak to robił przed nim Datarna, a po nim czynić będzie Dorbhala, aby sprawdzić czy jego rozkazy są przestrzegane. Tak więc Tebinador wpatrywał się w nią szeroko otwartymi, nieruchomymi oczyma i Berusa poczuła jak skóra jej schnie i cierpieć z przerażenia. — Bluźnierczyni — wyszeptał — Córo wszelkiego zła. O Mitro — krzyknął nagle, gwałtownym ruchem wyrzucając w górę ręce. — Jakąż karę należy obmyśleć dla tego demona? Jakie straszne męczarnie, jakie pohańbienie dostatecznie ohydne, by zadośćuczynić sprawiedliwości? Oświeć mnie Mitro. Berusa uniosła się na kolana, zrywając poszarpany woal. Wyciągnęła rękę, celując nią w jego twarz.

— Dlaczego wzywasz Mitrę — wrzasnęła histerycznie. — Wzywaj Tebinadora. Tyś jest Bogiem Tebinadorze, tyś jest najpotężniejszym z bogów.

Tebinador zatrzymał się w miejscu na jej krzyk. Zatoczył się i złapał za głowę krzycząc coś bezładnie. Potem wyprostował się i nieprzytomnie spojrzął w dół, na nią. Twarz jej była kredowo biała, szeroko rozwarte oczy wytrzeszczone i wpatrzone w niego. Jej wrodzone aktorstwo spotęgowało uświadomienie sobie okropności jej rozpaczliwego położenia. Dla Tebinadora wyglądała na oszołomioną i oślepioną wizją niebiańskiej wspaniałości.

— Coś rzekła, niewiasto? — sapnęła.

— Boskość objawiła mi się w twojej osobie — szepnęła. — W twej twarzy, jaśniejącej jak poranne słońce. Och nie, płonę, umieram w blasku twej chwały.

Zanurzyła twarz w dłoniach i skuliła się, dygocząc. Tebinador drżącą ręką przesunął po czole i skroniach.

— Bóg — wyszeptał — zaiste, jestem Bogiem, domyślałem się tego, śniłem o tym — ja i tylko ja posiadam mądrość wszystkich bogów. Teraz zobaczyła to śmiertelna niewiasta, rozpoznała Boga pod postacią człowieka. Zaiste, prawdziwą była nauka kapłanów — rzekł kierując spojrzenie na kobietę u swych stóp. W spojrzeniu szeroko otwartych oczu Tebinadora, wydawało się, że po raz pierwszy zobaczył ją wyraźnie.

— Wybaczone ci twój grzech — zaintonował. — Tyś była pierwszą, która powitała swego Boga. Odtąd w czci i splendorze będziesz mi służyła.

Berusa padła na twarz, całując dywan u jego stóp, a on klasnął w dłonie. Wszedł, z niskim ukłonem, eunuch.

— Idź szybko do domu Vilema Hydroca — powiedział Tebinador patrząc ponad głową sługi i zda się, w ogóle go nie widząc. — Powiedz mu: To słowo Tebinador, który jest Bogiem. Niech rozpoczną nazajutrz budowanie wież oblężniczych, niech szykują armie, tak jak tego pragnęło twe wojsko.

— Wysłuchałem i wypełnię, panie — wymamrotał eunuch, kłaniając się do ziemi.

— Wątpiłem i wahałem się — powiedział marzycielsko Tebinador, wpatrując się gdzieś daleko poza granice rzeczywistości, w jakieś jemu tylko widome, odległe królestwo. — Nie wiedziałem — a teraz wiem — że Vilem Hydroc był narzędziem przeznaczenia. Wahałem się, gdy usilnie nakłaniał mnie do podboju świata. Lecz jestem Bogiem, a bogowie mogą wszystko, o tak, wszystkie królestwa, cała chwała dla mnie.

* * *

Dwie zakapturzone postacie zatrzymały się przy grupie palm, pośród licznych ruin w Yota-Pong. Przed nimi leżały wody starego kanału, a za nim, wyrastając bezpośrednio z jego brzegu, wznosił się wysoki mur z suszonych na słońcu cegieł, umocniony bastionami, oddzielający królewski zamek od reszty miasta. Wewnętrzne miasto, wybudowane pół wieku wcześniej było w rzeczywistości gigantyczną fortecą chroniącą królów, ich sługi i najwierniejsze oddziały najemników, gdzie zwykłym ludziom wstęp był dozwolony tylko za specjalnym zezwoleniem.

— Moglibyśmy wspiąć się na mur — r mruknął Conan.

— I nie znaleźć się nic bliżej naszego wroga — odparował Retrang, szukając czegoś po omacku, w cieniu pod rosnącymi w zwartej kępie drzewami.

— Tu jest — szepnął Mood.

Conan ujrzał, że Kosalczyk grzebie w czymś, co robiło wrażenie bezkształtnej kupy marmuru. W tej okolicy znajdowały się wyłącznie ruiny, zamieszkałe przez jaszczurki i nietoperze.

— To starożytna pogańska świątynia, od dawna już rozwalona. Ludzie unikają jej z powodu przesądów ale skrywa więcej, niż ukazuje ten lasek palmowy.

Dźwignął na bok szeroką płytę, odsłaniając stopnie wiodące w dół, do czarnego, zięjącego otworu; Conan zmarszczył podejrzliwie brwi.

— To — powiedział Retrang, wyczuwając jego wątpliwości — jest wlot tunelu, który prowadzi pod murem i wychodzi wewnątrz stojącego tuż za nim domostwa Vilema Hydroca.

— Pod kanałem? — zapytał Cymmeryjczyk z niedowierzaniem.

— A tak, dawniej był to jeden z domów rozkoszy króla Iluratona, tego, który sypiał na wypełnianych powietrzem poduszkach unoszących się w basenie z żywym srebrem, strzeżonym przez lwy, a jednak zginął od sztyletu mścicielki, nie opłakiwany przez nikogo. W każdym ze swych pałaców i domów rozkoszy miał on przygotowane tajemne wyjścia. Zanim dom ten dostał się Vilemowi Hydrocowi zajmował go jego rywal, Namrok es Amag. Renegat nic nie wie o tym sekretnym przejściu. Mogłem użyć go już dawniej, lecz aż do tej nocy nie byłem pewien, czy chcę go zabić.

Z obnażoną bronią zesłi po omacku w dół kondygnacją kamiennych stopni i ruszyli naprzód w smolistej ciemności poziomym tunelem. Macając na ślepo palcami Conan stwierdził, że ściany, sufit i posadzka ułożone były z potężnych kamiennych bloków, przypuszczalnie wyszabrowanych z budowli, wzniesionych przez wcześniejszych władców, a teraz zrujnowanych. W miarę jak posuwali się naprzód, kamienie pod stopami stawały się śliskie, a powietrze przejmująco wilgotne. Conan wzdrygnął się i zaklął, gdy na kark spadły mu krople wody. Przechodzili pod kanałem. Trochę później ciemności nieco się rozjaśniły i krótko potem, po ostrzegawczym syknieniu Retranga jęli wspinać się inną kondygnacją kamiennych stopni. Na górze Kosalczyk przystanął i jął dłubać przy jakimś ryglu czy uchwycie. Panel przesunął się w bok i ze sklepionego, obitego materia korytarza wpłynęło nikiłe światło. Conan uświadomił sobie, że naprawdę przeszli pod kanałem i pod wielkim murem, i znaleźli się w zakazanych granicach tajemniczego Ndele. Retrang prześliznął się zwinnie przez otwór i gdy zrobił to również Conan, zamknął go za nim. Stał się on teraz jednym z paneli boazerii z sandałowego, inkrustowanego drzewa, niczym nie odróżniającym się od pozostałych. Bez wahania, jak człowiek znający drogę, Kosalczyk szybko ruszył korytarzem. Cymmeryjczyk, z mieczem w dłoni, poszedł za nim, rozglądając się bezustannie na prawo i lewo. Przeszli przez ciemną, aksamitną zasłonę i podeszli do osadzonych w łukowatym sklepieniu drzwi z inkrustowanego złotem hebanu. Krzepki murzyn, odziany tylko w suto marszczone jedwabne spodnie, który drzemał siedząc w kucki poderwał się, wywijając wielką szablą. Lecz nie krzyknął, jego twarz miała zwierzęcy wyraz niemowy.

— Brzęk stali obudzi domowników — mruknął Retrang, uchylając się od zataczającego szerokie łuki oręża eunucha. Czyniący daremne wysiłki czarnuch potknął się, gdy Conan podstawił mu nogę. Upadł jak długi i Kosalczyk przebił czarne ciało ostrzem swej broni.

— Szybko i bez zbytniego hałasu — zaśmiał się cicho Retrang.

— A teraz po prawdziwą zdobycz.

Ostrożnie spróbował drzwi, a Cymmeryjczyk wciągnął przez zęby powietrze, sprężył ramiona, a oczy poczęły mu płonąć jak polującym kotu. Drzwi otworzyły się do środka i Conan mijając Kosalczyka wpadł do komnaty. Retrang wszedł za nim i zamknął drzwi, siadając plecami do nich, roześmiał się na widok mężczyzny, który ze zdradzającym zaskoczeniem przekleństwem poderwał się z sof. — Dopadliśmy wilka w jamie, bracie. Ale Conan stał na wprost wprost uniesionego mieszkańca komnaty bez uśmiechu na

wargach, a Retrang ujrzał jak drży wzniesiony muskularną ręką miecz. Vilem Hydroc był słusznego wzrostu, zmysłowym mężczyzną o krótko przyciętych rudoblonde włosach i krótkiej, brązowej, starannie utrzymanej brodzie. Mimo tak późnej pory był całkowicie odziany, w jedwabnych szarawarach, pasie i aksamitnej szacie.

— Nie podnoś głosu, psie — poradził Cymmeryjczyk — bo poderżnę ci gardło.

— Widzę — spokojnie odparł Vilem Hydroc.

Spojrzenie błękitnych oczu spoczęło na Kosalczyku i Vilem zaśmiał się z cierpką drwiną.

— A więc umknąłeś żądnym krwi siepaczom? Myślałem, że do tego czasu spotkałeś już śmierć. Ale co się odwleczesz, to nie ucieczesz. Głupcze sam dajesz gardło pod nóż. Nie wiem jak wszedłeś do mej komnaty; lecz jeden mój okrzyk przywiedzie niewolników.

— Starodawne domy miewają starodawne sekrety — roześmiał się Kosalczyk. — Jeden z nich znasz — ściany tej komnaty wytłumią każdy krzyk. Innego — sposobu w jaki dostaliśmy się tu dziś w nocy — nie poznałeś i nie poznasz — odwrócił się do Conana.

— No, czemuś się zawahał?

Conan cofnął się i zniżył miecz. — Tam leży twój oręż — powiedział do zdrajcy, a Retrang zaklął, na wpół z oburzenia, na wpół z rozbawienia. — Podnieś go. Jeśli zdołasz mnie zabić, niech tak będzie. Ale sądzę, że to ty nie ujrzysz już nigdy wschodu słońca.

Zaciekawiony Vilem przyjrzał mu się badawczo:

— Nie jesteś Kosalczykiem — stwierdził.

Conan odrzucił na bok postrzępioną kefię.

— Conan, Cymmeryjczyk — rzekł cicho Vilem — mogłem się domyślić. No cóż, barbarzyńco, przebyłeś szmat drogi po to, by umrzeć. Poderwał ciężki scimitar, po czym zawahał się. — Nosisz zbroję, a mnie okrywa jeno jedwab i aksamit.

Conan kopnął hełm w jego stronę, a jedną z części rynsztunku rzucił niedbale w inną stronę komnaty.

— Pod twoją szatą dojrzałem błysk kolczugi — rzekł — ty także nosisz stalową koszulę.

Szanse mamy równe. Stawaj, psie moja dusza łaknie twej krwi.

Turańczyk pochylił się, założył hełm — i skoczył nagle, licząc, że zaskoczy przeciwnika.

Ale w pół drogi o jego scimitar zadźwięczał miecz Cymmeryjczyka aż sypnęły iskry i dwie długie, klingi jęły wirować, błyskać, wznosić się i opadać, migocząc w świetle kaganka.

Siekąc z wściekłością atakowali obaj, każdy tak zawzięcie nastając na życie drugiego, że nie przykładali wagi do prawideł wytwornej walki. Każdy cios zadawano z całą siłą i morderczą pasją. Takiej walki nie mogli prowadzić długo; desperacka zuchwałość musiała tak czy inaczej przynieść szybkie rozstrzygnięcie. Conan walczył w milczeniu, natomiast Vilem Hydroc pomiędzy ciosami śmiał się i szydził z przeciwnika.

— Psie — żwawa praca ramienia nie przeszkadzała obrotnemu językowi Vilema. —

Szkoda, że cię tu zabiję. Gdybyś mógł żyć, zobaczyłbyś zagładę tego przeklętego Turanu.

Myślisz, że tylko w poszukiwaniu schronienia przybyłem do Kosali? Przybyłem wykuć oręż na moich wrogów, zarówno Turańczyków jak i Irańczyków. Nalegałem, by król zbudował potężną armię, by podjął sztandar świętej wojny wspólnie z Hyrkańczykami. Plemiona wschodu dojrzały do tej wojny. Runiemy z Kosali na zachód z rykiem lawiny, która w miarę jak toczy się naprzód zyskuje impet i masę. Wedrzemy się do Turanu z pół milionem wojowników, zetrzemy na proch Ghori, a jej żołnierzy włączymy w nasze szeregi. Ugnie się przed nami Khawarizm i po trupach turańskich żołnierzy wpadniemy do zachodnich królestw. Conan wycharczał przekleństwo.

— Tebinador wahał się — śmiał się Vilem, parując ciosy ciężkiego miecza bez zakłócenia

swobodnego, równego oddechu. — Ale dzisiejszej nocy mnie wezwał, wracam prosto z pałacu, gdzie rzekł mi, że stanie się jak pragnałem. Ma nową fantazję; że jest Bogiem.

Nieważne. Turan jest zgubiony. Jeśli przeżyję, któregoś dnia „Ja” będę tam królem. A nawet gdybyś mnie zabił, nie zdołasz już powstrzymać Tebinadora. Wojna rozpocznie się, a haremy w całej Kosali zapelniają się turańskimi dziewczynkami...

— Z ust Conana wyrwał się dziki, chrapliwy krzyk. Uświadomił sobie wreszcie, że słowa Hydroca nie są czczą drwiną, lecz, że wyrażają rzeczywiste plany podboju. Z poszarzałą twarzą i płonącymi oczyma runął do ataku z nową dzikością, która wprawiła Retranga w osłupienie. Okolone brodą wargi Vilema przestały sypać szyderstwami. Cała jego uwaga skupiła się na odbijaniu ciosów Cymmeryjczyka, które były w jego oręż z siłą młota kowalskiego. Szczęk stali narastał, aż Retrang ściągnął usta uświadamiając sobie, że echo tego hałasu przeniknie przez tłumiące go ściany. Oczywista siła i bojowa furia Cymmeryjczyka zaczynała dawać efekty. Twarz Turańczyka bladła pod brązową opalenizną, oddech rwał się, stopniowo zaczął on ustępować pola. Z głębokich nacięć na szyi, ramionach i udach płynęła krew. Conan także krwawił, ale nie osłabiło to ślepego szału jego ataku. Vilem,

przyparty do obitej tkaniną ściany, nagle uskoczył w bok przed pchnięciem Cymmeryjczyka. Łapiąc równowagę, zachwianą niewykorzystanym pchnięciem, Conan poleciał do przodu i koniec miecza uderzył o kamienną ścianę pod obiciem. W tej samej chwili Vilem ciął go w głowę, wkładając w cios wszystkie swe gasnące siły. Mniej szlachetne ostrze pękłoby w zderzeniu z kamieniem, ale wykonany z wspaniałej stali miecz Cymmeryjczyka wygiął się lekko wpróż i odskoczył wyprostowany. Opadający scimitar rozszarpał hełm barbarzyńcy aż do czaszki, ale nim Vilem zdołał odzyskać równowagę, miecz Conana przeciął na wylot stalowe ogniwa kolczugi, kość biodrową i zgrzytnął o kręgosłup. Ze zdławionym okrzykiem Hydroc zatoczył się i padł, wnętrzności wypłynęły mu na podłogę. Przez krótką chwilę palce zaciskały kurczowo włosie ciężkiego dywanu, po czym osłabły. Oślepiiony krwią i potem Conan w milczącym szyderstwie raz za razem wbijał swój oręż w postać u swych stóp. Pijany furią tak, że nie rozpoznawał, iż wróg jest martwy, aż wreszcie Kosalczyk niemal z odrazą odciągnął go klnąc. Oszołomiony Cymmeryjczyk otarł z oczu pot i krew, i chwiejąc się, popatrzył w dół na nieprzyjaciela. Wciąż jeszcze kręciło mu się w głowie od ciosu, który rozłupał stalowy hełm. Zdarł go i cisnął na bok. Hełm był pełen krwi i szkarłatny strumień zalał twarz, oślepiając go. Klnąc nie na żarty jął po omacku, szukać czegoś do starcia krwi, gdy wtem poczuł palce Retranga.

Kosalczyk prędko wytarł krew z twarzy towarzysza i przesunął się, by przewiązać ranę szarpami oddartymi z własnego odzienia. Następnie wyciągnął zza pasa coś co Conan rozpoznał jako pierścień, zdjęty z palca czarnego zabójcy Oceleasa. Kosalczyk upuścił go na dywan w pobliżu zwłok Hydroca.

— Czemu to czynisz? — spytał Cymmeryjczyk.

— By omamić tych, co mścić się zechcą za krew. Na Croma, uchodźmy stąd szybko.

Niewolnicy Vilema muszą być wszyscy głusi lub pijani skoro się dotąd nie ocknęli.

I właśnie, gdy weszli w korytarz, w którym martwy niemowa wpatrywał się w malowany sufit niewidzącymi oczyma, usłyszeli dźwięki wskazujące, że domownicy czuwają — odległe stapania, niewyraźny szmer głosów. Pośpieszyli korytarzem do ukrytego wyjścia, weszli i szli po omacku w ciemnościach aż wynurzyli się ponownie w cichym gaju. Ciemna woda kanału odbijała blednące gwiazdy, a pierwsze oznaki brzasku zarysowały kontury miasta.

— Znasz drogę do pałacu Tebinadora? — spytał Conan. Opatrunek na głowie przesiąkł mu krwią, której cienka strużka sączyła się na kark. Retrang odwrócił się i stanął z nim twarzą w twarz.

— Pomogłem ci zabić zwykłego wroga — powiedział Kosalczyk. — Ale nie układałem się z tobą o wydanie mego króla. Tebinador jest szalony, lecz jego czas jeszcze nie nadszedł. Pomogłem ci w osobistej zemście, lecz nie w wojnie między narodami. Ciesz się z pomsty i pamiętaj, że kto lata zbyt wysoko opali sobie słońcem skrzydła.

Conan otarł krew i nic nie odpowiedział.

— Lepiej, by było gdybyś jak najszybciej opuścił miasto — powiedział Retrang, przyglądając mu się badawczo. — Myślę, że tak będzie bezpieczniej dla wszystkich zainteresowanych. Prędzej czy później ktoś odkryje, że zabiłeś Hydroca, ktoś, kto nie będzie ci nic dłużny. Zaopatrzę cię w pieniądze i konie.

— Mam jedno i drugie — odburknął Conan, ścierając krew z karku.

— I odjedziesz spokojnie? — nalegał Retrang.

— Czyż mam jakiś wybór? — odparł Cymmeryjczyk.

— Przysięgnij — zażądał Kosalczyk.

— Na Croma, aleś natarczywy — sarknął Conan. — Co ci po przysiędze takiego barbarzyńcy jak ja, ale dobrze, przysięgam na wszystkich bogów jakich znam, że opuszczę miasto nim słońce stanie w zenicie.

— Świetnie — Kosalczyk wydał westchnienie ulgi. — To dla twego dobra w tej samej mierze co i dla czegoś innego, co ja.....

— Rozumiem twoje motywy — mruknął Conan. — Chociaż nie było żadnych między nami zobowiązań, uznaj, że spłaciłeś dług i niech każdy działa jak uważa za stosowne. I odwróciwszy się, odszedł energicznie rozkołysanym krokiem.

* * *

Na zewnątrz Ndele przed świątynią Antholathira stanął kapłan Ethlathion. W zgromadzonej ciżbie panowało napięcie i gdy kapłan podniósł głos ludzie wzdrygnęli się i wbili paznokcie w smagłe dłonie. — I przeto iż nasz, przez bogów naznaczony władca, Tebinador jest z nasienia Terba, który był z krwi Radianesa, który był Ojcem Bogów, Bóg jest teraz wśród nas. Zaprawdę, Bóg sam w śmiertelnej postaci chodzi wśród nas. Przeto

nakazuję wam, wszystkim wiernym, przejrzeć na oczy i pokłonić się z czcią prawdziwemu Bogu, Panu Wszystkich Światów, Stworzycielowi, Temu co osadził na miejscu sklepienie niebieskie i utrzymuje je bez żadnych podpór, Wcieleniu Boskiego Rozumu, który jest Bogiem, który jest Tebinadorem, z nasienia Terba. Przez tłum przebiegł potężny dreszcz i nagle śmiertelną ciszę przerwał oszalały krzyk. Przed tłum wybiegł na wpół goły człowiek ze zmierzwionymi kudłami. Złapał kamień i cisnął nim, wrzeszcząc: „Bluźnierca”. Pocisk trafił kapłana w usta, wybijając zęby, a ten zatoczył się, z krwią ściekającą po brodzie. Tłum wzburzył się, zafalował i z przeraźliwym rykiem popłynął naprzód. Kosalczycy mogli znieść wszystko — głód, grabieże, masakry — lecz ten cios w podstawy ich religii był kroplą, która przepełniła czarę. Statecznych kupców ogarnęło szaleństwo, zastraszeni wieśniacy przeistoczyli się w demony o wściekłych oczach. Kamienie padały jak grad i coraz głośniejszy był wrzask jakby dzikich bestii lub opętanych. Ręce poczęły już szarpać szaty oszołomionego Ethlathiona, gdy strażnicy świątyni w kolczugach i spiczastych hełmach odpędziwszy tłum szablami unieśli przerażonego kapłana do świątyni, i zabarykadowali się w niej przed rozwścieczonym tłumem. Z bramy Iluratona wyjechał galopem oddział czarnych najemników Sokira, lśniących pozłotą pancerzy i jedwabiem płaszczy. Z wyróconymi białkami oczu, z radosnymi, szerokimi uśmiechami ukazującymi lśniące białe zęby, czarni jeźdźcy oblizywali wargi w okrutnym oczekiwaniu. Ciskane przez tłum kamienie grzechotały po pancerzach i obciągniętych skórą hipopotama tarczach, nie czyniąc szwanku. Jeźdźcy ponagliłi konie do szarży, siekąc zakrzywionymi szablami, a ludzie staczali się wyjąc, pod miażdżące kopyta ich koni. Buntownicy ustąpili, czmychając w popłochu do sklepów i w boczne uliczki, pozostawiając plac pokryty poskręcanyimi ciałami. Czarni jeźdźcy zeskoczyli z siodła i jęli wyłamywać drzwi sklepów i mieszkań, wynosząc naręcza łupów. Z domostw dobiegały kobiece krzyki. Wrzask, brzęk szkła, trzask krat okiennych i białe obleczone ciało uderzyło o bruk z impetem druzgoczącym kości. Przez zniszczone ozdobne okno wyrzała na dół rechocząca czarna twarz, cała trzęsła się ze śmiechu. Czarny jeździec rzucił się naprzód, wychylił z siodła i wbił włócznię w drgającą jeszcze na bruku kobiecą postać. Wielki Sokir, przybrany w jaskrawe jedwabie i polerowaną stal, przejechał między swą czarną sforą, nakazując odwrót. Czarni dosiedli koni, formując się za nim w szereg. Roztańczonym galopem przejechali ulicą, dzierżąc zatknięte na ostrzach włóczni skrwawione głowy — dobitny przykład dla zbuntowanych mieszkańców, którzy skuleni w kryjówkach dyszeli nienawiścią.

* * *

Zasapanego eunucha, który przyniósł wieści o zamieszkach i ich stłumieniu zastąpił szybko inny, który rzuciwszy się na twarz przed królem, krzyknął: — O Panie Wszystkich Światów, Vilem Hydroc nie żyje, słudzy naszli go zamordowanego we własnej komnacie, a obok niego pierścień Ocelesa, czarnego rębajły. Więc jego ludzie zakrzyknęli, że zamordowano go na rozkaz Sokira, i szukają Ocelesa w mieście, bijąc się z czarnymi. Pod słuchującą za zasłoną Berusa wydała okrzyk i zacisnęła pięści w przypiływie radości ze śmierci Hydroca. Mimo tego okrzyku w nieodgadnionym, nieobecny spojrzaniu Tebinadora nie zaszła zmiana — trwał niewzruszony, jakby odcięty od świata kontemplując tajemnicę. — Niech ich rozdzieli gwardia — rzekł — ziemską nienawiść nie może zmienić boskiego przeznaczenia. Hydroc nie żyje, lecz żyje Bóg. Trzeba znaleźć innego, który poprowadzi moje wojska do Turanu, a w międzyczasie niech rozpoczną budować maszyny oblężnicze. Czarni najemnicy mają utrzymać w posłuszeństwie tłum, dokąd nie pojmie on swego szaleństwa i grzechu herezji. Moim przeznaczeniem, które rozpoznałem, jest objawić się światu we krwi i ogniu, aż poznają mnie i pokłonią mi się wszystkie plemiona ziemi. Możesz odejść.

* * *

Noc już zapadła nad niespokojnym miastem, gdy Conan kroczył ulicami dzielnicy, przylegającej do dzielnicy zajmowanej przez Sokira i jego czarnych najemników. W tej zamieszkałej głównie przez żołnierzy części miasta za milczącą, niewypowiedzianą wprost zgodą Tebinadora światła paliły się, a kramy były otwarte. Co dnia w którejś z dzielnic wybuchały zamieszki — tłum był jak hydra o tysiącu głów, zmiażdżony w jednym miejscu powstawał na nowo w innym, klnąc, wrzeszcząc i ciskając kamienie. Zbryzgane krwią podkowy koni dudniły o bruk tam i z powrotem, od bramy Iluratona do

świątyni Saruna. Na ulicach pojawiali się teraz tylko zbrojni mężczyźni. Potężne, drewniane, okute żelazem wrota prowadzące do dzielnicy były zamknięte jak w czasach wojny domowej. Pod niskim łukiem wielkiej bramy Iluratona przegalopował oddział czarnych jeźdźców, blask pochodni pokrył purpurą obnażone szable, jedwabne płaszcze furkotały na wietrze, a czarne ramiona lśniły jak polerowany heban. Conan nie złamał przysięgi złożonej Retrangowi.

Gdyby Kosalczyk przypuszczał, że nie spełni jego żądania z pewnością wydałby go strażom. Cymmeryjczyk wyjechał z miasta zanim słońce wspięło się wysoko, kierując się na wzgórze. Lecz nie przysięgał jednak, że nie wróci. Zachód słońca zastał go jadącego przez niszczące przedmieścia, po których ukradkiem skradali się złodzieje i szakale. Szedł teraz pieszo ulicami, zachodząc do kramów, w których wojownicy z bronią obżerali się mięsem, orzechami, melonami i sączyli ukradkiem wino.

— Gdzie się podzieli ludzie Hydroca? — dopytywał się wąsaty Kosalczyk, wpychając garścią do ust migdałowe ciasteczka.

— Siedzą nadasani w swojej dzielnicy — odparł inny. — Klną się, że Hydroc został zarżnięty przez czarnych i okazują na potwierdzenie pierścień Oceleasa. Ten pierścień znają wszyscy. Lecz Oceles zniknął. Sokir przysięga, że nie miał z tym nic wspólnego, lecz nie może wytłumaczyć pierścienia. Z tuzin ludzi zabito w bijatykach, nim król rozkazał nam, rozdzielić ich. Na Croma to był dzień nad dniami.

— To szaleństwo Tebinadora doprowadziło do tego — oznajmił inny, zniżając głos i rozglądając się ostrożnie wokół.

— Jak długo jeszcze będziemy cierpieć rządy tego szaleńca?

— Bądź ostrożny — przestrzegł go towarzysz.

— Jest królem i nasze szable należą do niego — przynajmniej tak długo, jak długo Namrok es Amag nie wyda innego rozkazu. Lecz jeśli na nowo wybuchnie rewolta, Turańczycy najprawdopodobniej zaczną bić się z czarnymi, a nie z tłumem — ludzie powiadają, że Tebinador wziął do swej komnaty nałożnicę Hydroca, Berusę. To jeszcze bardziej rozwścieczyło jego ludzi, bo podejrzewają, że Vilem Hydroc został zamordowany, jeśli nie na rozkaz Tebinadora to przynajmniej za jego przyzwoleniem. Lecz ich gniew jest niczym wobec gniewu odsuniętej przez króla Yarissy. Jej furia, powiadają jest niczym pustynna burza...

Conan wstał i pośpiesznie wyszedł z szynku, nie czekając na dalsze informacje. Jeśli ktokolwiek znał wszystkie sekrety królewskiego pałacu, tym kimś była Yarissa. A odtrącona kochanka jest pewnym narzędziem zemsty. Misja Conana przestała już być prywatnym polowaniem na głowę osobistego wroga. Plotka wypełzła już z tajemniczej kryjówki w pałacach króla i nawet na bazarach ludzie rozprawiali o wojnie z Turanem. Conan rozumiał, że koniec końców nawet potęga jaką dysponują zachodnie królestwa nie uchroni ich przed siłą, jaką Tebinador zamierza przeciw nim cisnąć. A co za tym idzie doprowadzi to do długotrwałej i krwawej wojny. Niewątpliwie tylko szaleńiec mógł nosić się z zamiarem stworzenia jednego wielkiego imperium; lecz właśnie szaleńcowi mogło to się udać; a gdyby czarne królestwa przewaliły się przez Stygię i dołączyły do wojny, zguba Turanu, czy Aquilonii byłaby nieuchronna, niezależnie od ostatecznego losu świata. Świat nie zaprzętał zbyt myśli Conana. To o Cymmerii myślał i o jej niepokornych, zapalczywych mieszkańcach dzikich gór, których gorąca krew tętniła i w jego żyłach. Idąc skrajem murzyńskiej dzielnicy przeciął kanał i skierował się do palmowego gaju blisko brzegu. Po omacku odszukał wśród marmurowych ruin kamienną płytę i uniósł ją. Znowu przebył smolistą ciemność i kapiącą wodę, potknął się na kolejnych schodach i wspiął się na nie. Palce odszukały i odsunęły metalowy rygiel, i Conan pograżył się w mrok nieoświetlonego teraz korytarza. Budynek był cichy, lecz wciąż zamieszkały, gdyż gdzieś widać było odbłask światła. Niewątpliwie przebywali tu słudzy zabitego Vilema i jego kobiety. Nie wiedząc, które drzwi prowadzą na zewnątrz szedł na oślep, przeszedł zasłonięty kotarą korytarz — i stanął twarzą w twarz z pół tuzinem czarnych niewolników, którzy na jego widok zerwali się z szablami w dłoniach. Nim zdążył się cofnąć usłyszał za sobą krzyk i pośpieszny tupot stóp. Przeklinając swoje pieskie szczęście ruszył prosto na zdezorientowanych czarnuchów. Migotliwe wirowanie stalowego ostrza i już przebił się przez nich, pozostawiając za sobą krwawiące, poskręcane ciała i rzucił się w otwarte drzwi na przeciwnym końcu obszernej komnaty. Za jego plecami świszczą zakrzywione ostrza i gdy zatrasnął drzwi za sobą, o gruby dąb zadźwięczała stal i w poroższczypanych deskach pojawiły się błyszczące punkciki. Zasuńawszy rygiel okręcił się, wypatrując drogi ucieczki. Zatrzymał spojrzenie na pobliskim oknie z złotymi kratami. Sapiąc z wysiłku rzucił się na złamanie karku i z ogromną siłą uderzył w okno. Miękkie kraty zatrzeszczały wyginając się i ustąpiły — impet uderzającego ciała wyrwał wraz z kratami duży kawałek ściany. W chwili gdy

drzwi zwały się do środka i komnatę zalało mrowie wrzeszczących postaci, Conan znajdował się już na zewnątrz spadając w dół.

* * *

Do Wielkiego Pałacu Wschodniego, gdzie na bosych stopach prześlizgiwali się chyłkiem eunuchowie i niewolnice, nie dochodziły żadne echa szalejącego na zewnątrz piekła. W komnacie o sklepieniu z kości słoniowej inkrustowanej złotem, na kanapie z kości słoniowej wykładanej szlachetnymi kamieniami siedział ze skrzyżowanymi nogami Tebinador. W białej jedwabnej szacie, w której wyglądał jeszcze bardziej nierealnie, podobny do ducha, wpatrywał się szeroko rozwartymi, nieruchomymi oczyma w klęczącą przed nim Berusę. Nie okrywały jej już łachmany niewolnicy. Nosiła lamowaną złotem suknię z karmazynowego jedwabiu, przepasaną, wyszywaną perłami szarfą. Szerokie szarawary z przejrzystej jak pajęczyna tkaniny, zdawały się jarzyć miękko na różowym cieple, które ledwie przesłaniały. Z uszu zwisały kolczyki z wielkimi klejnotami w kształcie łyzy. W długich warkoczach miała wpięte kwiaty. Klęczała na poduszce z najdelikatniejszego puchu. Lecz mimo tego całego przepychu, zaćmiewającego wszystko to, co to bawidełko kiedykolwiek widziało, oczy Vendhyanki pozostawały mroczne. Pierwszy raz w życiu poczuła się rzeczywiście zabawką. Zainspirowała ostatnie szaleństwo Tebinadora, lecz nie władała nim. Noc po nocy, godzina po godzinie spodziewała się, że ugnie się przed jej wolą. Teraz wydawało się, że wymknał się jej spod kontroli, a wyraz jego zimnych, nieludzkich oczu sprawiał, że przechodziły ją ciarki.

Nagle przemówił, solennie, złowieszczo, jak Bóg oznajmiający wyroki losu:

— Nie zdarza się, by bogowie obcowali ze śmiertelnikami. Wzdrygnęła się i otworzyła usta, lecz nie odważyła się przemówić.

— Miłość to rzecz człowiecza, więc jest słabością — kontynuował w zamyśleniu — zrzuciłem ją z siebie. Bogowie są wyżsi nad miłość. A gdy leżę w twych ramionach, słabość i mnie nachodzi.

— Co masz na myśli, panie mój — zaryzykowała pytanie, pełna strachu.⁵

— Nawet od bogów wymaga się poświęceń — odparł ponuro — Zrzekam się ciebie, by moja boskość nie osłabła.

Klasnął niespiesznie w dłonie i na czworakach — nowo wprowadzony zwyczaj — wbiegł eunuch.

— Wprowadź księcia Sokira — rozkazał Tebinador, a eunuch uderzył gwałtownie głową o podłogę i niezgrabnie wycofał się.

— Nie — Berusa skoczyła jak szalona.

— Miej litość, o panie mój... Nie możesz oddać mnie tej bestii. Nie możesz... Padła na kolana, chwytając się jego szaty, a on wyszarpnął ją z jej palców.

— Niewiasto — zadudnił — czyś oszalała? Chcesz ściągnąć na siebie zgubę? Ośmielasz się rzucać na osobę Boga?

Sokir, barbarzyński wojownik z Darfaru, który swoje obecne wysokie stanowisko osiągnął dzięki waleczności i rodzajem brutalnej dyplomacji, wszedł niepewnie i z widocznym drżeniem. Tebinador wskazał na skuloną u jego stóp kobietę i rzekł krótko:

— Bierz ją.

Sokir nigdy nie kwestionował poleceń monarchy. Hebanowe oblicze rozjaśnił szeroki uśmiech i schylając się pochwycił Berusę, krzyczącą i wywijającą się z jego uścisku. Gdy wynosił ją z komnaty, wykręciła się w jego ramionach i wyciągnęła biele ręce w namiętym błaganu.

Tebinador nie zareagował, siedział ze złożonymi rękami i oderwanym, bezosobowym spojrzeniem jak po zażyciu narkotyku. Jeśli słyszał krzyki byłej faworyty, nie dał tego po sobie poznać. Lecz usłyszał je ktoś inny. Szczupła, miedzianoskóra dziewczyna przycupnęła w alkowie i obserwowała Sokira, taszczącego korytarzem wrywającą się brankę. Ledwie zniknął, zerwała się do biegu, a jej brązowe łydki błyskały spod rozwiewającej się szaty.

Sokir, ulubieniec króla, mieszkał w Wielkim Pałacu jako jedyny ze wszystkich dowódców. Pałac był w rzeczywistości potężną strukturą, powstałą z połączenia wielu pałaców i mieszczącą trzydzieści tysięcy sług Tebinadora. Kwatery Sokira mieściła się w skrzydle wychodzącym na dzielnicę południową. Aby do niej dotrzeć, nie musiał opuszczać pałacu. Krętymi korytarzami, przecinając od czasu do czasu wykładane mozaiką otwarte dzielnice, otoczone balkonami wspartymi na alabastrowych kolumnach zdobionych łukami, dotarł do swego domu. Drzwi z czarnego drzewa tekowego, obramowanych grawerowaną w arabeski miedzią, które oddzielały komnaty Sokira od reszty pałacu, strzegli czarni wojownicy. Lecz nim zbliżył się do nich zza zasłony w przejściu wysunęła się smukła postać i zagroziła mu

drogę.

— Yarissa — Sokir cofnął się z prawie zabobonnym lękiem; szczupłe, białe dłonie kobiety zaciskały się i prostowały z wyrafinowaną namiętnością zbyt subtelną i głęboką, by mógł ją pojąć; oczy za ciemnym woalem płonęły jak piekielne klejnoty.

— Sługa szepnął mi słówko o tym, że Tebinador odprawił tę rudowłosą flandrę — rzekła Hyrkanka. — Sprzedaj ją więc mnie. Chętnie bym spłaciła, com jej dłużna.

— Czemuż miałbym ją sprzedawać? — zaprotestował Sokir, kipiąc ze zwierzęcej niecierpliwości. — Król mnie ją podarował. Nie wtrącaj się, kobieto, bym nie uczynił ci krzywdy.

— Czyś słyszał, co Turańczycy wrzeszczą na ulicach — spytała.

Sokir lekko poszarzał i wzdrygnął się.

— Cóż to ma wspólnego ze mną? — rzekł buńczucznie, lecz głos brzmiał niepewnie.

— Domagają się twojej głowy — rzekła zimno i jadowniczo — zwać cię mordercą Vilema Hydroca. Co by się stało, gdybym poszła do nich i potwierdziła ich podejrzenia?

— Lecz ja nie miałem z tym nic wspólnego — wykrzyknął dziko, jakby zaplątany w niewidzialną sieć.

— Mogę znaleźć człowieka, który przysięgnie, że widział jak pomagałeś Ocelesowi zabić Hydroca — zapewniła go.

— Zabiję cię, suko — niemal wykrzyknął, ale ona zaśmiała mu się w twarz.

— Nie ważysz się, ty bestio. Więc jak, sprzedasz mi to rudowłose babsko czy też wolisz bić się z ludźmi Hydroca?

Rozluźnił uścisk i pozwolił Berusie upaść na podłogę. — Zabieraj ją i idź precz — wymamrotał ze spopielała twarzą.

— Weź pierwej swą zapłatę — odgryzła się z mściwą złośliwością i cisnęła mu prosto w twarz garść monet. Cofnął się podobny do monstualnej małpy z płonącymi czerwono oczyma, otwierając i zaciskając dłonie w bezsilnej żądzy mordy. Ignorując go, Yarissa pochyliła się nad Berusą, która skuliła się, oszołomiona przyprawiającą o mdłości bezradnością, porażona zrozumieniem, że wobec tej nowej zdobywczyni jest bezsilna, a jej urok i sztuczki jakich używała wobec mężczyzn są bezużyteczne wobec osoby tej samej płci. Yarissa chwyciła w garść rude loki Vendhyanki i brutalnie odciągnęła jej głowę do tyłu, wpatrując się w jej oczy z dzikim i głodnym wyrazem posiadania, który zmroził Berusie krew w żyłach. Hyrkanka klasnęła w dłonie i weszło czterech eunuchów.

— Zabierzcie ją i zanieście do mego domu — zarządziła Yarissa, słudzy chwycili i wynieśli dygoczącą dziewczynę. Yarissa szła za nimi, wciągając powoli powietrze przez zaciśnięte zęby i wbijając w dłonie różowe paznokcie.

* * *

Skacząc przez okno Cymmeryjczyk nie miał pojęcia co kryją ciemności po za nim. Nie poleciał daleko i wylądował w krzakach, które złagodziły upadek. Zerwawszy się ujrzał swych prześladowców tłoczących się w wyrwanym przez siebie oknie, którzy samą liczbą przeszkadzali sobie nawzajem. Znajdował się w wielkim cienistym ogrodzie, pełnym drzew i mających widmowo kwiatów. W następnej chwili biegł już wśród cieni, klucząc przez zarośla. Jego prześladowcy błędzili w mroku, biegając bezcelowo i bezskutecznie. Nie zatrzymywany dopadł muru, skoczył wysoko łapiąc ręką za zwieńczenie i przerzucił ciało na drugą stronę. Zatrzymał się i rozejrzał aby zorientować się gdzie jest. Nie był wprawdzie nigdy przedtem w Ndele, lecz słyszał tak wiele opisów wewnętrznego miasta, że miał jego wyimaginowaną mapę w głowie. Zorientował się, że jest w najbogatszej dzielnicy, a wielka budowla, mająca przed nim ponad płaskimi dachami mogła być jedynie Małym Wschodnim Pałacem, olbrzymim domem rozkoszy, ustępującym jedynie rozświetlonej szeroko Ogrodowi Vandalusa. Upewniwszy się całkowicie co do miejsca, w którym się znajdował, pomknął wąską uliczką, na którą był wskoczył i wkrótce dotarł do szerokiej alei przecinającej Ndele z północy na południe. Mimo późnej pory na ulicach był spory ruch. Mimo niego przejeżdżali zbrojni Kosalczyki; na rozległym placu, leżącym między bliźniaczymi pałacami, słychać było brzęk uprząży i widać było oddział czarnych żołnierzy, dosiadających narowistych koni. Był powód do takiej czujności. Z oddali słychać było tam—tamy, których bębnienie nagle rozpoczęło się w tej lub innej dzielnicy. Gdzieś zza muru wstawiała blada luna, przyćmiewając światło gwiazd. Wiatr przynosił strzępy dzikich pieśni i odległych wrzasków. Z buńczuczną, żołnierską postawą i rękojeścią miecza sterczącą znacząco do przodu, Conan nie wyróżniał się między uzbrojonymi postaciami przechadzającymi się ulicami. Brodaty Kosalczyk, którego odważył się zaczepić, by wypytać

o drogę do domu Yarissy, udzielił mu informacji chętnie i bez podejrzeń. Conan wiedział — jak wiedziało całe miasto — że jakkolwiek wielu Kosalczyków sądziło, że posiada ją tylko Tebinador, ona sama bynajmniej nie uważała się za wyłączną własność króla. Wiadomo było o kapitanie najemników, który jej komnaty znał równie dobrze jak Tebinador. Dom Yarissy stał przy szerokiej ulicy, przylegając do dzielnicy Wschodniego Pałacu, a w rzeczywistości łącząc się z jego ogrodami, tak, że Yarissa, w czasach kiedy była faworytą, mogła przechodzić z domu do pałacu i odwrotnie bez naruszenia rozkazu króla o izolacji kobiet. Yarissa była córką wolnego księcia, nie sługą, i była nałożnicą Tebinadora, a nie jego niewolnicą. Conan nie przewidywał wielkich trudności z dostaniem się do jej domu; pociągała za ukryte nitki polityki, intryg i dopuszczała mężczyzn wszelkich wyznań i stanów do swej sali przyjęć, gdzie ofiarowała im rozrywki w postaci tancerek i opium. Tej nocy nie było wprawdzie tancerek ni gości. Mimo to Hyrkańczyk o łajdackim wyglądzie bez pytań otworzył łukowato sklepione drzwi z kagankiem umieszczonym nad nimi. Poprowadził go przez mały dziedziniec, wewnętrznymi schodami na górę i korytarzem do obszernej komnaty. W komnacie tej znajdował się szereg wnęk z ozdobnymi łukami, zasłoniętych kotarami z karmazynowego aksamitu. Oświetlona słabą poświata przygasających lamp komnata była pusta, lecz gdzieś w głębi domu rozlegał się ostry kobiecy krzyk bólu, któremu towarzyszył nieskrępowany melodyjny śmiech, także kobiecy, niewypowiedzianie złośliwy i mściwy. Lecz Conan nie poświęcił temu wiele uwagi, gdyż właśnie w tym momencie za murami Ndele rozpętało się piekło. Był to stłumiony okrzyk o nieprawdopodobnej sile, jak ryk zdławionego potoku, który wreszcie rozsadza zaporę, dziki, bestialski krzyk ogromnej masy ludzi. Hyrkańczyk usłyszał go także i pod ciemną skórą posiniał z wściekłości. Nagle wrzasnął i popędził korytarzem, skąd doszedł odgłos szybkich kroków i ciężkiego oddechu.

Przebywająca w swej komnacie Yarissa, posłyszawszy za drzwiami stłumiony krzyk, szcęk stali, gwałtowne uderzenia i głuchy odgłos padającego ciała, oderwała się od swego nad wyraz zabawnego zajęcia. Gwałtownie otwały się drzwi i do środka wpadł Sokir, dziki i przerażający, błyskający w świetle pochodni białymi gałkami oczu i wyszczerzonymi zębami, z szerokim scimitarem po którym ściekała krew.

— Psie — krzyknęła, występując się jak atakująca kobra. — Czego tu chcesz?

— Kobiety, którą mi wydarłaś — powiedział z zapamiętaniem, wykrzywając się w małym grymasie. — Rudowłosej kobiety. W mieście rozpętało się piekło. Dzielnice powstały. Przed świtem ulice spłyną krwią. Zabijać. Zabijać. Zabijać. Powyrzynam te zbuntowane psy jak bambusowe badyle. Jeden więcej mord przy całej tej rzezi nic nie znaczy. Daj mi tę kobietę, nim cię zabiję.

Pijany z głodu krwi i zawiedzionej żądzą, szalony, zapomniał o obawach przed Yarissą. Ona rzuciła spojrzenie na rozciągniętą na sofie nagą, drgającą postać z przywiązanymi rękami i nogami. Jeszcze na dobre nie rozpoczęła zabawy ze swą rywalką. Na razie był to jedynie wstęp do właściwych tortur, okaleczenia i śmierci. Wstęp bolesny głównie upokorzeniem. Nawet piekło nie wydrze jej ofiary.

Wrzasnęła, sięgając po zdobny klejnotami sztylet. Rycząc jak byk, czarny olbrzym zaatakował błyskawicznie. Hyrkańska nigdy dotąd nie walczyła z mężczyzną i na nic nie przydała się szybkość i zwinność. Szerokie ostrze przebiło ciało i na długość stopy wyszło pomiędzy łopatkami. Zgięła się w pół ze zduszonym okrzykiem bólu i strasliwego zdziwienia, a gdy padała, Sokir brutalnie wyszarpnął swój scimitar. W tej chwili w drzwiach pojawił się Conan. Cymmeryjczyk nie wiedział co się uprzednio wydarzyło; widział jedynie stojącego nad ciałem kobiety i wycierającego oręż olbrzymiego wojownika i zareagował instynktownie. Sokir odwrócił się zwinnie jak wielki kot, wznosząc ociekający krwią scimitar, co dało mu tyle tylko, że własny oręż uderzył go z ogłuszającą siłą w głowę, pchnięty strasliwym ciosem Conana. Zatoczył się, a w następnej chwili miecz Cymmeryjczyka, trzymany całą siłą jego sękatych mięśni, odrąbał czarnemu lewe ramię, przeciął mostek i utkwiał głęboko w żebrach. Conan stękając i klnąc usiłował wyrwać ostrze z trzymających je tkanin i kości. Pocać się na myśl, że zostanie zaatakowany nim zdąży wyswobodzić broń, usłyszał narastający ryk tłumu i włosy podniosły mu się na głowie. Znał ten ryk — podszuczujący ludzki wrzask, ryk, który od wieków wstrząsał tronami świata. Usłyszał z zewnątrz stukot podków na bruku i głosy gwałtownie wykrzykujące rozkazy. Zwrócił się w stronę prowadzącego na zewnątrz korytarza, gdy usłyszał błagalny głos i odwróciwszy się, zobaczył dopiero teraz nagą postać skrzyżowaną na sofie. Ciało i członki nie nosiły śladów szram czy skaleczeń ale policzki miała mokre od łez, rude warkocze spływające bujną obfitością po białych ramionach były wilgotne od potu, a całe ciało drżało jak na torturach.

— Uwolnij mnie — zajęczała błagalnie — Yarissa nie żyje. W imię miłosiernego, uwolnij mnie.

Mamrocząc niecierpliwie przekleństwa przeciął jej więzy i odwrócił się z powrotem, zapomniawszy o niej niemal natychmiast. Nie widział jak wstawiała i znikwała w zasłoniętym kotarą przejściu. Jakiś głos na zewnątrz zawołał:

— Sokir gdzieś jest, na Croma? Czas już wsiadać i jechać. Widziałem żeś tu wbiegał. Niech cię diabli gdzie jesteś?

Zbrojna postać w hełmie na głowie wpadła do komnaty i zatrzymała się raptownie.

— Co...? Okłamałeś mnie.

— Skądże — odparł wesoło Conan. — Opuściłem miasto jakem przysiągł, lecz powróciłem.

— Gdzie Sokir? — wypytywał Retrang. Szedłem tu za nim... Na Croma — szarpnął dziko wąs. — Na Croma, na Jedynego Prawdziwego Boga. Oh, przeklęty barbarzyńco, czemuś „musiał” zabić właśnie Sokira? Całe miasto powstało, a Turańczycy walczą z czarnymi, którzy i tak mają pełne ręce roboty. Przywiodłem moich ludzi by wesprzeć najemników. Co do ciebie — zawdzięczam ci życie, lecz są granice wdzięczności. Uchodź, na Croma, i żebym cię więcej nie widział.

Conan uśmiechnął się wilczym uśmiechem.

— Tym razem nie pozbędziesz się mnie tak szybko, Namroku es Amag.

Kosalczyk drgnął.

— Coś rzekł?

— Po cóż przeciągać tę maskaradę? — odparł Conan — poznałem kogoś jest, gdyśmy weszli do domu Vilema Hydroca. Tylko gospodarz mógłby być tak obznajomiony ze wszystkimi jego tajemnicami, a dom ten uprzednio należał do Namroka es Amaga. Pomogłeś mi zabić Hydroca, gdyż to on wynajął Ocelesa i innych, by zabili ciebie. W porządku. Lecz to nie wszystko. Przybyłem do Kosali, by zabić Hydroca i dokonałem tego. Lecz teraz Tebinador snuje plany zniszczenia Turanu i innych królestw, więc musi umrzeć, a ty musisz mi dopomóc w jego obaleniu.

— Jesteś szalony jak Tebinador — wykrzyknął Kosalczyk.

— A co się stanie, jeśli pójde do Turańczyków i oznajmię, że pomogłeś mi zabić ich księcia? — zapytał Conan.

— Rozniosą cię na szablach.

— Taak, rzeczwiście. Lecz tak samo rozniosą i ciebie. A czarni najemnicy im dopomogą; jedni i drudzy nie lubią Kosalczyków. Są tu bo im płacicie. Turańczycy i murzyni wspólnie usieką wszystkich Kosalczyków w Yota-Pong. Co ci po ambicji gdy utracisz głowę? Tak, zginę, lecz jeśli sprawię, że Kosalczycy, czarni najemnicy i zdrajcy z Ghori zaczną się nawzajem wyrzynać to może rebelia pochłonie ich wszystkich i po śmierci osiągnę swój cel łatwiej niż za życia.

Namrok es Amag rozpoznał ponurą determinację dźwięczącą w słowach Cymmeryjczyka.

— Widzę, że pomimo wszystko będę musiał cię zabić — mruknął wyciągając scimitar i po chwili komnata rozbrzmiała szczękiem stali. Po pierwszym starciu Conan pojął, że Kosalczyk był najlepszym wojownikiem, z jakim kiedykolwiek walczył, z krwią zimną jak lód, gdy w żyłach Cymmeryjczyka płynął ogień. Do niechęci jaką odczuwał na myśl o zabiciu Retranga dołączyła świadomość, że staje przeciwko lepszemu niż on szermierzowi. Myśl ta wzbudziła w nim rozpaczliwą furję, a lekkomyślna popędliwość będąca dotąd jego słabością przeistoczyła się w siłę. Jego życie się nie liczyło; lecz jeśli zginie w tej komnacie, wraz z nim zginie świat. Za murami Ndele burzył się i falował tłum, siał iskrami pochodnie, w ciałach zatapiała się stal i oblekała czerwienią. W komnacie martwej Yarissy świszczwały i śpiewały stalowe ostrza. Nagle w głowie Conana rozległ się tajemniczy głos — „Od twego ramienia zależy los świata. Uderzaj w imię wczorajszej chwały i jutrzejszej wspaniałości. Uderzaj w imię nawałnicy aquilońskiego rycerstwa, w imię turańskich chorągwi łopoczących na wietrze, w imię bólu dążenia i krwi męczeństwa, uderzaj w imię gór, bodących niebo jak włócznia, czarnowłosych kobiet, płomieni domowego ogniska i dźwięku trąb imperium, które kiedyś nastanie. Uderzaj w imię nieistniejących jeszcze królestw, galeonów płynących przez złociste morza do światów, o których nikt nie śnił, i parad głoszących chwałę. Uderzaj w imię cudu, któremu na imię Cymmeria, sędziwa lecz wiecznie młoda, nadał barbarzyńska, nie poddająca się wpływowi cywilizacji idąca swoją drogą.”

Namrok es Amag łapał ze świstem powietrze przez zaciśnięte zęby. Jego ciemna skóra przybrała popielaty odcień. Zręczność i umiejętności nie zdawały się na nic w starciu z tym płomiennookim wcieleniem furii, nieodpartym jak wzburzone fale, walczącym jak kowal w kowadło. Rany Conana otworzyły się na nowo pod rdzawym, zaskorupałym bandażem i

krwew jęła ściekać po skroniach, lecz oręż nadal tworzył płomienny krąg. Kosalczyk mógł tylko bronić się, bez szansy ataku. Namrok es Amag walczył o osobiste ambicje; Conan walczył o przyszłość swego narodu. Ostatni przytłaczający przytyw skręcającego mięśnie wysiłku, wybuch dynamicznej siły i wytracony scimitar wyleciał z rąk Kosalczyka. Ten rzucił się w tył, krzycząc nie w strachu lub w bólu lecz z desperacji. Conan odwrócił się, szeroka pierś falowała z wysiłku.

Nie zabiję cię — rzekł — ani z mieczem na gardle nie wymuszę na tobie przysięgi. I tak byś jej nie dotrzymał. Idę do Turańczyków po swoje przeznaczenie... i twoje także. Żegnaj. Mógłbym cię uczynić władcą Kosali.

Zaczekaj — sapnął Es Amag, chwytając i przytrzymując się zasłony. — Zastanówmy się nad tym. Co masz na myśli?

— To com rzekł — Conan zawrócił od drzwi, ożywiony nadzieją że chwycił w ręce szansę desperackiej gry. — Czyż nie dostrzegasz, że jesteś w tej chwili jedynym żyjącym wodzem? Czarni i Turańczycy biją się ze sobą, a mieszkańcy Yota-Pong walczą przeciwko jednym i drugim. Żadna z frakcji nie wygra bez twego wsparcia. Zdecyduje to, jak skierujesz swoich żołnierzy. Zamierzałeś wspomóc najemników i zgnieść zarówno Turańczyków jak i rebelię. Lecz wyobraź sobie, że staniesz po stronie renegatów z Ghori. Wyobraź sobie, że pojawisz się jako wódz rebelii, obrońca wiary przed bluźniercami. Hydroc nie żyje, tłum nie ma przywódcy. Pożądałeś zaszczytów pod rządami Tebinadora, większe są w zasięgu twjej ręki. Dołącz ze swymi żołnierzami do renegatów i zgnieć czarnych, a tłum ogłosi cię wybawcą. Zabij Tebinadora. Osadź na tronie innego króla, z sobą jako doradcą i rzeczywistym władcą. Stanę u twego boku i wesprę cię mym mieczem.

Nagle Es Amag, który słuchał jak we śnie, wybuchnął śmiechem jak pijany. Poczucie, że Conan chce grać nim jak pionkiem, by zniszczyć swych wrogów, zatoneło w upojeniu ambicji, jak w ciężkim winie.

— Wystarczy — ryknął — na koń, bracie wskazałeś mi drogę, której pragnąłem. Namrok es Amag będzie rządził Kosalą.

Na wielkim placu w el Masnsurija, dygoczące pochodnie rozbłyskiwały w wirze miotających się postaci, rżących koni i świszczących ostrzy. Brązowi, czarni i biali mężowie walczyli ręką w rękę, renegad z Ghori, czarni najemnicy, Kosalczyki, oddychając ciężko, klnąc, mordując i ginąc. Od tysiącleci Kosala spała pod butem obcych władców, teraz zbudziła się, a było to przebudzenie krwawe. Jak pozbawieni rozumu szaleńcy mieszkańcy Yota-Pong walczyli z czarnymi zabójcami, ściągając ich z siodła i tnąc poprzęgi oszalałych koni. Zardzewiałe piki uderzały o włócznie. Pożary wybuchały w stu miejscach naraz, wzbijając się płomieniami w niebo aż pastuchowie z dalekich gór przebudzili się i patrzyli zadziwieni. Ze wszystkich przedmieść wypływały dzikie i oszalone postacie, niczym grzmiący strumień z tysiącami odgałęzień zlewających się na wielkim placu. Setki nieruchomych ciał, w zbrojach, lub pasiastych kaftanach, leżały na bruku tratowane stopami i podkowami, a ponad nimi żywi ryczele mordując się wzajemnie.

Plac leżał w samym sercu dzielnicy murzyńskiej, do której wdarli się wrzeszczący, upojeni krwią Turańczycy, podczas, gdy przeważająca większość najemników walczyła z tłumem w innych częściach miasta. Teraz, wycofawszy się w pośpiechu do własnej dzielnicy, hebanowi rycerze przewyższali Turańczyków liczebnością. Jednak tłum był tak wielki iż zagrażał jednym i drugim.

Najemnicy, pod komendą swego kapitana Kahirona, zdołali zachować resztki porządku, który dał im przewagę nad niezorganizowanymi Turańczykami i pozbawionym przywódcy tłumem. Oszalały tłum niszczył i rabował domy czarnych, wyciągając z nich wrzeszczące kobiety. Poświata płonących budynków sprawiała, że plac zdawał się pływać w oceanie ognia. Gdzieś jęły bębnić tam-tamy, przebijając się przez grzmot podków nadzieżdżającej konnicy.

— Wreszcie gwardia — wydyszał Kahiron — zmarudzili wystarczająco długo. I gdzie na Croma jest Sokir?

Na plac wpadł oszalały koń, ociekając pianą. Jeździec zachwiał się w siodle. Jego szaty były w strzępach, hebanowa skóra zbroczona czerwienią.

— Kahiron! — zawołał, łapiąc się kurczowo obiema rękami rozwianej grzywy. — Kahiron!

— Tutaj, głupcze! — wrzasnął kapitan, łapiąc za uzdę konia przybysza i zmuszając zwierzę, by przysiadło na zadzie.

— Sokir nie żyje — wykrzyknął tamten ponad rykiem płomieni i narastającym grzmotem kotłów. — Gwardziści zwrócili się przeciw nam. Wymordowali naszych braci w pałacu. Oto nadchodzi.

Z ogłuszającym tętentem podków i rykiem bębnow, od którego dygotała ziemia, oddział królewskich gwardzistów wpadł na plac przecinając tłum i jadąc po grzbietach tak sojuszników jak i wrogów. Kahirón zobaczył ciemną, triumfalną twarz Namrok es Amaga, ukrytą za połyskującym, zataczającym półkółka scimitarem. Z rykiem ruszył na niego, mając za plecami swych żołnierzy. Wtem z dziwnym, obcym okrzykiem bojowym jakiś jeździec w cudzoziemskim stroju stanął w strzemionach i ciął Kahiróna, a ten spadł z konia. Na skalistych grzbietach gór pasterze patrzyli bojaźliwie, widząc jak pożoga i rzeź rozprzestrzenia się od bramy Syraxa aż po meczet Takedy. Brzęk mieczy dał się słyszeć daleko na południe, hen aż po El Fustat, gdzie pobledli szlachcice trzęśli się ze strachu w swych otoczonych ogrodami pałacach. Niczym karmazynowa mgła lub ognisty potok, rozwścieczony tłum zalał dzielnicę i wytrysnął poprzez bramę Menhorda, plamiąc krwią ulicę Ndele. Na wielkim placu Erblona, gdzie mogły paradować tysiące ludzi, czarni najemnicy stoczyli swa ostatnią walkę, i tam zginęli, otoczeni przez zakutych w stal gwardzistów. To właśnie tłum wyjących i oszalałych przypomniał sobie o Tebinadorze. Wpadłszy przez ozdobne, brązowe drzwi Wielkiego Wschodniego Pałacu, rozwścieczone, wrzeszczące hordy popłynęły korytarzami i wwały się przez Złotą Bramę do Wielkiego Złotego Holu, ściągając pozłacane zasłony, by obnażyć pusty złoty tron.

Brudne i pokrwawione paluchy zrywały wyszywane jedwabiem draperie ze ścian. Sardonikowsy stoły obalono wśród łoskotu pozłacanych naczyń. Eunuchowie w karmazynowych szatach uciekali piszcząc, niewolnice wrzeszczały w rękach gwałcicieli. W Wielkim Szmaragdowym Holu, Tebinador stał niczym rzeźba na usłanym futrami podwyższeniu. Jego białe ręce zaciskały się, oczy miał zamglone — wyglądał jak pijany. U wejścia do holu kłębiła się garść wiernych sług, odpierających mieczami wściekłe ataki tłumy. Grupa Turańczyków przedarła się przez pstrokaty tłum i starła się z czarnymi niewolnikami; wśród tej orgii ciosów nikt nie miał czasu spoglądać na sztywną postać na podwyższeniu. Tebinador poczuł, że czyjaś ręka ciągnie go za ramię, i obróciwszy się ujrzał, niczym we śnie, twarz Berusy.

— Chodź, mój panie — ponagliła — Całe miasto powstało przeciwko tobie. Pomyśl o swym życiu, idź za mną. Poruszył się jak w transie, mamrocząc:

— Wszak jestem Bogiem. Jakże Bóg może doznać klęski? Jak Bóg może umrzeć?

Rozsuwając wiszące na ścianie gobeliny poprowadziła go do sekretnej alkowy, i dalej wąskim korytarzem. Berusa poznała dobrze tajemnice Wielkiego Pałacu podczas swego krótkiego pobytu. Poprowadziła go pośpiesznie przez pachnące korzeniami ogrody, poprzez uliczki kręcące się pomiędzy domami o płaskich dachach. Narzuciła na niego swój płaszcz. Żaden z mijających ludzi nie zwracał uwagi na zdążającą gdzieś w pośpiechu parę. Mała brama, skryta za skupiskiem palm wyprowadziła ich poza mur. Z północy i wschodu Yota-Pong otaczała pustynia. Wyszli na wschodnią stronę. Z tyłu, z południa, rozbrzmiewał ryk płomieni, dobiegały odgłosy rzezi, lecz przed nimi była tylko pustynia, cisza i gwiazdy. Berusa zatrzymała się, z oczyma błyszczącymi w świetle gwiazd i stała nie mówiąc nic.

— Jestem Bogiem — mamrotał Tebinador otępiąle. — Nagle świat cały buchnął płomieniem. Mimo to jestem Bogiem...

Ledwie czuł jak silne ramię Vendhyanki obejmuje go ostatnim uściskiem. I ledwie słyszał jej szept: — Wydałeś mnie w ręce tej bestii. Tak, wpadłam w szpony mej rywalki, która dała mi znać wstydu, jakiego mężczyzna sobie nie wyobraża. Umożliwiłam ci ucieczkę, by nikt prócz Berusy cię nie zniszczył. Tebinadorze, któremu wydaje się, że jesteś Bogiem umieraj. Nawet czując śmiertelny cios sztyletu jęczał.

— Lecz jestem Bogiem... a bogowie nie umierają... — gdzieś w oddali jął wyć szakal.

* * *

W Ndele, w Wielkim Wschodnim Pałacu, gdzie mozaikowe podłogi zbrukane były krwią, Conan Cymmeryjczyk, ochlapana krwią postać, obrócił się ku Namrokowi es Amagowi, tak jak on powalanego i poplamionego.

— Gdzie Tebinador? — spytał Conan.

— Jakież to ma znaczenie? — zaśmiał się Kosalczyk. — On upadł, to my jesteśmy tej nocy panami Kosali, ty i ja. Jutro kto inny zasiądzie na tronie króla, kukła, której sznurki będę ciągnąć. Jutro ja będę rzeczywistym władcą, a ty... rzeknij kim ty chcesz być. Lecz dziś w nocy rządząmy otwartą siłą, w blasku naszych mieczy!

— Pomimo to chciałbym skierować swą szablę przeciw Tebinadorowi, jako stosowne zakończenie naszej pracy tej nocy — odparł Conan.

Lecz nie stało się tak, choć mężowie z łaknącymi krwi sztyletami przebiegali wykładane

Jordan Robert - Conan. Droga demona

gobelinami korytarze i sklepione komnaty tak długo, aż do wściekłości i nienawiści jęło dołączać się zdumienie, i zabobonny lęk, który przerodził się w legendy o cudownym zniknięciu, które wydawało się być czymś nadprzyrodzonym w swej tajemniczości. Czas przemienił diabły i szaleńców w świętych; w odległych górach wieśniacy oczekują powtórnego przyjścia Boskiego Tebinadora. Lecz choć będą czekać aż trąby oznajmią przeminięcie dziesięciu tysięcy lat, nie zbliżą się do wrót Tajemnicy. I jeno szakale polujące na wzgórzach i sępy, które składają skrzydła na wieżach Ron el Izredhdin mogłyby opowiedzieć o losach człowieka, który miał stać się Bogiem.